

Miesięcznik „Towarzystwa Solidarność”

# Pogląd

Rozmowa z  
Andrzejem  
Gwiazdą



## Afgańczycy

to dzielna,  
zahartowana  
i niezależna  
rasa

Fryderyk Engels



# interlinie

Tym razem będzie to nietypowa "INTERLINIA", jako że mieszczą się w niej dwa słowa od krajowego wydawcy publikacji, którą niniejszym przekazujemy w ręce Czytelnika.

Po raz pierwszy oto przedstawiamy na krajowym rynku czytelniczym "Pogląd", wychodzący w Berlinie Zachodnim ilustrowany miesięcznik, związany z "Towarzystwem Solidarność", stawiającym sobie za cel obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obronę praw człowieka w Europie Wschodniej.

Ukazuje się on od 1982 roku i wraz z paryskim "Kontaktem" - jest, naszym zdaniem, najważniejszym i najbardziej interesującym pismem, stworzonym przez "solidarnościową" emigrację polityczną.

Osobiste, przyjacielskie kontakty pomiędzy Wydawnictwem MOST a "Poglądem", nawiązane zostały w ub. roku i ich owocem jest m.in. nasza publikacja, która okaże się, mamy nadzieję, zapoczątkowaniem bliższej współpracy prasowo-wydawniczej.

Teksty, które prezentujemy, stanowią wybór publikacji z trzech ostatnich numerów "Poglądu" /140, 141 i 142/. Staraliśmy się wyselekcjonować je - z jednej strony pod kątem zainteresowań krajowego Czytelnika, z drugiej zaś ze względu na ich reprezentatywność dla publicystyki prezentowanego miesięcznika. Zarówno dział zagraniczny, jak i krajowy, charakteryzują się szerokim wachlarzem podejmowanych problemów, żywością formy dziennikarskiej, staranną redakcją i dobrze świadczą o możliwościach zespołu redakcyjnego i jego rozrzuconych po całym świecie współpracowników. Mamy nadzieję, że opinię tę podzielią również Czytelnicy, którzy dotychczas mieli ograniczone możliwości z zapoznaniem się z działalnością naszych przyjaciół z Berlina Zachodniego.

Marian Sabat  
Wolne Pismo "MOST"

WIKTOR GROTOWICZ

# Afganistan: koniec wojny?

W Afganistanie rozpoczął się dziewiąty rok wojny. O rocznicy tej dużo i wyczerpująco pisała prasa zachodnia. Nie zawsze tak było. Wojna w Afganistanie, patrząc od strony Zachodu, należy do wojen wstydlivych w przeciwieństwie do słusznie potępianych, jak na przykład w Nikaragui czy w Jordanii. Niekiedy obrońcy praw człowieka, działający w zachodnich organizacjach, przez bardzo długi okres czasu nazywali walki w Afganistanie „zapomnianą wojną”, o której niewiele można było przeczytać w gazecie, a jeszcze mniej obejrzeć w telewizji. Nagle wojna ta powróciła do międzynarodowego obiegu informacyjnego i to nie za sprawą przejętego losem mordowanych kongresmena amerykańskiego czy rozgorzycznego zachodnioeuropejskiego konserwatysty, ale pierwszego komunisty świata — Michaiła Sergejewicza Gorbaczowa.

Nie po raz pierwszy Gorbaczow zaskoczył zachodnich obserwatorów swoim talentem propagandowym (elegancko nazywa się to „public relation”). Wśród góry propozycji rozbrojeniowych, jakimi Gorbaczow zarzucił stronę zachodnią, znalazł się również postulat wyprowadzenia Armii Czerwonej z Afganistanu. Postulat jak najbardziej rzetelny, uczciwy, a jednocześnie skromny w swym wyrazie. Dzięki temu na arenie międzynarodowej ponownie znalazł się „problem afgański” (tak, jak by nie był to przede wszystkim „problem sowiecki”). Gorbaczow zaskarbił sobie tym posunięciem podziw zachodnich mass mediów i szacunek tutejszych polityków. A gdy dojdzie do zakończenia ludobójstwa w Afganistanie, I Sekretarz KC KPZS zostanie okrzyknięty zapewne oswobodzicielem i dobroczyńcą ludów spod Hindukuszu.

Sowieckie starania o wyjście z „tej trudnej sytuacji” (określenie sowieckiej prasy) rzeczywiście robią wrażenie usilnych. Z jednej strony Michaił Sergejewicz pokazuje swoje sztuczki propagandowe i opowiada na prawo i lewo, iż jak najszybciej chciałby mieć „trudną sytuację” z głowy, z drugiej zaś w samym Afganistanie po stronie reżimu dzieją się rzeczy zastanawiające. Już przed kilkoma miesiącami Sowieci nakazali rządowi Najibullaha rozpoczęcie „kampanii na rzecz narodowego pojednania”. Były szef policji politycznej Afganistanu i obecna głowa państwa w ramach „pojednania” nakazał z kolei zbudowanie 270 meczetów oraz kilkakrotnie wystąpił w telewizji pokazując swoją religijność podczas odprawia-

Kraj w prasie zachodniej



WINNY ODNALAZIŁ SIĘ

Jak podaje agencja TASS, tytułarny szef sowieckiego państwa Andriej Gromyko, podczas spotkania w dn. 7.01. z nowo mianowanym członkiem biura politycznego Rakowskim stwierdził, iż podczas konferencji w Poczdamie w 1945 r. toczyła się zażarta walka o Polskę. Sowiecka delegacja miała podczas tej konferencji dowiedzieć „żelaznej cierpliwości”. Ponadto Gromyko oświadczył, że „dotyczyło to przede wszystkim Stalina. Walczył on jak lew o to, by Polska była socjalistycznym, zaprzyjaźnionym z ZSRS krajem, a nie marionetką bloku zachodniego”. *Tagesspiegel*, 10.01.88.

„NOWA” ZREALIZOWAŁA FILM  
O KIELECKIM POGROMIE

Jak podaje *TAZ* z dn. 12.01., w dniu 9.01. w Warszawie po raz pierwszy pokazano film video o kieleckim pogromie z 4 lipca 1946, w wyniku którego zamordowano 42 Żydów i raniono 67. Film krótkometrażowy zatytułowany „Świadkowie” zawiera dokumentalne materiały filmowe i wywiady z naoczными świadkami wydarzeń. Konspiracyjna praca nad filmem trwała 2 lata.

GENSCHER W WARSZAWIE

Prasa niemiecka poświęciła wiele uwagi wizycie ministra spraw zagranicznych RFN Genschera w

Warszawie (10-14.01) zwracając uwagę na nieoczekiwanie pozytywne stanowisko polskich środków masowego przekazu do Niemiec i gościa z Bonn.

*Süddeutsche Zeitung* z dn. 12.01. cytuje fragment wypowiedzi Genschera, z której wynika, iż RFN obecnie nie rości żadnych terytorialnych pretensji do Polski ani nie zamierza rościć ich w przyszłości. Komentarzy podkreślają przyjazną i serdeczną atmosferę rozmów prowadzonych przez Genschera. Niemiecki minister spotkał się z gen. Jaruzelskim, premierem Zbigniewem Messnerem, ministrem spraw zagranicznych Marianem Orzechowskim, kardynałem Józefem Glempem oraz przewodniczącym „Solidarności” Lechem Wałęsą. Szczegółów rozmów nie podano.

Genscher złożył wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza i na grobie ks. Popiełuszki, jak również odwiedził groby niemieckich żołnierzy poległych w I wojnie światowej, pogrzebanych w odległości 70 km od Warszawy.

Genscher zaapelował do rządu PRL o umożliwienie osobom niemieckiego pochodzenia pielęgnowania tradycji kulturalnych i językowych.

Premier Messner w rozmowie z Genscherem zaprosił kanclerza Kohla do złożenia wizyty w Polsce. Jako realny termin przewiduje się drugą połowę bieżącego roku. *Tagespiegel*, z dn. 14.01.

#### ŚLUŻBA CYWILNA ZAMIAST WOJSKOWEJ?

Jerzy Urban w czasie konferencji prasowej w dn. 19.01. nie wykluczył możliwości wprowadzenia alternatywnej służby cywilnej miast wojskowej dla tych osób, które z przyczyn konfliktu sumienia odmawiają posługiwania się bronią.

Jeśli jednak od tego dojdzie, służba cywilna będzie prawdopodobnie trwała dwukrotnie dłużej niż wojskowa ze względu na wielki wysiłek związany z tą pierwszą. *Frankfurter Rundschau*, 20.01.88.

nych modłów. Nikogo już potem nie zaskoczyło, iż ten wychowanek KGB, który już w roku 1965 jako 18-latek wstąpił do afgańskiej partii komunistycznej, później na wzór sowiecki organizował we własnym kraju tajną policję, by w maju 1986 roku zastąpić na rozkaz Sowietów zniechęconego i co gorsze, pogardzanego przez cały prawie naród Babraka Karmala — nikogo nie zdziwiło więc, iż ten „rewolucjonista”, określane przez ludność dwoma przymiotnikami: „bezwzględny” i „bezlitosny”, pewnego dnia oznajmił: „Nigdy nie byłem komunistą”. Ale nie był to jedyny cud w tym kraju pod patronatem Allacha.

Pod koniec listopada 1987 roku reżim zwołał tzw. Wielką Radę (Loya Jirgah), w skład której wchodziły mniej lub bardziej zależni od rządu Najibullaha przedstawiciele plemion narodowościowych. Rada miała się zastanowić nad nowym kształtem konstytucji afgańskiej. Długo nie deliberowano i (zapewne jednogłośnie) uchwalono co następuje: Afganistan z Republiki Ludowej stał się zwykłą Republiką, z konstytucji zniknęły takie określenia jak „socjalizm” i „komunizm”, zamiast przewodniej roli partii komunistycznej wpisano islam jako religię państwową, a Najibullaha, wzorem innych demokratycznych państw mianowano prezydentem. Przeprowadzono też amnestię — z więzień wyszło około 1500 skazanych, których co prawda, natychmiast wcielono do armii, ale mniejsza o szczegóły. Wielka Rada wspomniała też o niezależnych związkach zawodowych (sic!), innych partiach politycznych oraz o komisjach, mających zająć się sprawą praw człowieka w Afganistanie. A wszystko to w kraju okupowanym od ponad ośmiu lat przez Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich.



Oddział mudżaheddinów

Są jednak przeszkody. Dalszemu przelewowi krwi winna jest przede wszystkim CIA oraz „różne koła na Zachodzie”, namawiające partyzantów afgańskich do dalszej walki. Winni są też sami partyzanci, o których w numerze noworocznym hamburski tygodniowy magazyn polityczny *Der Spiegel* napisał, iż „większość przywódców ruchu oporu”, którzy „niezłe zarabiają na wojnie, wykazuje niewielką ochotę, by położyć kres zabijaniu”. Winni są też oczywiście Amerykanie, a przede wszystkim prezydent Reagan. Nie przyjął on bowiem z wdzięcznością propozycji wycofania wojsk so-

wieckich za cenę natychmiastowego zostawienia mudżaheddinów na łodzi, czyli odcięcia ich od staw broni i amunicji przez stronę zachodnią. Amerykanie winni są też z innego powodu. Wspomniany już *Der Spiegel* wypowiedział się również i na ten temat.

Amerykanie nie chcą końca wojny w Afganistanie. ponieważ: „całkowicie odpowiada im, iż (...) Rosjanie — przy najmniejszym ich udziale — tam się wykrwawiają”. A amerykańskie zabiegi o demokratyzację Afganistanu, to czysta demagogia i cynizm. Obawy o stan Afganistanu po ewentualnym powrocie Sowietów do domu zaprzatają nie tylko głowy sowieckiego politbiura i rządu Najibullaha. Także niezależni obserwatorzy nie są nastawieni zbyt optymistycznie wobec mającego nadejść wyzwolenia tego kraju. Problemem numer jeden jest panująca między partyzanckimi ugrupowaniami niezgoda (liczbę walczących w ruchu oporu ocenia się na 300.000), a niekiedy nawet wrogość, mogąca po odejściu Sowietów doprowadzić do bratobójczych walk. Podziały wśród mudżaheddinów wywodzą się z tradycji plemiennych, jak również nowszej orientacji politycznej i religijnej. Na początku wojny najliczniejsze plemiona stanowili Pusztuni (39% ludności), Tadžycy (26%) oraz Hazarowie i Uzbegy (po 10%). Pusztuni też najliczniej uczestniczyli w ruchu oporu, tworząc najczęściej ugrupowania o radykalnym religijnym zabarwieniu. Wśród ugrupowań o nastawieniu raczej narodowym znajdują się Tadžycy, Uzbegy i Hazarowie.

Mudżaheddini zgodni są między sobą co do celu walki (wyzwolenie Sowietów), jednak różnice zarysowują się przy projektach kształtu przyszłego niepodległego państwa. Mówiąc w uproszczeniu: „fundamentalści” islamscy uważają, iż toczona przez nich walka ma wyłącznie charakter religijny, sięgający korzeniami do tradycji islamskiej, a współcześnie opierający się na wzorcu irańskim. „Narodowcy” walkę z okupantem traktują jako wojnę wyzwoleniczą, podobną do tych, jakie toczyli w XIX wieku z Anglikami. Niepodległe państwo posiadać winno według nich system parlamentarny, który z kolei odrzucają „fundamentalści”. Obraz komplikują jeszcze odwieczne konflikty między sunitami (Hazarowie) a szytami. W wyniku wojny, a dokładniej mówiąc masowej emigracji oraz ludobójstwa dokonywanego przez Sowietów, zmienił się etniczny krajobraz Afganistanu. 85% uciekinierów w Pakistanie to Pusztuni (ogólna liczba 3,5 mln). W rezultacie tego exodusu najliczniejsi w Afganistanie stali się Tadžycy, na drugim miejscu Hazarowie, dalej Uzbegy oraz Pusztuni i Turkmeni. Ta zmiana stanowić może jeszcze jeden punkt zapalny w ewentualnej walce o władzę po odejściu



Wojska sowieckie w Afganistanie używają napalmu

## WARSZAWA REAGUJE SCEPTYCZNIE NA ZBLIŻENIE NIEMIECKO-FANCUSKIE

Na przyjęciu wydanym w dn. 23.01. w Warszawie wspólnie przez ambasadorów Francji i RFN z okazji podpisania układu niemiecko-francuskiego ze strony reżimu nie pojawił się żaden znaczący polityk. Gazety poświęciły temu faktowi jedynie zdawkowe uwagi nazywając zbliżenie „nową osią militarną Bonn-Paryz”. Natomiast komentator w *Trybunie Ludu* obawia się, iż negatywne stanowisko Francji wobec rozbrojenia nuklearnego w Europie Zachodniej może wpłynąć na decyzje zachodniemieckie w tej sprawie. Zaś Ryszard Wojna w *Rzeczypospolitej* w obliczu podpisania w/w układu wyraził obawę o bezpieczeństwo polskich granic zachodnich. *Tagespiegel*, 24.01.88.

## DEMONSTRACJA POD AMBASADĄ RUMUŃSKĄ W WARSZAWIE

Jak podaje berliński *Tagespiegel*, w dn. 1.02. przedstawiciele polskiej opozycji zorganizowali pod rumuńską ambasadą w Warszawie demonstrację solidarnościową z opozycją rumuńską żądającą ustąpienia Ceausesku. Milicja zatrzymała ponad 20 osób, w tym także trzech korespondentów zagranicznych.

Podobna demonstracja odbyła się pod ambasadą rumuńską w Budapeszcie. Policja węgierska nie interweniowała.



REKLAMA PEWEXU  
W POLSKIEJ TV

Jak podaje bliski kołom socjal-demokratycznym zachodnioniemiecki dziennik *Frankfurter Rundschau* z dn. 9.12.87, obecnie w polskiej telewizji wielokrotnie można usłyszeć atrakcyjny głos kobiety, namawiający do zakupów w Pewexie. W Polsce istnieje 700 sklepów pewexowskich. W roku 1985 obroty Pewexu wynosiły 293 mln dolarów, w 1986 370 mln, natomiast w 1987 – 440 mln. Oblicza się, iż osoby prywatne posiadają w Polsce ok. 5 mld dolarów.

O POLSCE PO REFERENDUM

...pisze z Warszawy korespondent *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, Jörg Bremer, w wydaniu z dn. 9.12.87. Autor w artykule pt. „Polacy śnią o oswojonej 'wronie'” stwierdza m.in.: „... a więc społeczeństwo polskie wzięło poważnie normalne w krajach zachodnich prawo nieuczestniczenia w referendum lub głosowania na „nie”. Raz już, w sierpniu 1980 roku, władze państwowe jak i opinia społeczna zostały zaskoczone nagłym wybuchem strajków. „Solidarność” wprowadziła nową epokę do historii Polski. Obecnie nikt już nie uważa, iż referendum zapisało w niej nowy rozdział. Z opozycji państwo-społeczeństwo od dłuższego już czasu powstała koegzystencja, polegająca jednak na braku bliższych



Nowy szef Afganistanu Najibullah

Sowieci wycofanie własnych wojsk poprzedzili eksperymentem, który ma udowodnić, że armia afgańskiego reżimu potrafi sama dać sobie radę z „bandytami”. Na początku grudnia armia rządowa rozpoczęła (oczywiście na wniosek Wielkiej Rady) ofensywę przeciwko partyzantom. Celem operacji był garnizon wojsk reżimowych Chost, położony 80 km od pakistańskiej granicy. Garnizon ten od początku wojny oblegany jest przez mudżahedinów. Zamkniętym w twierdzy żołnierzom reżimu postanowiono przyjsć z pomocą. Akcje „oswobodzania z rąk bandytów” pokazała nawet sowiecka telewizja. Ponad 20.000 żołnierzy rządowych ruszyło, by utworzyć drogę transportom dostawczym. O udziale sił sowieckich przedstawiciel rządu jak i okupantów nie powiedzieli ani słowa, co miało oznaczać, iż Najibullah własnymi siłami rozbije „bandyckie ugrupowania”, choć dziennikarze zachodni na własne oczy widzieli wymarsz sowieckich oddziałów na Chost.

Sytuacja na froncie afgańskim zmieniła się radykalnie. Obraz potyczek z sowieckimi oddziałami, których główną siłą uderzenia na górzystym, pokrytym skałami terenie, były samoloty oraz helikoptery, ma już niewiele wspólnego z obrazem walk toczących się jeszcze przed kilkunastoma miesiącami. W okresie „Solidarności” krążył po Polsce taki dowcip: Polacy spotykają Afgańczyków. Nawiązuje się rozmowa. Afgańczycy: „Bardzo cieszymy się ze spotkania. Podziwiamy was od dawna za wasz nieugięty antykomunizm oraz twarde przeciwstawianie się Sowietaom. My też próbujemy z nimi walczyć, ale mamy wielki problem i chyba wy możecie nam pomóc. Jak dajecie sobie radę z helikopterami?”. Problemu już nie ma. Od czasu gdy mudżaheddinom dostarczono amerykańskie rakietki „Stinger” oraz brytyjskie „Blowpipe” (coś w rodzaju przeciwlotniczej bazooki, w 80% zautomatyzowanej i samonaprowadzającej pocisk na cel), sowieccy lotnicy przestali być bezkarni. Jak dotąd, prawie 50% Afgańczyków ginęło od bombardowań z powietrza. Ulubionym sportem sowieckich orłów był niski lot koszący, porzucający na bardzo skuteczne używanie broni pokładowej. Przeciwlotnicze bazooki okazały się na tyle skuteczne (w początkowym okresie stracono dziennie jeden samolot bądź helikopter), iż orły odmawiały wykonywania niskich lotów, a helikoptery zaczęto wy-

Sowietów. Pesymiści w tym przetasowaniu narodowości widzą planową działalność Sowietów. Tadzycy, Turkmeni i Uzbegy afgańscy mają po drugiej stronie granicy z ZSRS swoich współplemieńców, którzy przy następnej okazji mogliby stanowić doskonały pretekst do włączenia całego Afganistanu do ZSRS w ramach „łączenia przedzielonych granicami narodów”, co tak dobrze przed 40 laty poznali rodacy ze wschodnich terenów Polski.

Sowieci wycofanie własnych wojsk poprzedzili ekspe-

sylać tylko nocą.

Jednak Zachód bardzo długo czekał z pomocą tego typu i przez wiele lat partycyanci afgańscy musieli bezradnie przypatrywać się masakrom ludności cywilnej, dokonywanym przez sowieckie lotnictwo. Bilans militarnych akcji prowadzonych przez komunistów w Afganistanie jest przerażający. Według ostatnio ogłoszonych badań statystycznych, prowadzonych wśród uchodźców w Pakistanie (badania zrobione na zlecenie organizacji obrony praw człowieka we Francji i Szwajcarii) liczba ofiar sowieckiej okupacji wynosi ok. 1,242 miliona. Trzy czwarte ofiar to ludność cywilna. Stanowi to 9% całej ludności kraju – więcej (procentowo) niż straty, jakie poniosła Rosja Sowiecka w trakcie drugiej wojny światowej ze strony armii Hitlera (8,6% ogólnej liczby ludności). Przeprowadzono także badania statystyczne dotyczące liczby ofiar wśród ludności cywilnej w poszczególnych latach. Wyróżniono tu cztery fazy:

1/ od kwietnia 1978 liczbie ofiar towarzyszyła zwiększająca się gwałtownie liczba uchodźców (terror rządów Tarrakiego) – liczba śmiertelnych ofiar wynosiła wtedy 6 promili rocznie;

2/ po wkroczeniu wojsk sowieckich 27 grudnia 1979 roku liczba ofiar wzrosła do 7 promili rocznie;

3/ między rokiem 1982 a 1985 działania Armii Czerwonej podnoszą liczbę zabitych do 16 promili;

4/ faza po dojściu Gorbaczowa do władzy – liczba ofiar zmalała nieco w porównaniu do okresu nasilonych walk wojsk sowieckich w poprzednich latach, utrzymała się jednak na wysokim poziomie 13 promili rocznie i nie maleje.

Ta makabryczna statystyka pokazuje rozmiar ludobójstwa dokonywanego przez Rosję komunistyczną także pod rządami Reformatora Wszechczasów. Potwierdzają to także zachodni dyplomaci przebywający w Afganistanie: armia sowiecka dokonuje tam masowego, planowego ludobójstwa mającego złamać wolę oporu narodu afgańskiego. Lekarze przyjeżdżający z obozów dla uchodźców opowiadają o strasznych okaleczeniach wśród ludności cywilnej. Duży procent stanowią dzieci pochodzące ze zbombardowanych wiosek. Liczne są też przypadki rozrzucania przez lotników sowieckich zabawek-pułapek, najczęściej w postaci długopisu bądź motylka rozrywającego się w rękach dziecka. Jakis czas temu pokazano w telewizji zachodniorniemieckiej grupę lekarzy związanych z partią Zielonych, którzy opowiadali o swoim pobycie w Afganistanie. Kilka lat wcześniej brali udział w akcji pomocy medycznej dla walczącego z Amerykanami Wietnamu. Potwierdzili, iż to co dzieje się w Afganistanie jest bez porównania okrutniejsze od działań militarnych USA w Wietnamie. Opinia ta jest o tyle wiarygodna, iż Zielonych naprawdę trudno posadzić o sympatie do Ameryki. Ostatnio z Pakistanu wrócił chirurg niemiecki Hermann Lampe. W obozach dla uchodźców opatrywał rannych – poparzonych napalmem. Dużo wcześniej donoszono o stosowaniu przez Sowietów broni chemicznej. W okresie wojny wywieziono do ZSRS ok. 20 tys. dzieci afgańskich, by wychować ich na prawdziwych obywateli socjalistycznego państwa.

Sowiecka krzątanina wokół „problemu afgańskiego” nie jest czynnością pozorowaną. Im naprawdę zależy na zakończeniu walk, w których coraz bardziej dostają w tyłek i które przede wszystkim

kontaktów. (...) Państwo zarzuciło swą omnipotencję; markizem na nowo odkrył jednostkę. Ie jednakże czasu pozostało państwu i społeczeństwu, aby zbudować między sobą zaufanie (...) które nigdy, nawet jeśli istniało, nie sięgało za głęboko? Ani sekundy.

Dotychczas każdą reformę wymuszano naciskiem społeczeństwa. Prawo to funkcjonuje i dzisiaj. I tak np. rząd jest zdania, iż państwo w dalszym ciągu nie będzie w stanie wybudować swoim obywatelom wystarczającej liczby mieszkań, ale po raz pierwszy mówi się o dopuszczeniu do budownictwa mieszkaniowego sektora prywatnego. Konieczność zmusza władzę do otwarcia na społeczeństwo, ale tak długo, jak utajona nadzieja na oswojenia wróć będzie większa niż zaufanie do państwa; jak na razie, wyciągniętej ręki władz, nie wyjdzie Polska z kryzysu. Tę szansę wykorzystać muszą obie strony. W czasie referendum przegrano tę kartę. (...) Polacy szanują swoją historię, ale czy potrafią skorzystać z historycznej szansy?"

**RAZ TAK, RAZ SIAK...**

*Süddeutsche Zeitung*, z dn. 10.12.87 podała, iż wg rzecznika rządu Urbana, władze nie mają zamiaru podejmować jakiegokolwiek dialogu z Lechem Wałęsą. Lecz już 5.01.88 Urban na konferencji prasowej oświadczył, iż rząd nie wyklucza obecnie możliwości dialogu z czolowymi przedstawicielami „Solidarności”, jednakże wiąże to ze spełnieniem przez byłych związkowców następujących warunków: samokrytycznej oceny dotychczasowej działalności, rezygnacji z pomocy finansowej z zagranicy i działalności nielegalnej, przestrzegania konstytucji, odsunięcia się od ekstremistów, zarzucenia polityki bojkotu, poparcia reformatorskich poczynań rządu.

Wałęsa na przedstawione propozycje zareagował sceptycznie.

(*Tagesspiegel*. 6.01.88)

**SŁUŻBA ZDROWIA W PRL**

FAZ, z dn. 11.12.87 streszcza

artykuł, jaki dnia poprzedniego ukazał się w *Słowie Powszechnym*, dotyczący sytuacji w polskim lecznictwie.

I tak np. w nowo wybudowanym centrum leczenia raka w Warszawie, najnowocześniejszym ośrodku tego typu w Polsce, wobec braku lekarzy i sprzętu nie mogą przeprowadzać zalecanych terapii i w ten sposób są zmuszani do podejmowania trudnego wyboru, komu ratować życie, a kogo skazać na śmierć.

Polska od 10 lat nie inwestowała w przemysł farmaceutyczny. Już w połowie lat 70-tych zapotrzebowanie na leki zaspokajane było tylko w 75%, podczas gdy dziś tylko w 40%.

Jeśli chodzi o sytuację polskich anesteziologów, jest ona jeszcze bardziej przerażająca; brak odpowiednich leków uniemożliwia przeprowadzenie wielu operacji.

„Jak to się dzieje — pyta sarkastycznie *Słowo Powszechne* — że w innych krajach przemysł farmaceutyczny jest kura, która znosi złote jaja gospodarce, a u nas jest odwrotnie?”

#### UDANA DEMONSTRACJA W WARSZAWIE

*Tagespiegel*, z dn. 11.12.87 zamieszcza na pierwszej stronie informację o spektakularnej akcji protestacyjnej na ulicach Warszawy w dn. 10 grudnia, tj. w Międzynarodowym Dniu Praw Człowieka.

Na jednym z najbardziej ruchliwych skrzyżowań Warszawy dwóch młodych ludzi wspięło się na ustawione tam rusztowanie i rozwiesiło pięć transparentów, rozrzucając przy tym tysiące ulotek.

Dopiero po godzinie specjalna jednostka milicji zwinęła transparenty i zatrzymała młodych ludzi.

#### POLSKA EWAKUACJA DROGĄ MORSKĄ

Jak donosi *Die Welt* z dn. 16.12.87 za służbą graniczną z Flensburga (RFN) w roku 1987 liczba Polaków, którzy zdecydowali się na ucieczkę drogą morską do RFN wynosiła 3.969 osób, przy 3.250 w roku 1986.

zspeca pokojowe oblicze I Sekretarza. Ponadto wojna ta jest bardzo kosztowna. Związek Sowiecki traci rocznie w Afganistanie trzy miliardy dolarów oraz 6.000 żołnierzy (plus 12.000 ratnych). Gorbaczow chce jednak mieć pewność, iż po wycofaniu 130 tys. żołnierzy Armii Czerwonej Afganistan pozostanie w orbicie wpływów sowieckich. W popularnej ostatnio na Zachodzie książce „Pierestrojka” (ale chyba niezbyt uważnie czytanej) I Sekretarz partii sowieckiej wypowiada się także na temat stosunków sąsiedzkich z innymi krajami: ZSRS ma „prawo” do tego, by być otoczonym przez „zaprzyżnżnione kraje”, a co w retoryce sowieckiej oznacza „zaprzyżnżniony kraj” wiedzą mieszkańcy Europy Wschodniej — zasadniczym czynnikiem owego „zaprzyżnżenia” jest fakt stacjonowania wojsk sowieckich, też zaprzyżnżnionych.

Sytuacja w samym Afganistanie nie poprawia jednak samopoczucia Gorbaczowa. W pakistańskim mieście Peszawar doszło niedawno do zjednoczenia ruchu mudżaheddinów pod wodzą jednego przedstawiciela, którym został fundamentalista Junos Khales. W swoich wypowiedziach dystansuje się on jednak od irańskiego wzoru i zapowiada demokratyczny kształt przyszłego państwa. Po stronie reżimu dochodzi natomiast do coraz gwałtowniejszych sporów. Do dwóch od dawna zwalczających się frakcji partyjnych Hagl (lud) i Parczam (sztandar) dołączyła trzecia: zwolenników byłego I sekretarza Karmala. Co prawda strona sowiecka zapewniła rządowych i partyjnych dygnitarzy, iż w „razie czego” wywiezie ich samolotami do ojczyzny proletariatu, i to z całym dobytkiem, ale pomimo tego nerwowość wśród przedstawicieli reżimu bynajmniej nie maleje.

Gorbaczow na pewno myśli o wycofaniu własnych wojsk z niewygodnej wojny, ale warunkiem nie jest tak propagandowo wgrzywany argument przerywania amerykańskiej pomocy dla partyzantów. Chce mieć on pewność, iż te osiem (dziewięć, dziesięć?) lat nie pójdzie na marne i nie nadwyreży wśród ludów dobrej opinii zdobywcy, jaką do dziś cieszy się ZSRS. Mogło by to zresztą niektórym nasunąć pomysł nieproszenia w przyszłości o „internacjonalistyczną pomoc”, a nawet wyproszenia zaproszonych już uprzednio gości. Wraz z wkroczeniem wojsk sowieckich do Afganistanu okupanci zaczęli rozbudowywać też inną sieć zależności od ZSRS. Dzisiaj 80% zagranicznej pomocy dla Afganistanu pochodzi ze Związku Sowieckiego. Fabryki na licencji sowieckiej zbudowane przez sowieckich specjalistów produkują 60% towarów. 75 tys. afgańskich specjalistów wyształconych zostało przez sowieckich inżynierów. Ostatnio debatowano w Moskwie nad „rozwojem stosunków patronackich” między poszczególnymi republikami sowieckimi a 29 afgańskimi prowincjami (nie zakomunikowano, komu przypadnie rola patrona). Nad problemem tym w gmachu Komitetu Centralnego KPZS dyskutowali następujący specjaliści do stosunków tak partnerskich jak i patronackich: minister spraw zagranicznych Szewardnadze, sekretarz KC Dobrynin, zastępca Gorbaczowa Ligaczow oraz szef KGB Czebrikow. Niestety, partyzanci afgańscy nie widzą dobrej woli po stronie sowieckiej i nadal postępują według starego, ale ciągle aktualnego hasła: „Nigdy nie ufaj komuniście”, czego w nowym roku sobie, jak i wszystkim czytelnikom *Poglądu* życzy autor.



## W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

### WŁADZE CZECHOSŁOWACKIE O OPOZYCJI

Minister Spraw Wewnętrznych CSRS Vanjar udzielił w dn. 30.11.87 wywiadu prasowego, w którym stwierdził, że w roku 1987 zatrzymano przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy z Austrią lub Niemcami Zachodnimi 920 osób. Połowa niedoszłych uciekinierów starała się w ten sposób, wg ministra, uniknąć kary za przestępstwa kryminalne.

Opozycję polityczną nazwał Vanjar zupełnie niegroźną, lecz jej stałą obserwację określił jako konieczną. (*Die Welt*, 1.12.87)

### WALKI O POLITECHNIKE W KABULU

Wg konserwatywnego dziennika *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (1.12.87) w dn. 30.11.87 doszło w Kabulu do wymiany ognia między jednostkami armii afgańskiej a siłami bezpieczeństwa, w wyniku której poniosły śmierć dwie osoby. Zbuntowane oddziały armii afgańskiej usiłowały wkroczyć na teren politechniki kabulskiej, gdzie 1500 delegatów oficjalnie zawiadzało prezydenturę Najjibullaha, uchwalano nową konstytucję i zmieniano nazwę państwa z Demokratycznej Republiki Afganistanu na Republikę Afganistanu. Mudżaheddini ze swej strony ostrzegali budynek politechniki rakietami, z których jedna eksplodowała na terenie wyższej uczelni.

### GORBACZOW ZNÓW OCENIUJANY

W opublikowanej w sowieckich środkach masowego przekazu w dn. 2.12.87 treści wywiadu, którego Gorbaczow udzielił amerykańskiej stacji telewizyjnej NBC, cenzura dokonała korekty w wypowiedzi Gorbaczowa odnośnie Afganistanu, jak i nie zamieściła wypowiedzi, z której wynika, iż Michaił Gorbaczow rozmawia ze swoją żoną Raisą na wszelkie tematy, także dotyczące sowiec-

kiej polityki na najwyższym szczeblu. (*Süddeutsche Zeitung*, 3.12.87)

### ODWILZ NA WĘGRZECH?

Członek węgierskiego KC oraz sekretarz generalny organizacji Patriotyczny Front Narodowy, Imre Pozsgay udzielił wywiadu węgierskiemu dziennikowi *Magyar Nemzet*, z którego wynika, iż ogólnie zła sytuacja społeczeństwa węgierskiego spowodowana jest fałszywie zorganizowanym życiem społecznym. By zmienić tę sytuację, Pozsgay domaga się zwiększenia swobód demokratycznych, doprowadzenia do rządów z woli i legitymacji narodu. Pozsgay wziął też udział w spotkaniu z ponad 100 opozycyjnymi intelektualistami węgierskimi w miejscowości Lakitelek, a sprawozdanie ze spotkania ukazało się w organie PFN.

Dziennik przedrukował szereg tez opozycjonistów, z których wynika, iż naród węgierski znajduje się w poważnym kryzysie społecznym, a krajowi grozi załamanie gospodarcze. Mając na uwadze 3 mln Węgrów żyjących poza granicami swego kraju, przedstawiciele opozycji stwierdzają, iż Węgry jako jedność etniczną przesładowana jest bezprzykładnym podziałem, w wyniku którego naród węgierski nie posiada żadnej wspólnie akceptowanej wizji przyszłości. Podczas spotkania dyskutowano też problem, czy socjalizm w ogóle jest w stanie rozwiązać problemy człowieka. Imre Pozsgay w wywiadzie dla fińskiego dziennika *Hufvudsbladet* stwierdził, iż pytanie dotyczące utworzenia na Węgrzech partii opozycyjnej nie powinno być żadnym tabu i należy otwarcie na ten temat dyskutować.

(*Die Welt*, 4.12.87)

### SOWIECI KARTOGRAFEM ŚWIATA?

Dyrektor naczelny moskiewskiej firmy „Sojuzkarta” Wiaczesław Biskulin zaofiarował zachodnim kontrahentom w cenie 70 dol. za

sztukę zdjęcia robione z satelitów sowieckich z wys. 250 km. Fotografic o formacie 30x30 cm są ponoć lepszej jakości niż konkurencyjne zdjęcia satelitów francuskich i brytyjskich.

(*Die Welt*, 4.12.87)

### PROTESTY PRZECIWKO CEAUSESCU W BUDAPESZCIE

Na początku grudnia na ulicach Budapesztu ukazały się ulotki nieznanego autorstwa w językach rumuńskim, węgierskim i francuskim stwierdzające, iż nadszedł czas „abyśmy zademonstrowali nasze prawdziwe uczucia do Ceausescu”.

Ulotki przysłało m.in. do zagranicznych ambasad, a także dostarczono je do pociągów jadących w kierunku Bukaresztu. Autorzy proponują Rumunom niezadowolonym ze swego przywódcy, by każdego dnia o godz. 22.00 na trzy minuty wygaszali w domach światła.

(*Tagesspiegel*, 5.12.87)

### ZJAZD KPF

W dn. 2.12.87 w Paryżu rozpozczą się XXVI kongres Komunistycznej Partii Francji. Przy tej okazji *Süddeutsche Zeitung* z dn. 5.12.87 zauważa, iż w listopadzie 1946 r. w wyborach do Zgromadzenia Narodowego KPF otrzymała 28,6% głosów, w roku 1981 tylko 16,1%, a w 1986 r. — 9,8%.

Dziennik przypomina, iż zjazd KPF poprzedziła gruntownie dokonana czystka w łonie partii, dzięki czemu uważany za stalinowca I sekretarz Georges Marchais może liczyć na 98% głosów w każdym głosowaniu. Gościem zjazdu była osoba nr 2 Kremla Igor Ligaczow, który przekazał na ręce G. Marchaisa prezent — model pancernika „Aurora”. W mowie powitalnej Ligaczow zrezygnował z klasycznej formułka „Niech żyje XXVI zjazd KPF” na rzecz „Niech żyją komuniści Francji”, co w obliczu ostatnich czystek może być rozumiane bardzo różnie.

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

## NOWE WYPADKI W CZERNOBYLU

Jak stwierdza w sprawozdaniu dla dziennika *Socialistischejka Industrija* Lukięniko, szef partii nowego wybudowanego — dla pracowników czernobylskiego kompleksu — miasta Sławuticz, w ostatnich 10 miesiącach doszło do 36 wypadków, w tym trzech śmiertelnych, spowodowanych promieniowaniem radioaktywnym z zabetonowanego reaktora, który eksplodował w dn. 26.04.86 r. (*Süddeutsche Zeitung*, 5.12.87)

## „PRAWDA” O ZANIECZYSZCZENIACH ŚRODOWISKA W BASZKIRII

W wydaniu z dn. 2.12.87 moskiewski dziennik stwierdza, iż mimo przeznaczenia 50 mld rubli na poprawę sytuacji w Ufie i Sterlitamak, stopień zanieczyszczenia środowiska naturalnego w tych dwóch miastach jest skandaliczny i może dojść do konieczności ewakuacji milionowego miasta Ufa. Zanieczyszczeniem winne są zakłady petrochemiczne, od których w promieniu 10 km oficjalnie zabroniono korzystać z wody i uprawiać ziemię. Mimo to w zagrożonej strefie uprawia się ogrody. W samej Ufie, gdzie drastycznie wzrosła śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci, zakłady petrochemiczne „produkują” rocznie ok. 100 tys. ton trujących odpadów, dla których nie przeznaczono nawet osobnego składowiska.

Natomiast w tygodniku *Sobiesiednik* z dn. 3 grudnia stwierdzono, iż zaledwie 200 z 50 tys. wielkich zakładów przemysłowych w ZSRS posiada urządzenia zabezpieczające przed zatruciem wód gruntowych. (*Neue Zürcher Zeitung*, 5.12.87)

## WYŹROKI NA WSCHODNIOBERLIŃSKICH NEOFASZYSTÓW

Czterech wschodniobierlińskich skin-headów, którzy w poło-

wie października ub. roku pobili słuchaczy koncertu punk-rockowego w Berlinie Wschodnim skandując nazistowski okrzyk „Sieg Heil”, zostało skazanych na kary więzienia od 1 do 2 lat. W napadzie miało brać udział także 7 zachodniobierlińskich neonazistów.

W mającym się odbyć procesie w Berlinie Wschodnim przeciwko członkom opozycji zgrupowanej wokół Kościoła ewangelickiego grożą wyroki do 8 lat więzienia.

(*TAZ*, 5.12.87)

## SENSACJA: LENIN W KSIEDZE REKORDÓW GUINNESSA

W liście do moskiewskiego tygodnika *Niedziela* czytelnik Aleksander Romanow stwierdza, iż wielkim wstydem dla ZSRS powinien być fakt umieszczenia nazwiska Władimira Iljicza Lenina w księdze rekordów Guinnessa ze względu na listę rekordową liczbą pomników, ulic, zakładów przemysłowych nazwanych imieniem wodza rewolucji. Czytelnik wyraził też przypuszczenie, iż Lenin przewraca się w grobie.

(*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

## AMERYKANIE I SOWIECI O WZAJEMNYCH STOSUNKACH

W dn. 6.12.87 moskiewskie *Izwestia* podały wyniki ankiety przygotowanej przez Instytut Gallupa i Instytut Badań Socjologicznych sowieckiej Akademii Nauk. Zankietowano 1000 osób. Oto co ciekawsze rezultaty: 82% Sowieców popiera politykę Gorbaczowa, jednak 30% sprzeciwia się jego polityce amerykańskiej. Zaledwie 40% uważa, iż stosunki sowiecko-amerykańskie poproszyły się. 84% Amerykanów i 81% Sowieców uważa, iż z wojny atomowej żadna ze stron nie może wyjść zwycięsko. 95% Sowieców i 72% Amerykanów jest zdania, iż w kosmosie nie powinno się umieszczać broni, jednak 40% Amerykanów uważa, iż realizacja programu „wojen

gwiazdnych” może zapewnić pokój. 81% Sowieców wyraziło swój pozytywny stosunek do narodu amerykańskiego, przy 63% po stronie przeciwnej. 6% Sowieców ocenia administrację Reagana jako pozytywną, przy 11% Amerykanów, którym podoba się Gorbaczow. 80% ankietowanych po obu stronach ocenia pozytywnie szansę pokojowej koegzystencji obu mocarstw.

(*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

## MOSKWIANOM CORAZ ZIMNIEJ

W początkach grudnia dziennik *Moskiewskij Komsomoлец* opublikował wyniki telefonicznej ankiety dotyczącej braków na rynku w Moskwie. I tak 1/3 czytelników szuka damskich kozaczków, 1/4 ciepłej odzieży. Zacytowano też list jednego z czytelników, który pisze: „Bez ciepłej odzieży zamarzę pod Moskwą w 1812 roku Francuzi, w 1941 Niemcy. Czyżbyśmy też byli tu nieproszonymi gośćmi?” Kozaczków damskich szuka się w Moskwie przeciętnie 8 miesięcy. Jak podaje w komentarzu *Niedziela*, w mieście Uljanowski plan produkcji rajstop dziecięcych został wykonany jedynie w 17,5%, natomiast odzieży z bawełny dla dzieci w 28%. W mieście Kaługa, jak podał z kolei dziennik *Izwestia*, w ostatnich trzech tygodniach listopada zabrakło benzyny i dlatego nawet miejskie autobusy. Natomiast wg *Prawdy* w zachodniosyberyjskich miastach tysiące pasażerów siedzi na walizkach, ponieważ samolotom brak paliwa.

(*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

## GROMYKO WYGRAZA SIĘ IRANOWI

Jak wynika z informacji podanej w dn. 5.12.87 przez agencję TASS, podczas spotkania z ambasadorem Iranu w Moskwie, Gromyko wezwał swego rozmówcę do podjęcia negocjacji pokojowych z Irakiem i podporządkowania się rezolucji ONZ, domagającej się natychmiasto-

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

wego zawieszenia broni. W przypadku niezastosowania się do powyższych żądań na Iran mogą zostać nałożone sankcje gospodarcze ze strony ZSRS.

Jak się wyraził Gromyko: „Rozmawialiśmy z przywództwem irańskim jako sąsiedzi, jak kraj, który życzy sobie przyjaznych stosunków z Iranem.” Nie każdy kraj może sobie obecnie pozwolić na skierowanie takich słów pod adresem Teheranu, jak dumnie stwierdza agencja TASS.

(*Süddeutsche Zeitung*, 7.12.87)

## WŁADZE NRD ZREZYGNOWAŁY Z PROCESU POLITYCZNEGO

Jak już donosiliśmy w poprzednim wydaniu *Poglądu*, w dn. 25.11.87 doszło w Berlinie Wschodnim do rewizji w tzw. wschodniobermberskiej bibliotece zajmującej się problemami ochrony środowiska, a prowadzonej przez opozycjonistów związanych z kołami kościelnymi. Aresztowano 4 osoby podejrzane o drukowanie tam niezależnej gazety *Grenzfall*.

Wobec szerokiego echa w prasie zachodniej, jakim odbiła się nowa fala prześladowań opozycji w NRD, władze wschodniemieckie w dn. 4.12.87 zdecydowały się na zwolnienie aresztowanych i odstąpienie od wytoczenia im procesu sądowego.

(*TAZ*, 7.12.87)

## W ZSRS PRASA KLAMIE

W Moskwie podjęto ostatnio kroki prawne przeciwko dziennikarzowi tygodnika *Ogoniok* za opublikowanie wyników ankiety, której nigdy nie przeprowadzono, a z których wynikało, że zaledwie 30% mieszkańców Nowosybirsk popiera politykę „pieriestrojki”. Jak stwierdził *Ogoniok* w dn. 5.12.87 „to fałszerstwo jest jednym wielkim wykręceniem przeciwko tradycjom sowieckiej prasy, która zawsze przykładała wielkie znaczenie do podawania prawdziwych informacji”.

(*TAZ*, 7.12.87)

## HOKEIŚCI ISERLOHNU REKLAMUJĄ KADDAFIEGO

Zadłużony na 5,8 mld marek zachodniemiecki I-ligowy klub hokejowy ECD Iserlohn przyjął od Kaddafiego 1,5 mld marek w zamian za obietnicę stworzenia Światowego Centrum Studiów tzw. „Zielonej księgi” autorstwa Muamara Kaddafiego oraz reklamę jej na trykotach klubowych.

Po kilkudniowej burzy w prasie niemieckiej, w dn. 6.12.87 Związek Hokejowy RFN zażądał usunięcia reklamy z koszulek hokeistów Iserlohn, z którą ECD Iserlohn zdążył już zjemisować jeden oficjalny mecz I-ligowy. (*TAZ*, 7.12.87)

## WŁADZE CZESKIE O PRASKIEJ WIOŚNIE

W dn. 4.01.88 *Rude Pravo* w przypadającą 20-tą rocznicę wybrania Aleksandra Dubčeka szefem partii w Czechosłowacji (5.01.68) wyraża, iż „pieriestrojka” i Praska Wiośna z 1968 roku nie mają ze sobą niczego wspólnego, a interwencja wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 roku była „konieczna dla ratowania socjalizmu”. Dubček natomiast uległ wpływom sił prawicowych i wyrzekł się swych pryncypów. Owe prawicowe siły przy poparciu Dubčeka wywołały psychoteror skierowany przeciwko sprawiedliwym ludziom. Niemniej jednak internacjonalistyczne siły, które przybyły ratować komunizm, obróciły w niwecz plany reakcjonistów.

(*Tagesspiegel*, 5.01.88)

## SOWIECI NA MARSJA

Wiceprzewodniczący Instytutu Badań Przestrzeni Kosmicznej sowieckiej Akademii Nauk Bałabanow oświadczył w wywiadzie dla dziennika *Krasnaja Żywiezda*, iż Rosjanie przygotowują się do lądowania na Marsie w latach 1992-94, a *Tagesspiegel* z dn. 6.01.88 przypomina, iż lot trwa ok. 3 lat.

## SOWIECI UZDRAWIAJĄ PSYCHIATRIĘ

W dn. 6.01.88 agencja TASS jak i dziennik *Izwestia* podały do wiadomości, iż Najwyższy Sowiet podjął uchwałę, którą ma zapewnić na przyszłość obywatelom sowieckim ochronę przed nadużyciami i możliwymi błędami sowieckich psychiatrów.

Podano też do wiadomości, iż w ZSRS znajduje się 5,5 mln osób w klinikach psychiatrycznych. Jak twierdzą wtajemniczeni, 20-30% chorych jest zupełnie zdrowych, i przebywa tam z powodów czysto politycznych.

Już w 1983 roku z tego powodu przedstawiciele ZSRS zostali usunięci z wszelkich międzynarodowych organizacji psychiatrycznych.

(*Die Welt*, 7.01.88)

## BREŻNIEW NON PERSON

Jak doniosła agencja TASS w dn. 6.01.88, po nadwożańskim mieście Nabierzynje Czeliń, przemianowanym w 1982 roku na Breżniew, a następnie „re-mianowanym”, kolej na wszelkie ulice, place i dzielnice Moskwy i Leningradu noszące zaszczytne imię Breżniewa, którym też przywrócone zostaną stare nazwy. Decyzję te podjęło prezydium Najwyższego Sowietu, KC i rada ministrów. (*Tagesspiegel*, 7.01.88)

## RUMUNIA:

### POZNAJ PAN PO OGONIE

Po rozruchach w rumuńskim mieście Brasov w dn. 15.11.87 policja usiłuje rozpoznać demonstrantów na podstawie setek zdjęć i filmów. Zidentyfikowani demonstranci muszą liczyć się z przesiedleniem i pracą w kopalniach lub przemyśle naftowym, gdzie brakuje rąk do pracy.

Jak donoszą naoczni świadkowie, w Brasov od listopada ub. roku liczba brodaczy wzrosła 4-krotnie.

(*Tagesspiegel*, 8.01.88)

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

## TRZĘSIENIE ZIEMI W ALBANI

W dn. 9-10.01.88 doszło do trzęsienia ziemi, w wyniku którego w Tiranie zawałiło się 39 domów, 11 szkół, a wiele budynków zostało poważnie uszkodzonych. Siła trzęsienia ziemi w Albanii (8 w 12-stopniowej skali Mercalli'ego) porównywalna jest do katastrofy w Skopje z 1963 roku. Rząd Albanii odrzucił wszelką pomoc z zagranicy, a ludność pod kierownictwem partii ma sama zlikwidować szkody. (*Süddeutsche Zeitung*, 11.01.88.)

## ZSRS NIE BĘDZIE MOCARSTWEM?

W dn. 10.01.88 — jak podaje *Frankfurter Rundschau* z dn. 11.01. — redaktor naczelny moskiewskiej *Prawdy* Wiktor Afanasjew oświadczył w Sztokholmie, iż nie ma żadnej alternatywy dla kursu Gorbaczowa. „Jeśli mu się nie powiedzie, obawiam się, że będziemy odgrywać w świecie rolę drugorzędną.” Afanasjew dodał, iż gospodarkę sowiecką rujnują wydatki zbrojeniowe.

## MODERNIZACJA ORDYNACJI WYBORCZEJ W SOWIETACH

Jak poinformowała agencja TASS, prezydium Najwyższego Sowietu zajmuje się modernizacją systemu wyborczego. Planuje się, aby do każdego mandatu w Najwyższym Sowiecie kandydowało wielu członków.

Punktem wyjścia do dyskusji były wybory komunalne z czerwca 1987 r., które — mimo iż na każde stanowisko kandydowało po kilka osób — spotkało się z ostrą krytyką wyborców. Jak wynika z listów do dziennika *Izwieszja*, wielu czytelników przybywając do lokali wyborczych dowiedziało się, iż ktoś wcześniej już za nich zagłosował, a dostojnicy partyjni zmusili kontrkandydatów do ustąpienia. (*Süddeutsche Zeitung*, 12.01.88.)

## SOWIECKO—CHIŃSKIE SPOTKANIE NA SZCZYCIE?

W dn. 11.01.88 chiński tygodnik polityczny *Liaowang* opublikował pierwszy w historii wywiad chińskiego dziennikarza z sowieckim przywódcą Gorbaczowem, z dn. 28.12.87. Gorbaczow opowiedział się za politycznym dialogiem i spotkaniem na szczycie i oświadczył, iż z zainteresowaniem obserwuje najnowsze chińskie reformy gospodarcze i polityczne. Natomiast rzecznik prasowy partii chińskiej w dn. 11.01. oświadczył, iż Pekin w dalszym ciągu uwarunkowuje spotkanie na szczycie wycofaniem się Wietnamczyków z Kambodży. (*Süddeutsche Zeitung*, 12.01.88.)

## „PIERESTROJKA” W MOSKIEWSKICH HOTELACH?

Moskiewski dziennik *Sowieckaja Rossija* z dn. 9.01. zauważa, iż zgodnie z międzynarodowymi normami duże miasto powinno posiadać ok. 20 łóżek hotelowych na 1000 mieszkańców, z czego wynika, iż Moskwa powinna mieć w holetach 160 tys. miejsc dla gości. Tymczasem moskiewskie hotele mogą pomieścić jedynie 30 tys., a liczba wolnych miejsc często nie przekracza 200. Jedynym pewnym sposobem na zdobycie łóżka w hotelu jest „zdeponowanie” w przedkładanym w hotelu paszportcie pewnej ilości rubli. Przepelnione są więc poczekalnie dworcowe, nierzadkie są praktyki wynajmowania przez kolejarzy stojących na bocznicach kuszetek. Końpęca kwitnie i na początku stycznia br. zwolniono dyrektora hotelu „Ukraina”, który trzymał 80 pokoi dla „prywatnych klientów”. W Moskwie od czasu Igrzysk Olimpijskich w 1980 r. nie wybudowano żadnego nowego hotelu. Przeprowadzona na początku stycznia kontrola wykazała, iż mimo oficjalnego braku miejsc w dniu kontroli wolnych było i czekało na „prywatnych klientów” 1690

miejsc hotelowych. Fatalny stan hoteli zmusza do przeprowadzania remontów, które zwykle długo trwają, jak ostatnio w przypadku hotelu „Bukareszt” — sześć lat. *Sowieckaja Rossija* stwierdza, iż milicja nie ma rady na korupcję: „W końcu nie można obok każdego moskiewskiego portiera postawić milicjanta.” Dziennik proponuje zezwolić na wynajm pokojów od osób prywatnych.

Póki co, fatalna sytuacja hotelowa sprawa; iż zakochane pary do celów miłosnych wynajmują taksówki, a prawdziwym i kosztownym ratunkiem są ambulanse pogotowia ratunkowego. (*Neue Zürcher Zeitung*, 14.01.88.)

## DUBČEK... SŁABOWAŁ

Po opublikowaniu w prasie zachodniej listu 43 byłych członków czechosłowackiego KC z okresu Praskiej Wiośni (do sierpnia 1968), jak i wywiadu włoskiego dziennika z ówczesnym I sekretarzem KPCZ Dubčkiem (patrz str. 47), w którym wysunięto żądanie dopuszczenia do udziału w nowo planowanych reformach w ČSRS pół miliona członków partii wyrzuconych w 1968 r. sowieckie środki masowego przekazu poczuły się w obowiązku wyjaśnić przyczynę niepowodzenia ekipy Dubčeka. Szef sowieckiego tygodnika *Ogoniok* Koroczin podczas pobytu w Wiedniu przyczynę załamania się wówczas reform w Czechosłowacji widzi w ówczesnej słabości Dubčeka, czym miał się on zasadniczo różnić od obecnego szefa Sowietów Gorbaczowa. „Słabość Dubčeka doprowadziła do tego, iż proces reform wymknął mu się z ręki”. Fakt interwencji wojsk Układu Warszawskiego Koroczin taktycznie przemyczał. (*Tagesspiegel*, 15.01.88.)

## „PRAWDA” ATAKUJE DEUTSCHE WELLE

Moskiewska *Prawda* z dn. 14.01. zarzuca zachodniemieckiej rozgłośni rządowej Deutsche Welle

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

(Kolonia) nadawanie tendencyjnych audycji do ZSRS. Wg Deutsche Welle poza kilkoma wyjątkami żaden kraj Trzeciego Świata nie zawiązcza swojej niepodległości komunistom. Najomniast Sowieci mieli do zafiarowania ruchom władziom jedyne totalitarny model osiągnięcia i utrzymania władzy.

Komentator *Prawdy* natomiast zauważa wzrost międzynarodowego wpływu Związku Sowieckiego w krajach Trzeciego Świata, czego mają patologicznie obawiać się „władziciele” Deutsche Welle. (*Tagespiegel*, 15.01.88.)

## KRYBY ZA SZWEDZKIE KOMPUTERY?

Sowiecka inicjatywa zlikwidowania sporów o granice morskie trwa nadal. Po podpisaniu odpowiedniej umowy ze Szwecją w dn. 14.01. sowiecki premier Ryzków złożył wizytę w Oslo, która ma stanowić początek rozmów sowiecko-norweskich dotyczących trwającego od 15 lat sporu o prawo do półowów na Morzu Barentsa. Na konferencji prasowej Ryzków wyraził rozczarowanie, iż Szwecja pomimo podpisania przez Sowieców umowy o granicy morskiej jak i procesu reform w Sowieciach, w dalszym ciągu nie wyraża zgody na eksport elektronicznej i technicznie zaawansowanych produktów, które jak przypuszcza *Süddeutsche Zeitung* (15.01.88) zgodnie z opracowaną przez Zachód listą mogłyby być wykorzystane w przemyśle zbrojeniowym ZSRS.

## KTO SZKOLI TERRORYSTÓW?

W dn. 14.01. wywiad południowokoreański opublikował sprawozdanie z dochodzenia w sprawie katastrofy południowokoreańskiego samolotu pasażerskiego Boeing 707 z listopada ub. roku w okolicach Barmy, która pociągnęła za sobą 115 ofiar śmiertelnych.

W dn. 15.01. w Seulu zaprzeczono 140 dziennikarom krajo-

wym i zagranicznym 26-letnią obywatelkę Korei Północnej Kim Hy Huin, która przyznała się do dostarczenia, w towarzystwie, 70-letniego kolegi po fachu, na pokład samolotu bomby zegarowej.

Zamachowcy opuścili samolot w Abu Dhabi. Zatrzymani przez policję. W Bahrajnie oboje próbowali samobójstwa. Przeżyła tylko Kim Hy Huin, którą w połowie grudnia 1987 r. Bahrajn odesłał do Korei Południowej.

Terrorystyka przyznała, iż należy do specjalnego oddziału KC północnokoreańskiej partii robotniczej. Akt terrorystyczny miał być przygotowywany od czerwca 1984 r. na specjalnych kursach w Moskwie, Budapeszcie, Wiedniu i Belgradzie. (*Süddeutsche Zeitung*, 16.01.88.)

## WESTONII GŁOSNO O ZBRODNIACH SOWIECKICH

Estoński tygodnik *Sirp ja Vasar* (sierp i młot) z dn. 9.01.88. po raz pierwszy w historii Sowieców porusza problem masowej deportacji i straceń obywateli państw nadbałtyckich, po wkroczeniu Sowieców w 1940 i 1941 r., kiedy czystki przybrały zorganizowany charakter. „Trudno sobie wyobrazić, iż do takiej akcji mogło dojść w połowie XX wieku”.

Autor artykułu stwierdza, iż 14.06.41 w trzech państwach nadbałtyckich Litwie, Łotwie i Estonii doszło do masowej deportacji tzw. „antysowieckich elementów” na Syberię i do Kazachstanu, gdzie w powodzi panujących tam warunków ok. 90% deportowanych zmarło. Chodzi o 10 tys. Estończyków, 15 tys. Łotyszów i 34 tys. Litwinów. Wśród deportowanych z Estonii znajdowało się 1.500 dzieci w wieku do 7 lat i 2 tys. dzieci w wieku do lat 14. Połowę deportowanych stanowiły kobiety w wieku między 20-40 rokiem życia.

Autor Laasi odrzuca dotychczasową tezę sowiecką, iż chodziło o deportację niebezpiecznych elementów antysowieckich, ponieważ mężczczyźni w wieku 20-49 lat stanowili

zaledwie 21,5% deportowanych. Dzieci do lat 14 natomiast 28,4%, ludzie powyżej lat 59 — 17,3%.

Artykuł łamie też kolejne tabu i stwierdza, iż na skutek deportacji i licznych rozstrzelań okupacja niemiecka mimo całej brutalności wydawała się Estończykom łagodniejsza od panowania Sowieców. Drukująca tę informację *Süddeutsche Zeitung* z dn. 16.01.88 przypomina, iż tuż po wkroczeniu Sowieci zaarrestowali 7.900 osób, z których zamordowali na miejscu 1.950.

## KTO SIĘ BOLI... RÓŻY LUKSEMBURG?

W dn. 17.01. podczas oficjalnej demonstracji w Berlinie Wschodnim — z udziałem Ericha Honeckera — dla uczczenia pamięci zamordowanych 69 lat temu Róży Luksemburg i Karla Liebknechta, siły bezpieczeństwa zaatakowały 50-osobową grupę niezależnych demonstrantów usiłującą rozwinąć transparenty z cytatami z dzieł Róży Luksemburg (m.in. „Wolność jest zawsze tylko wolnością inaczey myślących”). Wśród aresztowanych znajdował się także autor tekstów i piosenkarz Stephan Krawczyk, któremu władze od 1985 roku nie zezwalały na wykonywanie zawodu — *Frankfurter Rundschau*, 18.01.88.

W dn. 18.01. wschodniobermberski dziennik *Neues Deutschland* ustosunkował się do zajęć w czasie demonstracji i wyjaśnił, iż doszło do nich na zamówienie zachodniemieckich stacji telewizyjnych ARD i ZDF — *TAZ*, 19.01.88.

W dn. 22.01. żona uwięzionego Krawczyka, reżyserka filmowa Freya Klier wezwwała artystów zachodniemieckich w apelu nagrany na kasetę wideo, prezentowanym w zachodniemieckiego TV, do bojkotu NRD, póki piosenkarz nie zostanie wypuszczony z więzienia. 2.02. Krawczyk z rodziną, podobnie jak kilkadziesiąt innych osób przybył do RFN mając do wyboru 5-7 lat więzienia w NRD. (*Tagespiegel*, 4.02.88.)

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

## STALIN W NIELASCE?

Sowiecki tygodnik ilustrowany *Ogoniok* z dn. 17.01. zamieścił list czytelnika, który domaga się zamknięcia muzeum Stalina w miejscu jego urodzenia w mieście Gori.

„Dlaczego pozwalamy sobie w epoce »głusności« na to, aby państwowe muzeum w sposób haniebny obchodziło się z prawdą! — oburza się autor M.I. Sofrony. „Jestem za zamknięciem tego muzeum, ponieważ jego celem jest gorzej niż w jakimkolwiek kościele utrzymywać wierzących w nieświadomości. Odwiedźcie to wielkie muzeum, a miejscowi przewodnicy wycieczek zagranicznych opowiedzą wam, iż Stalin był geniuszem, który uratował kraj jak i cały świat przed faszyzmem. Każdego dnia muzeum to oglupia setki i tysiące turystów. Czy nie obraża to pamięci tych, którzy tak cierpieli w czasach kultu Stalina?”

Odnosnie pomnika Stalina w Gori píše autor „nie twierdź, iż trzeba zburzyć ten pomnik, ale statua wysokości 17 m winna być rozumiana jedynie jako jomnik-przestręga. pomnik potwora i kata”. (*Frankfurter Rundschau*, 18.01.88.)

## W WLK. BRYTANII ZNIKŁY OSTATNIE ŹPRZEDZENIA KLASOWE

Najmłodszy syn królowej brytyjskiej Elżbiety, książę Edward, po 4 miesiącach służby w Royal Marines zrezygnował z kariery wojskowej i na początku stycznia podjął pracę jako asystent producenta w londyńskim Really Useful Theatre Company. Jak oświadczył dyrektor teatru A. Lloyd Webber, rozmowy na ten temat toczyły się już od dwóch lat, jednak na przeszkodzie zaangażowaniu księcia stało jego pochodzenie. Ostatnio wszakże pani dyrektor brytyjskiego towarzystwa teatralnego doszła do wniosku, iż takie stanowisko byłoby przejawem dyskryminacji klasowej. (*Süddeutsche Zeitung*, 19.01.88.)

## SZEWARNADZE W BONN

4-dniowa wizyta ministra spraw zagranicznych Sowietów E. Szewarnadze w Bonn (17-20.01.) przyniosła następujące konkretne rezultaty: porozumienie co do utworzenia konsulatów generalnych w Kijowie i Monachium, przedłużenie umowy o współpracy gospodarczej między obu krajami na dalsze 5 lat, ustanowienie kanału bezpośrednich kontaktów w przypadku kryzysu, zaplanowanie spotkania Kohl-Gorbaczow w Bonn lub w Moskwie w drugiej połowie br. lub w przyszłym roku. (*Die Welt*, 20.01.88.)

## ŚREDNIOWIECZNE PRAKTYKI W SOWIETACH

W dn. 20.01. tygodnik *Litiera-turnaja Gazieta* doniósł o praktykach szefa kolchozu w Uzbekistanie, niejakiego Adyłowa. Odznaczony odznaką „Bohater Pracy Socjalistycznej” przez 15 lat był dyrektorem kolchozu, gdzie rządził jak „średniowieczny orientalny despota”. Pod budynkiem dyrekcji znajdowało się podziemie więzienie, w którym przetrzymywano nieposłusznych. Osoby, które mimo kary prywatnego więzienia dyrektora nie okazywały w dalszym ciągu posłuszeństwa, znikwały na zawsze. Chłopi zmuszani byli do niewolniczej pracy. Kasjer, który niedostatecznie szybko dostarczył artykuły żywnościowe do jednego z wypożyczonych domów Adyłowa, skazany został prywatnym wyrokiem dyrektora na rok przymusowej pracy przy budowie jednej z jego dalszych dączy. Wjazd do centrali Adyłowa chroniły przeciwpancerne zapory. W chwili aresztowania Adyłowa dyskutował ze swoimi doradcami, kto ma zostać ministrem spraw wewnętrznych Uzbekistanu. (*Tagesspiegel*, 21.01.88.)

Zgodnie z informacjami *Frankfurter Rundschau* z dn. 25.01.88 opartył na doniesieniach prasy sowieckiej dochodzenie wykazało, iż uzbekistańska mafia, której przy-

wódcami byli tzw. bawelniani magnaci, przylaszczyła sobie za czasów Breżniewa ponad 4 mld rubli. Co roku „ginęło” milion ton bawelny. Metody mafii to kradzież, korupcja, manipulacje planem, mordy na zamówienie, a także cała sieć nielegalnych prywatnych fabryk. Skandal zatoczył tak szerokie koła, iż nawet uwikłany jest weń pierwszy wicepremier spraw wewnętrznych Sowietów Jurij Czurbanow, szwagier Breżniewa.

## „PRAWDA” O SKANDALACH NA UKRAJNIE

W dn. 20.01. moskiewska *Prawda* podola, do wiadomości, iż oficer milicji z Odessy, prowadzący dochodzenie w sprawach kradzieży mienia społecznego, w które zamieszani byli wysocy urzędnicy sądownictwa, służby bezpieczeństwa i rządu na Ukrainie został fałszywie oskarżony o przekupstwo i skazany na dwa lata więzienia. *Prawda* przypomina też o tajemniczej śmierci w styczniu 1987 r. dziennikarza z Worożyłowgradu, który krytycznie wyrażał się o szefie partii tego miasta, a także ujawniał panującą wśród władz koprupcję. (*Tagesspiegel*, 21.01.88.)

## KOMUNISCI AFGAŃSCY ŚPIEWAJĄ CIENKIM GŁOSEM

Po kilkakrotnych sugestiach dyplomatów sowieckich, iż 1 maja br. zostaną przypuszczalnie wycofane wojska sowieckie z Afganistanu, w dn. 20.01. szef partii państwa afgańskiego Najibullah oświadczył dziennikarzom zagranicznym, że po wycofaniu wojsk sowieckich nie widzi on potrzeby stacjonowania w Afganistanie oddziałów ONZ: „Wielokrotnie oświadczyliśmy, i nie chciałbym tego jeszcze raz wyjaśniać, iż rząd Afganistanu obecnie nie jest żadnym marksistowsko-leninowskim rządem. Afganistan pragnie przyjaznych stosunków ze swymi sąsiadami i będzie się trzymał humanitarnych zasad ONZ i Światowej Konferencji

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

Islamskiej. Będziemy zawsze lojalnym członkiem ruchu krajów niezangażowanych." (*Tagesspiegel*, 21.01.88.)

## SOWIECI PO 60 LATACH POKAZUJĄ FILM Z POGRZEBU LENINA

W dn. 22.01. sowiecka telewizja przesunęła czas nadawania głównej audycji informacyjnej „Wremnia”, by pokazać jeden z 28 odcinków filmu pt. „Włodzimierz Iljicz Lenin – karty z życia”. Zdjęcia dokumentalne trzymano przez 60 lat w sejfie ze względu na to, iż trumnę Iljicza nieśli m.in. Bucharin, Zinowjew, Kamieniew. Z filmu tego sowieccy telewizorzy po raz pierwszy dowiedzieli się o szczegółach listu do XII zjazdu partii znanego jako „testament Lenina”. (*Frankfurter Rundschau*, 23.01.88.)

## ZBLIŻENIE NIEMIECKO-FRANCUSKIE

W dn. 22.01. w Paryżu w 25 rocznicę podpisania układu niemiecko-francuskiego przez de Gaulle'a i Adenauera, prezydent Mitterrand i kanclerz Kohl podpisali w pałacu Elizejskim umowę dotyczącą utworzenia niemiecko-francuskiej rady d/s obrony i bezpieczeństwa, a także niemiecko-francuskiej brygady pod dowództwem francuskim i niemiecko-francuskiej rady d/s gospodarki i finansów. (*Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 23.01.88.)

## SAMOKRYTYKA KP LITWY

Moskiewska *Pravda* z dn. 29.01. donosi o walce, jaką wydała Komunistyczna Partia Litwy wzrastającemu nacjonalizmowi i wzmocnionym zainteresowaniom religijnym. KP Litwy stwierdziła niedociągnięcia

w politycznym, internacjonalistycznym i ateistycznym kształceniu robotników. Litewscy intelektualisci wykorzystali politykę „glasnosti” w celu osłabienia wpływu partii na życie kulturalne republiki. (*Tagesspiegel*, 30.01.88.)

## ZMARŁ GIEORGIJ MALENKOW

W dn. 31.01. z dwutygodniowym opóźnieniem agencja TASS poinformowała o śmierci 86-letniego Malenkowa. Jak przypomina *Tagesspiegel* (2.02.) po śmierci Stalina Malenkow przez tydzień był szefem partii, by ustąpić na rzecz Chruszczowa. W ZSRS do 1957 r. rządził triumwirat Malenkow-Chruszczow-Mołotow, lecz w 1957 r. Chruszczowowi udało się wyeliminować obu konkurentów. Malenkow pod koniec życia stał się zagorzałym chrześcijaninem i został pochowany wg obrządku prawosławnego.

## • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA •

### KIEŚŁOWSKI – REŻYSEREM Z PRZYSZŁOŚCIA

Międzynarodowe jury, w skład którego weszli krytycy i archiwiści filmowi oraz dyrektorzy festiwałów filmowych z 17 krajów dokonało wyboru „20 reżyserów rokujących dużą przyszłość”. Największą ilość głosów otrzymał reżyser z zachodnioniemieckiego Wim Wenders (główna nagroda w Cannes za film „Paris—Texas” w roku 1986) oraz Amerykanin Jim Jarmusch. Na liście tej znajduje się też Polak Krzysztof Kieślowski. (*Süddeutsche Zeitung*, 11.01.1988)

\* \* \*

W tym samym wydaniu monachijski dziennik donosi o dramatycznym postulatcie SPAM-u (Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków) w sprawie ograniczania wyjazdów na Zachód polskich muzyków. Zdaniem związku sytuacja jest kryzysowa; muzycy pracujący w Polsce zarabiają źle, nie są w stanie kupić dobrego sprzętu, również podupadł ich prestiż zawodowy wśród społeczeństwa, dlatego ponad dwa tysiące muzyków, w tym wielu wybitnych artystów, przebywa stale na Zachodzie.

### POLAŃSKI – AKTOREM

Roman Polański gra znów w teatrze, tym razem występuje w adaptacji opowiadania Franza Kafki „Przemiana”

(rola chrapąsza) na scenie paryskiego teatru Gymnase. Polański traktuje swoją rolę komediowo stwierdzając m. in.: „Kafka jest komiczny, tylko że Francuzi jeszcze o tym nie wiedzą.” (*Die Welt*, 15.01.1988)

### KLASYK AWANGARDY

Z okazji 75-lecia urodzin Witolda Lutosławskiego monachijski dziennik *Süddeutsche Zeitung* (25.01.) zamieścił felieton Wolfganga Schreibera. Zdaniem niemieckiego recenzenta muzycznego Lutosławski należy już do klasyków awangardy. Jego dzieła utworowały sobie drogę do sal filharmonii: przede wszystkim III symfonia skomponowana przez Lutosławskiego na zamówienie Chicago Symphony Orchestra w roku 1983, jak również koncert na wiolonczelę, który kompozytor zaedykował Mściławowi Rostropowiczowi.

Lutosławski otrzymał w ubiegłych latach za całokształt swej twórczości dwie najbardziej liczące się i najwyższe dotowane nagrody na świecie: amerykańską Grawemeyer Award for Music Composition oraz zachodnioniemiecką nagrodę muzyczną Siemens.

\* \* \*

Pod koniec maja odbędzie się w Berlinie Zachodnim w nowo odbudowanej sali kongresowej spotkanie pisarzy z różnych krajów, którzy mają przedyskutować problem „eu-

• KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA •

ropiejskiej tożsamości". Swoją udział zapowiedział również zeszyt roczny laureat literackiej nagrody Nobla, Josif Brodskij. (*Süddeutsche Zeitung*, 28.01.)

„NOWYJ MIR” ZWIERCADŁEM „PIERJESTRÓJKI”

Tak z tytułował Michail Nazarov rozważania (*Neue Zürcher Zeitung*, 19.01.88) na temat zmian w dziedzinie kultury od czasu objęcia władzy przez Michaila Gorbaczowa w ZSRS.

Pisze on m.in.: „Dotychczasowa polityka zmian przyniosła konkretne rezultaty jedynie w dziedzinie literatury. Najlepszym przykładem jest tu miesięcznik *Nowyj mir*. (...) Najbardziej spektakularnym zjawiskiem są nazwiska autorów publikowanych w miesięczniku. Wśród autorów znaleźć można zarówno ofiary reżimu, jak np. Gumilowa rozstrzelanego w 1921 r., Klujewa, który zmarł na wygnaniu w 1937 r., czy też Wiedzińskiego, którego z rozkazu Stalina zamordowano w więzieniu w 1941 r. Prócz tego drukuje się autorów emigracyjnych: Nabokowa, Siewierianina, Kornilowa i Popowa. Zrehabilitowano znane (na Zachodzie — przyp. red.) dzieła: »Dom Puszkina« (Puszkowski dom) Andrieja Bitowa czy »Kopalnia« (Kottowan) Andrieja Platonowa.”

Nazarov pisze dalej, iż w związku z publikacjami miesięcznika *Nowyj mir* dochodzi czasem do nerwowych reakcji nomenklatury. Było tak w przypadku wywiadu, którego udzielił naczelny redaktor tego miesięcznika Siergiej Żalagin prasie duńskiej, w którym nie wykluczył on możliwości publikacji powieści Sołżenicyna „Archipelag Gułag”. Ministerstwo Spraw Zagranicznych ZSRS ogłosiło natychmiast dementi.

Jeszcze większe niezadowolenie wywołuje dział felietonów. W okresie chruszczowowskiej „odwilży” wolno było krytykować tylko niektóre zjawiska systemu; natomiast obecnie zderzają się artykuły, w których podaje się krytyczne ideologiczne podstawy systemu. Z tych właśnie powodów musieli odejść z redakcji dwaj redaktorzy: Igor Winogradow oraz Anatolij Streljany. „Oznacza to — pisze na zakończenie w *NZZ* Nazarov — iż »głośność« osiągnęła granice systemu.”

GOETHE-INSTITUT W BUDAPESTYCIE

Goethe-Institut jest oficjalną agencją kulturalną RFN działającą na całym świecie. Prowadzi również kursy języka niemieckiego. Placówki kierowane z centrali w Monachium podlegają jednak MSZ w Bonn. Władze zachodniemieckie czyniły od lat starania, aby również w krajach Bloku Wschodniego uzyskać zezwolenie na działalność tej instytucji. Jedyną wyjątek stanowi Rumunia, gdzie jednak możliwości działania Instytutu im. Goethego są bardzo ograniczone.

Jak pisze boński dziennik *Die Welt* (20.01) na wiosnę zostanie otworzony Instytut im. Goethego w Budapeszcie. Także w czasie wizyty Genschera w Warszawie omawiano ten problem. Największą trudnością do pokonania jest jak dotąd warunek strony polskiej, iż dyrektor instytutu będzie wprawdzie opłacany przez Bonn, ale musi być polskim obywatelem. Równocześnie Warszawie zależy bardziej na utworzeniu centrum dokumentacyjnego z biblioteką naukowo-techniczną, natomiast Bonn życzy sobie otrzymania możliwości prezentacji dorobku kulturalnego RFN oraz zezwolenia na prowadzenie nauki języka niemieckiego.

Niemalą rolę odgrywają tu też wspomniane naciski NRD, która za wszelką cenę stara się zmniejszyć do minimum kulturalną prezentację RFN w Bloku Wschodnim, gdyż w ten sposób powstałaby konkurencja w „bratnich krajach” dla NRD-owskich ośrodków kultury i informacji.

WARSZAWSKA OPERA W ZACHODNIEJ TELEWIZJI

W dn. 6.02. zachodniemiecka telewizja satelitarna 3SAT dokonała pierwszej bezpośredniej transmisji z kraju Bloku Wschodniego. 3SAT zakupił prawo do transmisji inscenizacji opery Rainera Kunada „Mistrz i Małgorzata” z Teatru Wielkiego w Warszawie. Sieć telewizyjna planuje dalsze bezpośrednie transmisje (w czerwcu hr. „Polskie Requiem” K. Pendereckiego).

R. Satanowski, dyrektor Teatru Wielkiego w Warszawie, udzielił w czasie przerwy w spektaklu wywiadu, mówiąc o politycznej aktualności „Mistrza i Małgorzaty”. (*FAZ*, 6.02.)

# Pogląd

sprzedzamy także: **AUSTRIA** — Polnische Buchhandlung, Burggasse 22, 1070 Wien; Polnische Buchhandlung — „Dwójka”, Margaretenstr. 2-4, 1040 Wien; **FRANCJA** — Librairie Polonaise à Paris, 123, Boulevard St-Germain, 75006 Paris; **RFN** — Stodiek's Buchhandlung, Richard-Wagner-Str. 39, 1000 Berlin 10; **ARKADY** Kunst und Buchhandlung, Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 36; **Osteuropäische** Buchhandlung **WAWEL**, Stephanstr. 11, 5000 Köln 1; **Buchhandlung DIALOG**, Gutleutstr. 15, 6000 Frankfurt/M.; **FUI** Galerie, Mozartstr. 52, 5300 Bonn 1; **USA** — POLONIA Books Store & Publ. 2886 Milwaukee Ave., Chicago Ill. 60618; **POL-AM** Bookstore, 946 Manhattan Ave., Brooklyn, NY. 11222; **WIELKA BRYTANIA** — Orbis Books London Ltd., 66 Kenway Road, Earst Court, London SW5.



# Tybet a imperializm chiński

1.10.1949 roku proklamowano powstanie Chińskiej Republiki Ludowej. Jeszcze w tym samym miesiącu radio Pekin ogłosiło, iż Tybet jest częścią Chin oraz zapowiedziało, iż Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza wkroczy na terytorium Tybetu, by wyzwolić lud od obcych i rodzimych imperialistów i przywrócić kraj łonu wielkiej ojczyzny. Z biegiem czasu chińscy rewolucjonści dawali jeszcze wyraźniejszy upust trosce o losy narodu tybetańskiego, a 7.10.1950 roku armia chińska „z pobudek patriotycznych, internacjonalistycznych, a także w imię solidarności klasowej rozpoczęła akcję wyzwoleniczą” — jak doniosło radio Pekin, choć z niejakim opóźnieniem, bo 25.10, a więc w 18 dni później, gdy opór wojska tybetańskiego został praktycznie zdławiony.

Argument chińskości Tybetu nie jest wymysłem chińskich komunistów. Równie stanowczo posługiwali się nim Sun Jat-sen (pierwszy prezydent Republiki Chińskiej w 1911 roku), jak i Czang Kaj-szek, a cesarze chińscy z mniejszym lub większym powodzeniem starali się z Tybetu uczynić dobro lenne lub, w późniejszym czasie, kontrolować poczynania Tybetańczyków w ten sposób, by od strony zachodniego sąsiada nie groziła im agresja.

W historii ostatnich dwustu lat z okładem prawie zawsze bywało tak, iż republikanie obalając despotyczne i zaborcze monarchie, a później komuniści obalając imperialistycznych republikanów lub monarchów, nie rezygnowali z terytorial-

nych ambicji swoich poprzedników próbując przedstawić się narodowi i światu jako spadkobiercy ich tradycji (a więc i imperialistycznych zapędów), by z drugiej strony szermować argumentami etnologii i etnografii, gdy „dynastyczno-tradycyjne” nie miały racji bytu.

Chińczycy w stosunku do Tybetu zmuszeni byli zastosować wariant „dynastyczny”, bowiem kulturowe związki „dachu świata” dotyczą raczej Indii (religia, alfabet, handel), a język tybetański jest dla Chińczyka językiem obcym (w którym np. syfilis nazywa się „chorobą chińską”). Choć i tu propaganda „państwa środka” nie brzmi zbyt przekonująco, bowiem argument chińskości Tybetu historia potwierdza niechętnie literą różnych narzucanych Tybetańczykom układów, umów, konwencji i traktatów, natomiast przeczą mu wydarzenia ostatnich 13 wieków, w czasie których Tybet z mniejszym lub większym powodzeniem bronił swojej politycznej i kulturowej odrębności.

W VIII wieku tybetański król Song-tsan Gampo opanował Bengal (Zatoka Bengalska nazywała się wówczas Tybetańska), Burmę, zachodnie Chiny, które płaciły Tybetowi trybut w... długości 50 tys. metrów brokatu rocznie, a księżniczka chińska była drugą (obok nepalskiej) żoną tybetańskiego władcy. Ekspansja Tybetu w głąb Chin trwała do połowy IX wieku, a walki wewnętrzne zredukowały w IX wieku królestwo do kilkunastu współzawodniczących ze sobą księ-

tewek, które nie wieść o podbojach Dżingis Chana w 1207 roku wysłały doń delegację i ofiarowały okup, unikając w ten sposób najazdu hord mongolskich. Wnuk Dżingis Chana, Kubilaj, wezwał tybetańskiego lamę Phagpę, by ten udzielił mu instrukcji religijnych w kwestii buddyzmu. W 1254 roku Kubilaj nadał swemu religijnemu instruktorowi inwestyturę i uczynił go w ten sposób najwyższym autorytetem religijnym i świeckim w Tybecie, tworząc zeń formę mongolskiego „protektoratu”.

Nie od rzeczy byłoby wspomnieć, iż ów Kubilaj w 1280 roku koronował się na cesarza chińskiego. Nie inaczej miała się rzecz, gdy tron cesarski objęła w Chinach dynastia „narodowa” Ming (1368-1644), a liczne dokumenty regulujące stosunki sino-tybetańskie mówią o Tybecie jako o „Państwie Zachodnim”.

Zgodnie z duchem nadanej Phagpie inwestytury Tybet stał się de facto państwem teokratycznym, a tradycja wysyłania na dwory chińskie i mongolskie religijnego instruktora przetrwała do 1911 roku, gdy Chiny z cesarstwa przekształciły się w republikę. Koncept Kubilaja ustalił na długie wieki unikalny w Azji i trudny do wy tłumaczenia w kategoriach politycznych Zachodu stosunek patron-lama, gdzie świecki autorytet lamów w Tybecie popierała siła patrona otrzymującego w zamian poparcie „duchowe” od przywódcy lamaizmu.

Stosunkom sino-tybetańskim rzadko towarzyszył paternalizm, a list chińskiego cesarza Kang-si z 1874 roku, w którym prosi on tybetańskiego dalajlamę o posiłki wojskowe (nie wysłane zresztą) celem uśmierzenia buntu uzurpatora, księcia Wu San-kuei, wskazuje wyraźnie na pełną emancypację „dachu świata”.

Delikatna, acz mocna pozycja dalajlamy w Azji zasługuje na kilka słów wyjaśnienia. Zgodnie

z doktryną lamaizmu, będącego odłamem buddyzmu, wcielenia bóstw hinduskich chodzą po ziemi, a dalajlama, zwierzchnik kościoła w Tybecie, Nepalu, części Chin, Indii, Sikkimu i ZSRS, jest inkarnacją Awalokiteśwary. Tytuł ten nadany został przez mongolskiego władcę Altan Chana przywódcy tzw. Złotego Kościoła w 1578 roku.

„Dalaj” oznacza po mongolsku „ocean”, z czego ma wynikać, iż wiedza dalajlamy jest równie głęboka. W tym samym mniej więcej czasie Mongołowie nadali niejakiemu Losang Chosgyan-gowi tytuł „wielkiego uczonego”, tzw. panczenlamy. W ten sposób panczenlama pozostaje do dziś autorytetem „naukowym” lamaizmu i zwierzchnikiem monasteru w Szigace (drugie co do wielkości miasto w Tybecie), natomiast władza administracyjna i autorytet religijny pozostają w rękach dalajlamy, będącego opatem największego monasteru w okolicach stolicy — Lhasy.

Od połowy XVI wieku dalajlama, obok sprawowania funkcji administracyjnych, był arbitrem w sporach między państwami wielkimi jak Chiny i Indie, jak i małymi — Nepal, Sikkim. Inni lamowie (określenie mnicha) mogą być reinkarnacją zmarłych lamów lub też otrzymują ten tytuł z racji kapłańskich święceń. Następca dalajlamy, czyli kolejne wcielenie hinduskiego bóstwa, ma prawo urodzić się w 2-3 lata po jego śmierci, a tytuł ów, po przeprowadzeniu specjalnych prób i egzaminów, przyznaje dziecku specjalna komisja, w skład której wchodzi przywódcy najważniejszych monasterów i dwóch wyroczni. Od momentu śmierci dalajlamy do chwili osiągnięcia przez następcę pełnoletności rządu sprawuje regent.

Jeden z nich, sprawując władzę, przez 15 lat ukrywał śmierć piątego dalajlamy, co wyszło na jaw w 1703 roku. Wówczas to w Chinach panowała dynastia mandzurska, która wykorzystując zamieszanie w Tybecie poparła zbrojnie jedną ze



Yumbutang — najstarszy zamek w Tybecie (V-VI w. n.e.)

zwalczających się frakcji, by w 1727 roku wymusić zgodę tybetańskiego rządu na zainstalowanie w Lhasie urzędu ambanów — dwóch chińskich zwierzchników, którym nierzadko Tybetańczycy podcinałi gardła — oraz garnizonu, którego liczebność ulegała wahaniom i niekiedy wyrażała się symboliczną liczbą 100.

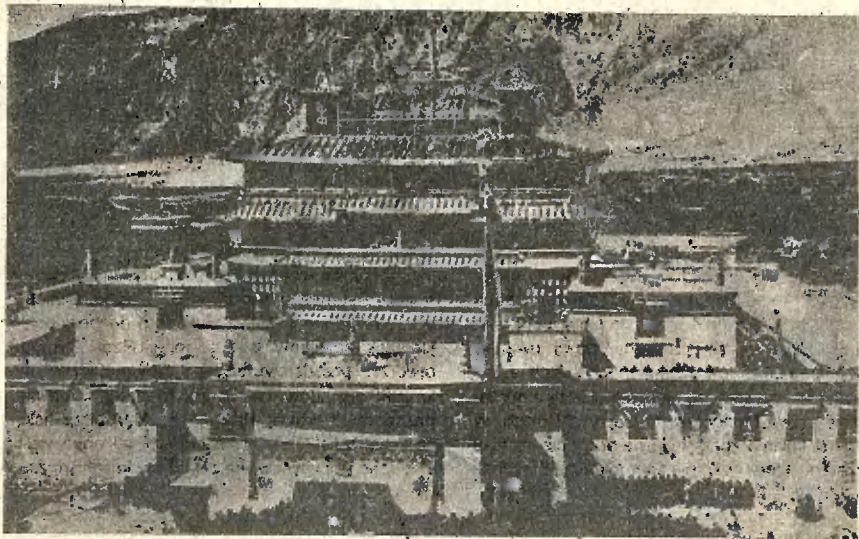
Mimo nominalnego zwierzchnictwa Chin, określającego Tybet jako podmiot chińskiego suzerena, owa zależność miała często charakter dość iluzoryczny — np. w 1878 roku Brytyjczycy otrzymali zgodę Chińczyków na eksplorację naukową Tybetu, jednak nie byli w stanie przeprowadzić swoich badań ze względu na zbrojny opór nieufnych Tybetańczyków. W końcu XIX wieku Tybet się rzeczy znalazł się na orbicie intensywnych zainteresowań brytyjskich, wynikających z zawiadywania Indiami, a też z próby ograniczenia wpływu rosyjskich w Azji Środkowej.

W 1890 roku Anglicy podpisali w Kalkucie umowę z chińskimi ambanami z Tybetu. Umowę tę poparła konwencja handlowa z 1893 roku. Realizację układów, podpisanych bez udziału dalajamy, wymusił dopiero brytyjski korpus ekspedycyjny płk. Younghusbanda w 1904 roku. Znany skądinąd lord Curzon, wówczas wicekról Indii tak pisał do Rządu Jej Królewskiej Mości w Londynie

w 1903 roku: „Propozycję Chin jako suzerena Tybetu uznajemy za konstytucyjną fikcję, jednak nie protestujemy ze względu na jej dogodność dla obu stron.” Chodzi oczywiście o stronę brytyjską i chińską.

Zresztą Brytyjczycy, zmuszeni do stoczenia 5 bitew z wojskiem tybetańskim po drodze do Lhasy, uznali za konieczne podpisanie nowego dokumentu, już z udziałem strony tybetańskiej, zwanego Konwencją z Lhasy (1904). Konwencja ta, choć narzucona Tybetowi przewagą militarną, podpisana była w obecności ambanów chińskich ale, na specjalne życzenia dalajamy, nie w ich siedzibie. Chiny, jak pośrednio wynika z tekstu dokumentu, uznawane są tam za „obcą siłę” (foreign power). Dynastia Cing, potwierdzając w umowie z Brytyjczykami z 1906 roku swoją pozycję w stosunku do Tybetu jako „obce mocarstwo” upadła w 1911 roku.

Obalenie cesarstwa chińskiego przez Sun Jat-sena w październiku 1911 r. nie oznaczało końca tybetańskich kłopotów. Gdy dalajama w 1912 roku proklamował niepodległe państwo tybetańskie, znów wybuchły walki, a poczynania Chińczyków doczekały się ostrego protestu Brytyjczyków. Dalajama, zbiegłszy uprzednio do Indii, w 1913 roku podjął ryzyko powrotu do Lhasy i



Monaster Samye (VIII w. n.e.)



Trzynasty dalałama (siedzi) z rządem. Kalkuta — 1910

po zmuszeniu Chińczyków do odwrotu zatrudnił emerytowanego japońskiego (sic!) generała jako szefa wyszkolenia tybetańskiej armii.

Tymczasem Anglicy postanowili uregulować trójstronne stosunki Wielka Brytania-Tybet-Chiny i w 1913 roku doprowadzili do konferencji w Simla (Indie), gdzie dalałama wystąpił z następującymi propozycjami: 1/ w Tybecie nie będzie urzędować żadne przedstawicielstwo chińskie, 2/ Tybet reprezentuje interesy brytyjskie, 3/ Chińczycy muszą przystać na koncesje terytorialne wobec Tybetu. Natomiast strona chińska powoływał się na argumenty „dynastyczne” twierdząc, iż skoro Tybet znajdował się pod protektorem Dżingis Chana (ok. 1155-1227) musi należeć do Chin, ponieważ późniejsze chińskie dynastie „narodowe” uważały się za spadkobierców tradycji mongolskich, a „republikanie”, ma się rozumieć, dziedziczą automatycznie prawa Mongołów i cesarzy chińskich. W sumie dalałama zgodził się na przyjęcie terminu „suzeren”, który dość niejasno określał stosunek Chin do Tybetu w zamian za szeroko pojętą autonomię i wyraźne ustępstwa terytorialne Chińczyków, uprawnionych do posiadania przedstawicielstwa w Lhasie jako „suzeren” — chronionego jednak nie więcej niż 300 chińskimi żołnierzami.

Umowa ta nie doczekała się ratyfikacji parlamentu chińskiego i Brytyjczycy 26.04.1914 roku oświadczyli, iż: „Cierpliwość Rządu Jego Królewskiej Mości wyczerpała się i w związku z tym informujemy rząd chiński, iż jeśli Konwencja nie będzie ratyfikowana do końca miesiąca, będziemy zmuszeni do podpisania jej wyłącznie ze stroną tybetańską”, co stało się po upływie terminu ultimatum faktem.

W miesiąc później wybuchła I wojna światowa i obie zainteresowane strony, już bez udziału Anglików próbowały udowodnić swoje racje siłą. Tybetańczycy uważali, iż skoro Chińczycy przestali być stroną Konwencji w Simli Tybet istnieje jako suwerenne państwo zgodnie z duchem proklamacji dalałamy z 1912 roku. Rząd Tybetu otworzył przedstawicielstwa dyplomatyczne w krajach sąsiadów, bił własną monetę, wydawał paszporty, drukował własne znaczki. Atak chiński na Tybet w 1917 roku został odparty, a kłopoty wewnętrzne Chin jak i wojna z Japonią kazały im zapomnieć o „dachu świata”, na terytorium którego do 1934 roku praktycznie nie postawił nogi żaden Chińczyk. Czang Kaj-szek w 1927 roku przesłał list dalałama, w którym proponował swoje poparcie w zamian za uznanie Tybetu za część Chin,

na co dalajlama nie przystał. Generalissimus ponowił propozycję w 1930 i 1934 roku — również bez skutku — by korzystając z faktu, iż kolejny reinkarnowany panczenlama w wyniku sporów o autorytet z dalajlamą zmuszony został do ucieczki do Chinach, w 1923 roku usiłować siłą osadzić go na czele teokratycznego rządu Tybetu, któremu zgodnie z tradycją przewodzi dalajlama. Jednak niespodziewana śmierć panczenlami zniweczyła plany Czang Kaj-szeka.

Wypada dodać, iż obecny 14 dalajlama urodził się na terytorium Chin, gdzie zgodnie ze wskazaniami wroczni odnalazła go tybetańska komisja. Rządowi „dachu świata” udało się go sprowadzić do Lhasy po dwóch latach zmuśnych negocjacji i opłacie w wysokości 90 tys. dolarów.

Usiłowania Chińczyków, by w jakiś sposób zmanifestować swą obecność w Tybecie zakończyły się zgodą na utworzenie w Lhasie chińskiej misji handlowej i zaakceptowania Chin jak „suzerena”. W gorącym czasie wojny domowej w Chinach „wielki marsz” komunistów wobec oporu Tybetańczyków musiał ominąć „dach świata”. Z biegiem czasu chińska misja handlowa stała się tubą komunistycznej propagandy i Tybetańczycy w 1949 roku wyprosiłi z niej wszystkich podejrzanych o prokomunistyczne sympatie. W tym samym roku doszło do cytowanych na początku oświadczeń radia Pekin, a 7.10.1950 do agresji wojskowej. Sprawa, ze względu na niejasny status Tybetu, stanęła na obradach ONZ dzięki wnioskowi Salwadoru, jednak wobec zaangażowania Amerykanów w Korei, brytyjskich obaw o Hong-Kong, a także veto przedstawicieli Czang Kaj-szeka (sic!) (już wówczas na Formozie), w Radzie Bezpieczeństwa nie doszło do uchwalenia żadnej rezolucji i obrady mające być poświęcone Tybetowi „odroczone”, by ich nigdy nie podjąć.

Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza przyniosła na bagnietach dobrodziejstwo komunizmu krajowi o stosunkach wczesnofeudalnych i doprawdy śmiesznie brzmiałyby slogany Lenina w kontekście panujących tam „stosunków produkcyjnych”, stanu „bazy” i „nadbudowy”, gdyby ich wprowadzenie w życie nie pociągnęło za sobą tytułu ofiar.

Przed inwazją komunistów chińskich, jak z całą powagą podaje Tsepon W. D. Shakabpa w książce „Tibet - a Political History”, eksport opierał

się głównie na sprzedaży ogonów jaków do USA na brody dla tamtejszych Mikołajów. Ten sam historyk pisząc historię swego kraju podaje z niej kim oburzeniem, iż dalajlama został zmuszony do przerwania 3-letniej medytacji celem spotkania się z „handlową” ekspedycją płk. Younghasbanda.

Pocztą tybetańska do 1956 roku funkcjonowała dzięki sztafecie, której członkowie mieli do przemierzenia 4,5 milii angielskiej kazdy, przy czym listy opatrzone znakiem strzały (rządowe) miały bezwzględny priorytet. Próba zorganizowania komunikacji samochodowej zakończyła się w 1930 roku zburzeniem prowizorycznej szosy przez obawiających się o swoje transportowe interesy właścicieli jaków i baranów, po czym dalajlama wydał odpowiedni dekret zabraniający budowy dróg w całym państwie.

Dyplomatyczne stosunki między Tybetem a USA nawiązane zostały w 1942 roku, kiedy to kapitan Ilia Tolstoy i porucznik Brooke Dolan przybyli do Tybetu z misją zbadania możliwości transportowych między Indiami a Chinami via „dach świata”. Wymieniono podarki i wystawnicy z Waszyngtonu powieźli do USA list następującej treści:

*Szanowny Franklin D. Roosevelt, Prezydent USA, Biały Dom*

*Drogi Panie Prezydencie, z wielką satysfakcją przyjęliśmy Pański list jak i oznaki dobrej woli (Pańską fotografię z autografem i wyjątkowej wartości złoty zegarek wskazujący fazy księżyca i dni tygodnia). (...) Jako oznakę szacunku wysyłam Panu szarfę honoru, 3 monety tybetańskie, własne zdjęcie (...) i 8 talizmanów szczęścia oprawnych w brokatowy jedwab. Pozostaje z szacunkiem, dalajlama Tybetu, pieczęć, datowano: 19 dnia 1-go miesiąca tybetańskiego, roku Wodnej Owcy.*

Rząd tybetański, zdając sobie sprawę z doniosłości znajomości języka angielskiego usiłował 3-krotnie w 1920, 1923 i 1945 otworzyć odpowiednią szkołę. Z obaw o religijne konsekwencje faktu wszystkie usiłowania spęłży na niczym i szkoły zamknięto.

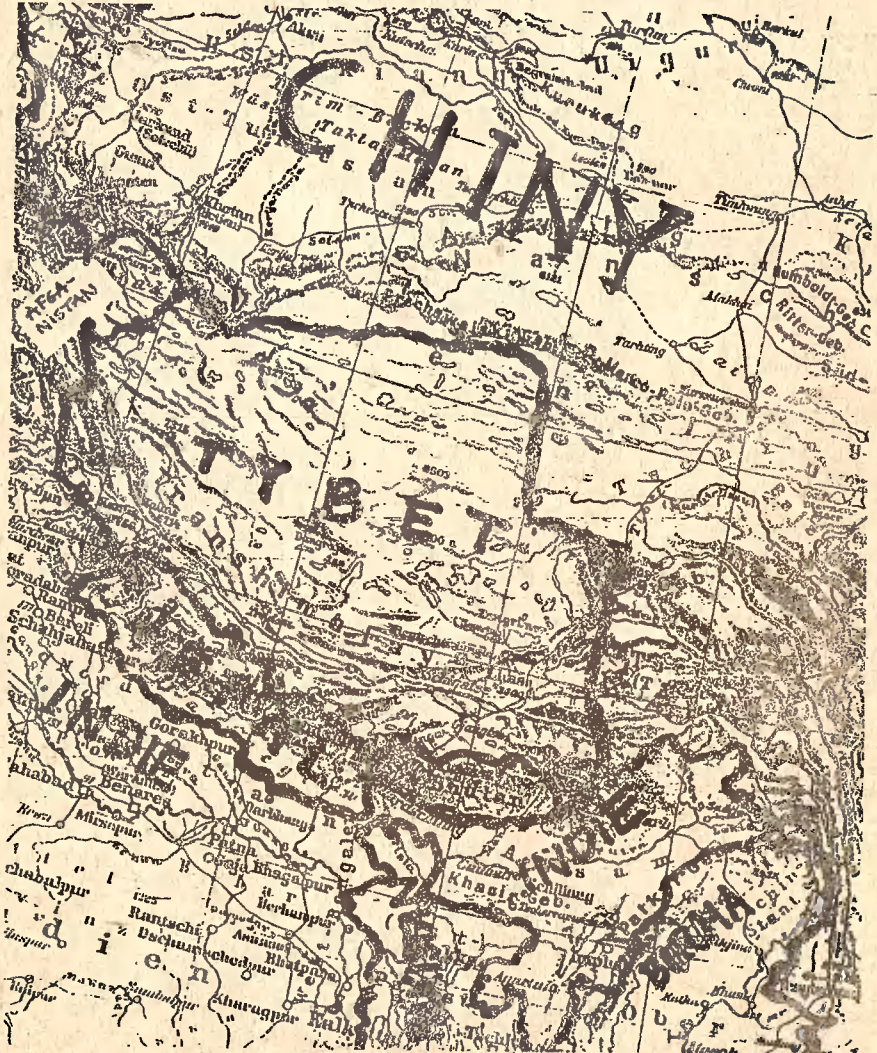
Podobny stosunek mieli z natury nieufni Tybetańczycy do wszelkich prób ingerencji z zewnątrz — czy to rosyjskiej czy brytyjskiej — a uznanie „opieki brytyjskiej” ratyfikowaniem Kon-

wencji z Simla z 1913 roku było typowym wyborem między mniejszym a większym (chińskim) złem. Zaś usunięcie z chińskiej misji handlowej w 1949 roku wszystkich podejrzanych o komunizowanie Chińczyków — to, rzecz jasna, próba uniknięcia zła najwyższego.

W tej sytuacji trudno więc przyjąć argument o „odwiecznych” prawach Chin do Tybetu, a sto-

sunki sino-tybetańskie należy chyba bardziej oceniać w kategoriach słabości i ub siły Chin, którym Tybet starał się w miarę swoich skromnych możliwości dyplomatycznych i wojskowych przeciwstawiać.

Chińczycy starali się opanować Tybet zgodnie z recepturą sowiecką. Analogie są tak przejrzyste, iż najpewniej nie proszą się o żaden ko-



mentarz. Oto fakty: radio Pekin przeprowadza kampanię propagandową, popartą oświadczeniami dostojników partyjnych o odwiecznych prawach Chin do Tybetu. Jeszcze w czasie trwania negocjacji między przedstawicielami dalajamy a ambasadorem Chin Ludowych w New Delhi (Indie jako pierwszy kraj na świecie uznały komunistyczne Chiny), 2 armie chińskie zaatakowały Tybet z ośmiu kierunków likwidując kolejno opór szczupłych i uzbrojonych w sprzęt brytyjski z 1904 roku garnizonów w miastach. Największa bitwa miała miejsce w Sikang, gdzie garnizon tybetański bronił się 6 dni i skapitulował 13.10.1950 tracąc w sumie 4000 żołnierzy.

Następnie przedstawiciele rządu tybetańskiego zostali zmuszeni do stawienia się w Pekinie, by 23.05.1951 pod groźbą śmierci podpisać uprzednio przygotowany dyktando — umowę o Sposobach Pokojowego Wyzwolenia Tybetu. 17-punktowy dokument stwierdza między innymi, że „naród tybetański zjednoczył się w walce z agresywnymi siłami imperializmu (pkt 1, art. 1), przyznaje autonomię Tybetowi; przeryka nie zmieniać istniejącego systemu politycznego ani sprawujących do tej pory władzę urzędników bez względu na szczebel, respektować obyczaje, religię, pozycję dalajamy; nie zmieniać wysokości dochodów monasterów, oraz że ewentualne reformy mają być wprowadzone przez władze lokalne na wniosek ludu tybetańskiego po przeprowadzeniu szerokich konsultacji. Dalajama chcąc wygrać na czasie nie zaopatrył swoich wysłanników w pieczęcie, a zgodnie z tradycją żaden dokument, którego stroną jest Tybet bez owych pieczęci nie ma mocy obowiązującej. Chińczycy pieczęcie sfalszowali, a podpisy wymusili.

Warto przypomnieć, iż kilka wieków wcześniej, gdy dalajama znajdując się w podobnie przymusowej sytuacji wrzucił swoją pieczęć do gotowanej na ognisku zupy Chińczycy pogodzili się z faktem i nie doszło do podpisania niekorzystnej dla Tybetu umowy.

We wrześniu 1951 roku do Lhasy wkroczył 25-tysięczny garnizon chiński, a w październiku dalajama ratyfikował 17-punktową Umowę. W ten sposób Tybet stał się Autonomicznym Regionem Chin, których konstytucja nie jest tak łaskawa dla mniejszości narodowych jak sowiecka, przewidująca przeciw prawo republik do samostanowienia, z oderwaniem włącznie. Następnym logicznym krokiem Chińczyków była neutralizacja no-

minalnej władzy dalajamy nad Tybetem. I tak już w 1951 roku w prowincji Czamdo Chińczycy utworzyli Komitet Wyzwolenia Narodowego (!!!) o prerogatywach lokalnego rządu, nie podlegającego autorytetowi dalajamy.

W 1954 roku w Szigacie powstała specjalna Rada z panczenlamą (wówczas 17-letnim) jako przewodniczącym, a w 2 lata później utworzono Komitet Przygotowawczy Autohomicznego Regionu Tybetu z dalajamą na czele, w skład którego wchodził przedstawiciel w/w ciał oraz rząd dalajamy w Lhasie, posiadający w zgromadzeniu 15 przedstawicieli na ogólną liczbę 51. Tenże Komitet z kolei posiadał przedstawicieli w Chińskim Zgromadzeniu Ludowym.

Demontaż politycznego wpływu dalajamy przeprowadzony został z precyzją odpalania elementów trójczłonowej rakiety sowieckiej i z zachowaniem pozorów legalności, w majestacie terminów sugerujących społeczną legitymację powołanych do życia ciał politycznych, najprzeróżniejszych organizacji, komitetów, lig, rad przedstawicielskich, potwierdzając w pełni słuszność zasady ustalonej kilka lat wcześniej w Europie Wschodniej: im mniejsza baza społeczna komunistycznej władzy, im jawniejszy fakt wojskowej agresji, tym większa, wręcz historyczna staranność o nadanie jej pozorów społecznej konsensusu. Jeszcze inną prawidłowością jest pomysł politycznego wykorzystania renegatów, który, choć stary jak polityka, wyraźnie odżył w czasach najnowszych, wraz z polityczną ekspansją ZSRS. Najwybitniejszym renegatem Tybetu był ówczesny panczenlama.

Chińczycy komuniści mieli o tyle ułatwione zadanie, iż jak już wspomniano wyżej, ideę wykorzystania panczenlamy dla swoich celów wymyślił Czang Kaj-szek w 1935 roku i tylko niespodziewana śmierć renegata zapobiegła usiłowaniu osadzenia go na czele rządu Tybetu, co nie znaczyło wcale, iż generalissimus o swoim pomysle zapomniał. Zgodnie z religijnym obyczajem Tybetańczycy odczekali przepisowe dwa lata, po czym zaczęli rozglądać się za kolejną reinkarnacją lamy „Wielkiego Uczonego”. Z wiadomości z terenu wynikało, iż pretendentów jest aż trzech. Na skutek politycznych i religijnych różnic postanowiono odłożyć decyzję na później, a chłopców oddano pod opiekę monasterom. W 1949 roku Czang Kaj-szek usurpując sobie prawa tybetańskiej wyroczni arbitralnie uznał, iż panczenlamą jest kandydat

z monasteru w Sining w Chinach — terytorium znajdującego się wówczas w rękach kuomintan-gu.

W kilka tygodni później Sining opanowali chińscy komuniści i podjęli się tak intensywnej — edukacji 14-letniego chłopca, iż ten już w dwa lata później przesłał na ręce Mao Tse-tunga telegram dziękczynno-gratulacyjny z okazji „wyzwolenia” Tybetu. W 1952 roku Chińczycy osadzili panczenlamę w Szigace (wówczas po raz pierwszy ujrzał on Tybet) gdzie, jak każdy poprzedni panczenlama został na głowę zwierzchniego monasteru, by w 1954 roku przewodniczyć Radzie Szigatse o prerogatywach lokalnej władzy politycznej i administracyjnej. W tym samym roku Chińczycy podjęli trud kampanii propagandowej mającej udowodnić wszelką wyższość panczenlamy nad dalajlamą. Drukowano nawet broszury reinterpretujące księgi i tradycje lamaizmu.

Godzi się przypomnieć, iż w czasie rozpętania propagandy przeciwko dalajlamie (wówczas miał on lat 19) obaj wraz z panczenlamą (lat 17) gościli w Pekinie jako obserwatorzy obrad Chińskiego Zgromadzenia Ludowego, gdzie w czasie przypadającego właśnie święta narodowego ChRL podczas uroczystego bankietu z pełną powagą ściskali im dłonie Chruszczow, Mao, Bułganin i Nehru.

Uroczystości w Pekinie przebiegały bez zakłóceń, więc w 1956 roku Chińczycy, zgodnie z sugestią Nehru pozwolili dalajlamie na wyjazd do New Delhi, gdzie odbywała się sesja UNESCO. Dalajlama wygłosił przemówienie lekceważąc uprzednio przygotowany przez Chińczyków tekst. Powiedział m.in.: „Podczas, gdy cały świat głosi pokój, istnieją przypadki gdy niezależne narody są pożerane przez narody większe i silniejsze. Nie powinno umknąć to naszej uwadze.”

Ten wybryk, jak i kilka innych przypadków niesubordynacji uszły dalajlamie „na sucho”, bowiem jak iluzoryczną nie byłaby polityczna władza „Żyjącego Buddy”, jego religijny autorytet w Tybecie jest do dziś ogromny. Naturalnie walka z religią była jednym z naczelnych zadań chińskich poczynań — nie tylko propagandowych.

By zdać sobie sprawę z potęgi lamów, należy wiedzieć, iż każda rodzina w Tybecie przeznacza do stanu duchownego przynajmniej jednego męskiego potomka. Zdarzają się, choć nie tak liczne, zakonnice. Co piąty Tybetańczyk jest

więc mnichem, co wraz z zasadą celibatu, jak zauważa Shakabpa, reguluje problem przyrostu naturalnego, z którym — bezskutecznie, lecz za to prawnymi zakazami walczą Chińczycy.

Tak więc chińskie poczynania propagandowe trafiły na glebę szczególnie nieurodzajną — też i z tego powodu, iż usiłowały zmienić świat, który od wieków trwał w niezmiennym kształcie. Propaganda ta posiadała i tę wadę, iż jej zwastunami byli Chińczycy, będący dla Tybetańczyków od zarania dziejów naturalnym wrogiem. Poza tym jej niedostosowanie do specyficznych warunków teokratycznego, feudalnego państwa dyskwalifikowało i skazywało wszelkie usiłowania na niepowodzenie.

Co gorsza, praktyki chińskie na każdym niemal kroku przeczyły propagandowym zapewnieniom jak i zdrowemu rozsądkowi. Np. w Cinghai Chińczycy zarekwirowali świątynie Ta Euh i Chin Yah (ta ostatnia z powodów widocznych gołym okiem zwana jest świątynią złotych płytek) wraz z zawartością na potrzeby odpowiednio Wojskowego i Politycznego Instytutu Prowincji Cinghai. Natomiast zrabowane relikwie wypożyczali na wystawy do ZSRS, Indii, Burmy (gdzie za opłatą wypożyczył zab Buddy) bądź stały się one przedmiotem darowizny. Ten smutny los spotkał m.in. szczątki Hsuan-Tsanga (legendarnego lamy-naukowca), którymi Chińczycy wspinałomyślnie obdarowali Cejlon i Indie. By stworzyć jakąś fasadową reprezentację buddyjską w Chinach, komuniści powołali do życia Chińskie Stowarzyszenie Buddyjskie, którego celem było np. podczas spotkania w Kiangsi „zwalczanie do upadłego sekty Tao”, a w Cinghai — osiągnięcie wycofania się Amerykanów z Libanu. Cele oddziału tybetańskiego Stowarzyszenia sprecyzował wyraźnie generał Czang Kuo-hua, głównodowodzący wojsk chińskich w Tybecie: „Celem sprawniejszej realizacji idei wolności wyznania Chińskie Stowarzyszenie Buddyjskie winno regularnie przekazywać i propagować wśród buddystów politykę, prawa i dekrety KPCh oraz zachęcać wiernych do oddania się studium tych dokumentów jak i do wzięcia udziału w antyimperialistycznej i patriotycznej walce o pokój na świecie, a też w innych konstruktywnych działaniach.”

W ten sposób buddyzm, którego doktryna nie zajmuje się absolutnie sprawami życia doczesnego, usiłowano wprząc w służbę komunizmu. Ta sama doktryna, może dość wygodnie, za-



brania mnicichom pracy, każe żyć z jałmużny, ale też i zabrania zabijania wszelkich żywych stworzeń. Chińczycy kolektywizując Tybet usiłowali zaprzeczyć mnicichom do pracy na roli lub walki ze szkodnikami, a na terenach mongolskich objęto lamów ... obowiązkiem służby wojskowej. Nic więc dziwnego, iż poczynania chińskie, choćby nawet przyswiecał im najwznioślejszy cel, zwykły Tybetańczyk uważał za zamach na własną religię, której praktykowanie jest dlań najistotniejszą częścią życia doczesnego.

Reformatorskie poczynania na niwie postępu cywilizacyjnego chińscy rewolucjoniści rozpoczęli mocnym uderzeniem. Oto bowiem w ślad za postępującymi w głąb Tybetu armiami chińskimi (1950) posuwały się ekipy budowlane, które siłami chińskich więźniów politycznych, jak i przymusową pracą miejscowej ludności rozpoczęły w dosłownie nieprzejeźdnym kraju budowę dróg Sikang - Tybet i Cinghai - Tybet. Armie robotników żywno rekirowanym zbożem (o łącznej wartości ok. 10 mln dolarów) konfiskując przy okazji monety z kruszców o łącznej wartości ok. 300 tys. dolarów wg ówczesnych cen złota i srebra. Budowę obu obiektów ukończono w 1954 roku, a z 200 tysięcy przymusowych robotników tybetańskich (w tym kobiety i dzieci) 40 tysięcy zmarło z głodu i wycieńczenia. Niemniej jednak zbudowano dwie najwyżej położone szosy świata o przeciętnej wysokości 4 tys. m n.p.m. i długości ok. 2300 km każda.

W ten sposób poprzednią izolację geograficzną Tybetu Chińczycy zastąpili polityczną, a kraj utworzyli w tylko jedną - swoją stronę.

Pomoc gospodarcza i walka o postęp cywilizacyjny rozwijały się dalej podobnym wzorem. Miast obiecanej pomocy materialnej, nowo wybudowanymi drogami przybywali do Tybetu chińscy żołnierze (300 tys.), instruktorzy, osadnicy (min. 900 tys.), przywoząc ze sobą, jak zauważa Shakkapa, jedynie puste miski i pałeczki. Spowodowało to w 1954 roku 10-krotny wzrost cen ryżu i głód.

Wypada tutaj wspomnieć, iż zachował się list cesarza chińskiego Czien-lunga z 1751 roku do ambanów i garnizonu w Lhasie, w którym Jego Cesarska Mość zabrania jakiegokolwiek wykorzystywania Tybetańczyków, oświadczając iż będzie wyposażał swoich przedstawicieli w wystarczającą ilość złota.

Należy przypomnieć, iż głód w Tybecie jest wynalazkiem chińskich komunistów, bowiem uprzednio feudalna gospodarka Tybetu, oparta na daninach w naturze i częściowo handlu wymiennym z powodu „nadwyżek produkcyjnych”, a także dobrodziejstwa klimatu pozwalającego na przechowywanie ziarna przez 25-30 lat, rządziła się zasadą składowania w spichlerzach zapasów na minimum 3 lata. Zapasy te udało się dopiero przejść po wkroczeniu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, co aż prosi o przypomnienie smutnego, bo mającego wiele z prawdą wspólnego dowcipu o tym, że gdyby komuniści gospodarowali na Saharze, po kilku latach zabrakłoby tam piasku.

Chiny wówczas, jak i zresztą wyniszczona wojną Europa Wschodnia, znajdowały się na etapie „kumizmu romantycznego”, dla którego nie istniały problemy nie do rozwiązania, a panaceum na wszystko miała być niewolniczo pojęta praca, nierządco wbrew naturze..

Chińczycy, popularni do dziś w świecie dzięki swym oryginalnym metodom walki z plagą insektów i wróblu, cytowanym w podręcznikach jako klasyczny przykład zachwiania równowagi w przyrodzie i jej skutków, czy też powołaniem 50-ciomilionowej armii domorosłych „hutników”, produkujących dziennie w dymarkach ok. 2 kg stali, nie innymi metodami działali w Tybecie.

Zaś sposób realizacji reform i prowadzenia walki ideologicznej charakteryzuje Fan Ming, sekretarz Komitetu Robotniczego Tybetu KPCh w 1957 roku w raporcie do Rady Państwa CHRL: „Część kadr hańskich (Hanowie, stanowiący 60% ludności, to jakby Rosjanie Chin - przyp. wł.) demonstrowała w różnym stopniu pozostałości postaw zgodnych z konceptem wielkozańskim, takich jak brak tolerancji religijnej, respektowania obyczajów tybetańskich i lekceważenie miejscowej ludności.”

Z drugiej strony jednak propaganda chińska twierdziła, iż Hanowie to główna siła rewolucyjna, zaś nieakceptowanie Hanów równa się odrzuceniu komunizmu - czyli zbrodni najwyższej. Wydało to walkę tzw. „lokalnemu nacjonalizmowi”.

Nic przeto dziwnego, iż ten sam Fan Ming zmuszony jest stwierdzić dalej: „Mniejszość (Tybetańczyków - przyp. wł.) rwie się do reform, lecz większość nie wykazuje żadnego entuzjazmu”, i dalej: „Obecnie mamy ponad 5 tys. lokalnych

kadr rewolucyjnych narodowości tybetańskiej, ponad 1000 członków partii komunistycznej, 2 tys. członków Komunistycznej Ligi Młodzieży" - co, gdy zważyć 5 lat indoktrynacji wśród 2,7 mln Tybetańczyków jest chyba niewielkim sukcesem.

Zupełnie przerażająco natomiast brzmi komunikat radia Pekin z 9.05.56, wyrażający *expressis verbis* iście kolonialny stosunek Hanów do mniejszości narodowych: „Uznawanie prawa każdego narodu do samostanowienia nie znaczy, że każda narodowość ma być niezależna i odizolowana. O tym, czy jakaś narodowość ma być niepodległa czy nie... decyduje partia komunistyczna (I). Lenin wyraził esencję prawa narodów do samostanowienia za pomocą prostej formuły: »Dzieńić by jednoczyć«. ". W 5 dni później radio Pekin wyjaśniło, iż „wiele mniejszości narodowych jest politycznie, ekonomicznie i kulturalnie zafakowanych w stosunku do narodowości Han. Żyją one na rozległych terenach o bogatych złożach naturalnych w najwyższym stopniu ważnych dla socjalistycznej budowy ojczyzny. W związku z tą sytuacją KPCh sformułowała swą politykę wobec tych narodów. Jest to polityka konsolidacji i budowy wielkiej ojczyzny".

Próbę wprowadzania reform siłą klóczyli się, rzecz jasna, z literą 17—punktowej Umowy i w centralnym Tybecie Chińczycy poczynali sobie ostroźniej, za to w rejonie Khamba, któremu „reformatorzy" zaordynowali 4800 kołchozów i skolektywizowali 120 tys. gospodarstw doszło w styczniu 1956 roku do rewolty. Bunt w kilka miesięcy rozprzestrzenił się do tego stopnia, iż Chińczycy mimo stłumienia powstania (np. w rejonie Batan-Litang wymordowali ponad 4 tys. osób, w tym kobiety i dzieci) ze względu na nastroje ludności w kwietniu 1957 roku oficjalnym dekretem jak i ustami Przewodniczącego Mao zobowiązali się do rezygnacji z wprowadzania reform w całym Tybecie do 1962 roku. Tymczasem powstańcy tybetańscy wycofali się w góry i walki o charakterze partyzanckim trwały nieprzerwanie do 1960 roku.

Dalsza eskalacja kolonialnych poczynañ Chińczyków zaostrzyła sytuację do tego stopnia, iż zmuszeni oni byli w obawie przed wybuchem powstania w okolicach Lhasy wydać rozporządzenie, zgodnie z którym wszyscy przedstawiciele ludności wschodniotybetańskiej znajdujący się w okolicach Lhasy i Szigace winni powrócić do domu. Tak też się stało, a kilkanaście tysięcy wypędzonych zawiązało w pld. Tybecie w Drigu

Ochotniczą Armię Obrony Narodowej i walki przybrały na siłę. Chińczycy próbowali bezskutecznie rozbić powstańców siłami stacjonujących w Tybecie wojsk, po czym zażądali, by rebeliantom, stała czoła oficjalna armia tybetańska. Tybetańczycy zaś grali na zwłokę usiłując wyjednać mediację prezydenta Indii Nehru. Jednak Chińczycy stwierdzili, iż ze względu na trudną sytuację w Tybecie nie będą w stanie zapewnić Hindusowi bezpieczeństwa i mediacja nie doszła do skutku.

Obok tradycyjnina przyjaznych związków Tybetu z Indiami zwrócenie się z prośbą do Nehru o interwencję miało też pewne podstawy prawne. Indie, odzyskując niepodległość w 1947 roku przejęły wobec Tybetu de facto rolę brytyjskiego protektora, a istniejącymi do 1956 roku pozostałościami tej zależności były 3 indyjskie przedstawicielstwa handlowe w Tybecie wraz ze stacjonującymi tam symbolicznymi garnizonami, jak i pozostawiony przez Brytyjczyków system telekomunikacyjny, którym zawiadywali Hindusi. Jednak na mocy umowy sino-indyjskiej z 1956 roku przedstawicielstwa zamknięto, a telegraf przeszedł w ręce chińskie.

Tymczasem sytuacja Chińczyków w Tybecie nie była łatwa, bowiem rebelianci do początku 1959 roku opanowali całe południe kraju i część wschodniego Tybetu. Nie chcąc dopuścić do stanu otwartej wojny, która wymagałaby sprowadzenia posiłków, użycia ciężkiej artylerii i lotnictwa wywołując skandal międzynarodowy, Chińczycy chwycili się ostatecznie szantażu i sześć chińskiego garnizonu w Lhasie (40 tys. żołnierzy) zażądał, by dalajlama stawił się 10 marca w obozie wojskowym bez eskorty. Było to też, obok jawnego szantażu, wykroczeniem przeciwko protokołowi dyplomatycznemu, który zezwalał dalajlamie na straż przyboczną w sile 5 tys. żołnierzy. Doszło do wymiany listów, a 30 tysięcy Tybetańczyków stanęło dosłownie murem wokół pałacu dalajlami. Po 6 dniach zniecierpiwieni Chińczycy, którym tybetański rząd wypowiedział 17—punktową Umowę z 1951 roku, ostrzelali pałac ogniem z moździerzcy, a dalajlama w przebraniu zbiegł do Indii, o czym Chińczycy dowiedzieli się dopiero po upływie dwóch dni.

Po ucieczce dalajlami, 19 marca 20 tysięcy Tybetańczyków zaatakowało chiński garnizon w Lhasie. Chińczycy opanowali sytuację w stolicy dopiero w trzy dni później. Tybetańczycy stracili ok. 5 tys. osób, w czym większość stanowią lud-



Ucieczka czternastego dałajamy (na białym koniu) do Indii — marzec 1959.

ność cywilna, narażona na bezpardonowy ogień ciężkiej artylerii. Po zdławieniu oporu w Lhasie Chińczycy deportowali 15 z 40 tysięcy mieszkańców Lhasy, a walki jeszcze przez jakiś czas trwały w innych prowincjach. Powszechnie odbywały się rekwizycje, deportacje i egzekucje. W samej prowincji Khan chińczycy zburzyli 250 monasterów i przeprowadzili egzekucje na 6 z 7 głównych lamów (siódmy zbiegł do Indii), w tym jedną poprzez rozerwanie końmi.

Na porządku dziennym były tzw. spotkania konfrontacyjne, czyli „procesy czarownic”, podczas których oskarżano lamów o szarlatanstwo, zbrodniczość, tortury, malwersacje, reakcje i wszelkie możliwe przestępstwa. Ręka chińskiej sprawiedliwości ludowej dosięgła nawet nomadów, którym rekwirowano stada. Ogółem, jak się oblicza, życie straciło 90 tysięcy Tybetańczyków. Walczący w rejonie Khamba wspominali o „błatych żołnierzach - wysokich, o niebieskich oczach, noszących wysokie czarne buty i mundury w kolorze khaki - którym Chińczycy okazali niespotykany respekt”. A więc jednak...

Chińczycy przezebnowali rząd w Lhasie i próbowali nakłonić dałajamę do powrotu, zdejmając sobie sprawę z trudnej do wyłudnienia roli

„sytuacji, w której rebella miała być wywołana przez garstkę bezwplywowych feudałów i reakcjonistów, podczas gdy najwyższy autorytet i nominalna głowa państwa opuszcza stolicę. Gdy zawiody środki wojskowe Chińczycy pozostawili fotel przewodniczącego Komitetu Przygotowawczego w Lhasie pusty głosząc teorię, iż dałajama został uprowadzony przez swych zdradzieckich doradców.” Później miało się okazać, iż Indie przetrzymują siłą Żyjącego Budę.

Próby osiągnięcia jakiegoś rozwiązania ze strony dałajamy poprzez ONZ zakończyły się uchwaleniem rezolucji (przy sprzeciwie państw komunistycznych) domagającej się przestrzegania praw człowieka w Tybecie: Chin nie wymieniono z nazwy.

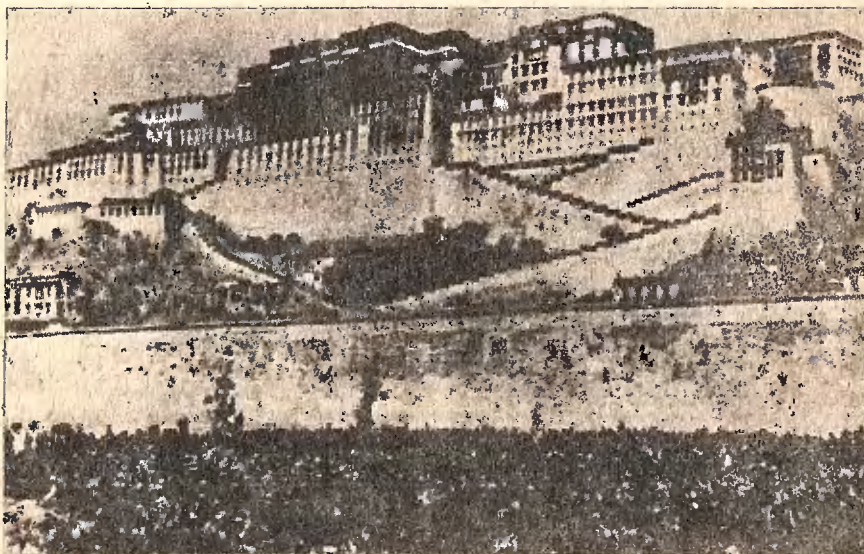
W tym samym 1959 roku Chińczycy wywołali spór graniczny z Indiami, w głównej mierze dotyczący terytorium zachodniego Tybetu. W 1962 roku doszło nawet do krótkotrwałej walki zbrojnej, co położyło kres tradycyjnym wyprawom kupców indyjskich i tybetańskich, dotychczas swobodnie przekraczających granice, a w praktyce, po zamknięciu indyjskich misji handlowych i relegowaniu zamieszkałych w Tybecie Hindusów (nawet w przypadku małżeństw mieszanych) doprowadziło

do kompletnej izolacji „dachu świata”. Byłoby oczywiście zasadniczym błędem przykładać do Tybetu europejskiej miarki i utyskiwanie nad odcięciem Tybetu od reszty świata. Przy tybetańskim oknie na świat nie było nigdy tłoczno, a doktryna religijna każe Tybetańczykowi spoglądać na sprawy życia doczesnego z góry, tj. mniej więcej z wysokości 4-5 tys. m. n.p.m. z powierzchni czterokrotnie większej niż terytorium dzisiejszej Polski. Jeśli jednak w latach 1950-80 jakiś Tybetańczyk zapragnął dowiedzieć się czegoś o otaczającym go universum, mógł to zrobić wyłącznie studiując tybetańską mutację pekińskiego dziennika *Jih Pao*, co zresztą w otworzonych przez Chińczyków szkołach zastępowało działwie Tybetu lekcje historii i wiedzy o współczesnym świecie.

Jednokowoz faktem jest, iż w 1959 roku Chińczycy w Tybecie zatrzasknęli drzwi za ostatnim cudzoziemcem i dziarsko przystąpili do wprowadzania swoich reform, bez konieczności liczenia się z czymkolwiek zdaniem, bez narażania się na poważniejsze międzynarodowe protesty. Tak więc Dawidowi odebrano ostatni kamyczek do procy, a Goliat, podjudzony historią rewolucji kulturalnej złupił 6 tysięcy tybetańskich monasterów część z nich bezpowrotnie niszcząc. skolek-

tywizował cały Tybet, zapędził lamów do roboty, mordując przy okazji, bagatelka, milion Tybetańczyków. Działo się to co prawda w atmosferze kompletnej izolacji, ale i przy miłczącej zgodzie świata, w którym żaden kraj nie ważył się uznać Emigracyjnego Rządu dalajamy. Rozgoryczony W.D. Shakabpa porównał wówczas sytuację swego kraju do sytuacji Czechosłowacji z 1938 roku, co chyba w obliczu podanych wyżej faktów jest w stosunku do państw zachodnich ferowaniem wyroku dość łagodnego. W 1965 roku Tybet stał się oficjalnie Chińskim Regionem Autonomicznym. W latach 80-tych Chińczycy otworzyli Tybet turystom i siłą rzeczy ożyły kontakty dalajamy z własnym narodem.

Jak stwierdza reporter amerykańskiego tygodnika *Newsweek* z 19.10. br., między Tybetem a dalajamą pośredniczy siatka tajnych kurierów - Tybetańczyków, którzy wyemigrowali do Indii i Nepalu, też Europejczyków i Amerykanów. Ostatnio, w końcu września br. doszło znow do poważnych zamieszek w Lhasie i, wg niepotwierdzonych wiadomości, w Szigace. Doniesienia agencji prasowych były sprzeczne i dość trudno o klarowny obraz zająć. Mówmy więc, kosztem chronologii i przyczynowego związku, o faktach. 24.09. br. Chińczycy mieli publicznie stracić dwóch krymi-



„Żywy mur” kobiet tybetańskich wokół Potali, pałacu dalajamy w Lhasie — marzec 1959



Rozruchy w Lhasie — październik 1987

nalistów tybetańskich. W dniach 21-28 września w USA gościł dalajlama i przedstawił komisji Kongresu 5-punktowy projekt uregulowania stosunków sino-tybetańskich. Na dzień 1.10. przypada święto narodowe ChRL, obchodzone także w Lhasie, na 7.10. br. przypadła z kolei 37 rocznica „wyzolenia” Tybetu. Z pewnością między w/w wydarzeniami a demonstracjami w Lhasie 27.09. i w okresie 1-6.10. istnieje jakiś związek przyczynowy.

Demonstracje zainicjowane przez mnichów monasteru Jokhang wywołały natychmiastową reakcję chińskiej milicji, co doprowadziło w sumie do śmierci co najmniej 8 osób, aresztowań i pobić. Spalono też miejscowy posterunek milicji wraz z archiwum odbijając aresztowanych uprzednio mnichów. Milicja otoczyła kordonem monaster Jokhang, wprowadzono godzinę policyjną, a do Lhasy przybyły znaczne posiłki chińskiej milicji i wojska. Dziennikarzom zagranicznym, zarekwirowano filmy i notatki wprowadzając wobec nich „areszt hotelowy”. Chińczycy przerwali też (3.10.) wszelką łączność telefoniczną i teleksową Lhasy ze światem (nawet między Katmandu a konsulem nepalskim), a następnie polecieli wszystkim dziennikarzom i turystom indywidualnym opuścić Tybet w ciągu 48 godzin (7.10.) Reakcja świata na wydarzenia w Tybecie była ty-

powa. Kongresmeni amerykańscy złożyli protest w ambasadzie ChRL w Waszyngtonie, Bundestag na wniosek partii Zielonych podjął odpowiednią rezolucję.

W obu przypadkach chodziło, a także, o przestrzeganie praw człowieka. Natomiast Indie 7.10. zarygłowały kordonem granicę z Tybetem, by uniknąć przyływu uchodźców, a w New Delhi policja brutalnie rozpędziła demonstracje emigrantów tybetańskich przed ambasadą chińską i budynkiem Kongresu. Bawiący w tym czasie w Chinach szef CDU Strauss wskazał na złożoność problemu i zaapelował o ostrożność komentując protest kongresmenów amerykańskich pytaniem: „Czy władze amerykańskie widzą w ewentualnej władzy mnichów w Tybecie urzeczywistnienie swych demokratycznych ideałów?”. *Die Welt* z kolei opublikował wypowiedź Erwina Rickerta, byłego ambasadora RFN w Pekinie (1976-80), z której wynika, iż Chińczycy w roku 1978 zmienili swą politykę wobec Tybetu przyznając się do popełnionych błędów i próbując je naprawić odbudową monasterów, budową dróg, szkół, przemysłu, zaopatrzeniem Tybetu w traktory i samochody. Pan Wickert stwierdził też, iż sytuacji Tybetu nie można porównywać do sytuacji w Afganistanu, oraz iż nieporozumieniem jest mówienie o prawach człowieka, jako że mnichom lamajskim

nie o to chodzi, bowiem sami sprawując władzę praw tych nie przestrzegali. Wyrazili też przypuszczenie, iż lamowie nie mają o nich pojęcia.

(Nie mogę się tu powstrzymać od komentarza: Panie ambasadorze, idąc tym tropem myślenia, Pańska ojczyzna winna raz a dobrze uderzyć się w piersi, przyznać do błędów, odbudować synagogi, wypłacić zniszczonym przez ostatnią wojnę krajom kontrybucję — najlepiej mercedesami i volkswagenami — odbudować drogi, a potem strzelać do każdego, kto ośmieli się mówić o drugiej wojnie).

Warte odnotowania jest oficjalne stanowisko Tajwanu, z którego wynika, iż ostatnie zamieszki w Lhasie są skierowane nie przeciw Chińczykom, a przeciw komunistom, w czym Tajwan całkowicie popiera Tybet do dostarczenia broni włącznie, uważając go jednak za nieodłączną część Chin.

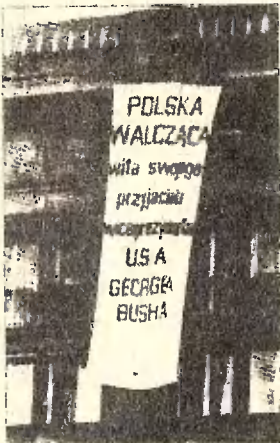
Doniesienia prasy chińskiej i stanowisko chińskich przywódców do złudzenia przypomina komentarze sowieckie wobec protestujących ostatnio Łotyszy, Litwinów i Tatarów. Wynika z nich, iż demonstracja w Tybecie wywołane została przez agentury obcego wywiadu i nie posiadających społecznego poparcia reakcyjnych mniichów, a też nielicznych kontrewolucjonistów. Wszelkie protesty zagranicą są mieszaniną się w wewnętrzne sprawy Chin. Natomiast sprawę 8 zabitych Chińczyków wyjaśniają w dn. 1.10 br. w sposób zgoła fantastyczny. Oto bowiem demonstranci mieli rozbroić milicjantów i otworzyć ogień do przyglądającej się z dezaprobatą zajęściom miejscowej ludności.

\* \* \*

Mamy 19 listopada. Ostatnie doniesienie prasy niemieckiej dotyczące Tybetu pochodzi z dn. 3.11. z *Sueddeutsche Zeitung* i dotyczy informacji przywiezionych przez wydalonych z Lhasy dn. 31.10. trzech nauczycieli angielskiego (2 Anglików, jeden Niemiec), z których wynika, iż protesty trwają nadal, a na murach pojawiają się codziennie ulotki i gazetki ściennie donagające się niez-

wiełego Tybetu. Z dziennikarskiego obowiązku wobec czytelnika śledziłem przez blisko dwa miesiące codziennie *Tagesspiegel*, *Sueddeutsche Zeitung*, *Die Welt*, *Neue Zuercher Zeitung*, *FAZ*, *TAZ* i *Frankfurter Rundschau*, też *Die Zeit*, *Der Spiegel*, *Newsweek*, *Time* w aspekcie ostatnich wydarzeń w Tybecie.

Mam wynotowane wszelkie doniesienia i oficjalne stanowiska rządów. Wynika z nich niezbitnie, iż fakt istnienia ok. 2 milionów Tybetańczyków jest światu wyraźnie nie na rękę — świat chce spokoju.



Ostatnio prezydent Indii Ghandi jeszcze raz podkreślił serwilistyczny stosunek swego rządu wobec Chin. USA już w 1978 roku uznały Tybet za część „Państwa Środka”, a politycy obu mocarstw, jak i stojących za nimi krajów bez wahania składają Tybet na ołtarzu idei przeciągnięcia Chin na swoją stronę, czy choćby otworzenia tego ogromnego rynku zbytu dla swoich towarów.

Ci z czytelników, którzy z uporem godnym lepszej sprawy przebrnęli przez gąszcz dat i nazwisk spytają pewnie: A cóż nam do Tybetu? Ano wiele.

Po pierwsze my, Polacy, jak zwykle nie wdający dalej niż koniec własnego nosa, który dla wielu z nas nie powinien być zbyt długi i za bardzo opadać w dół, poświęciliśmy budyjiskim mniichom jedynie makabryczny dowcip: Co to jest — małe, żółte i pali 3 litry benzyny? Gdyby ktoś nie rozumiał o co chodzi, wyjaśniam, iż o mnicha, który w proteście dokonuje aktu samospalenia oblewając się uprzednio benzyną.

Po drugie, niechże ta garść faktów i płynących z nich konsekwencji zabrzmii jako kolejny apel o trzeźwość sądu i oglądu świata do tych z nas, którzy rozpatrują problem Polski w kategoriach moralnych czy też w kontekście ostatnich sowieckich reform, albo gestów wiceprezydenta Busha czy słów senatora Kennedy'ego.

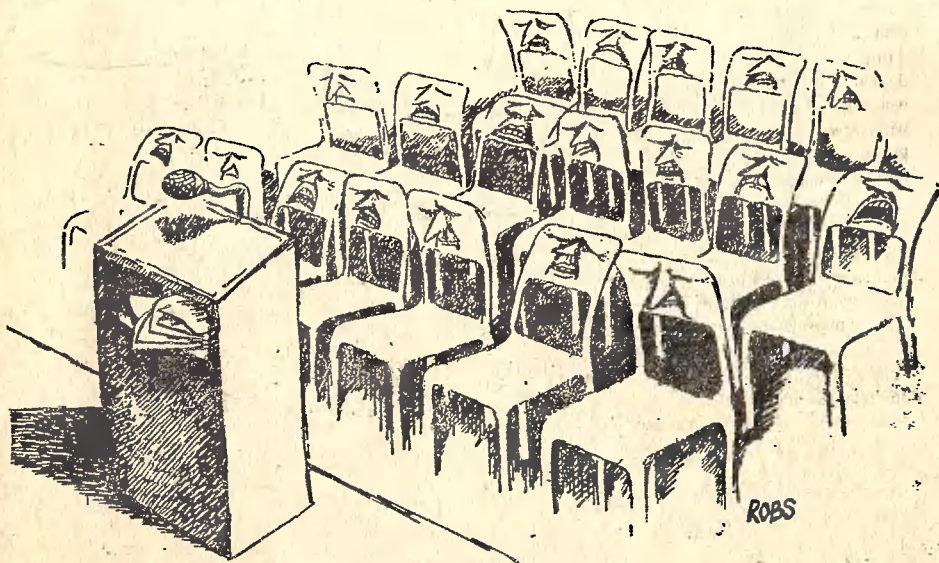
Prawda bowiem jest taka, że od 3 września 1939 roku wielka polityka toczy się ponad naszymi

mi głowami, a doniesienia o *Solidarności Walczącej* karmią dziś siódme i ósme strony gazet. Sowiecko-amerykański brydz rozgrywany jest w zapisie międzynarodowym, a nie polskim. Zaś „polska karta”, choć z pewnością kier, z wymalowanym Chopinem, Paderewskim, papieżem i Wałęsą, bez względu na rozdanie będzie zawsze zrzutką, sygnalizującą może ilość posiadanych przez gracza atutów. Poza tym obie strony są po partii i wypadki drożej kosztują. Sowietci mają w rękawie kartę afgańska, dysydencka, osób żydowskiego pochodzenia, w licytacji stosują OSW (odzywka szlemowo-wywiadowca). Poza tym karty są znaczone i tej grze, poza Panem Bogiem, nie

przygląda się żaden sędzia. Polska była zrzutką w czasie Kongresu Wiedeńskiego i Jałty, a w razie potrzeby będzie nią i teraz — jak kiedyś Węgry, Czechosłowacja, Afganistan, Chile, a ostatnio Tybet.

Ani przy tym zipniemy, ni puścimy bąbla z przereźbli.

*W związku z brakiem dostępu do polskich źródeł poza wydanymi w Polsce po wojnie encyklopediami, w przypadku wielu nazw i nazwisk użyłem pisowni angielskiej. Z góry więc przepraszam za ewentualne odstępstwa od polskiej tradycji ortograficznej.*



# Pieriestrojka na ludowo?

(RUMUNIA)

Jeżeli Polska jest najweselszym barakiem w obozie (niektórzy zaczynają w to powątpiewać), to najbardziejym niewątpliwie była i jest Rumunia. Co prawda, różnica między resztą baraków z roku na rok zmniejsza się — i to bynajmniej nie za sprawą wychodzenia Rumunii z kryzysu — jednak wyjątkowość państwa rządzonego od ponad 20 lat przez „Conducatora” Ceausescu — pomimo rozsypywania się gospodarki prawie wszystkich innych państw-członków obozu — nadal pozostaje fenomenem, tworząc pewnego rodzaju wzorzec, do którego zdążają koledzy po fachu i mentalności Wielkiego Przywódcy.

Nędza panująca w Rumunii zadziwić potrafi nawet Bułgarów czy Polaków, którzy dość dobrze znają mechanizmy „socjalistycznego zaopatrzenia ludności” i na własnej skórze odczuwają planową działalność komunistycznych „przywódców” własnego chowu. W Rumunii od roku 1981 obowiązuje ścisła reglamentacja podstawowych artykułów żywnościowych jak chleb (300 g — dziennie) oraz w racjach miesięcznych: masło (315 g), mleko (3 litry), jajka (9 sztuk), drób (1,42 kg), cukier (1,2 kg), mąka (1,5 kg) i ziemniaki (4 kg). Również racjonowane jest mięso, dla którego danych mi brak. Od czterech lat wprowadzane są przez władze tzw. „plany oszczędnościowe”, mające zmniejszyć zadłużenie Rumunii za granicą i „poprawić” sytuację gospodarczą. Rezultaty na razie są takie, iż w szpitalach z braku prądu zamarzają noworodki, a ludzie w domach siadają do stołu w płaszczach. Poparta dekretem prawnym obowiązująca norma maksymalnej temperatury w prywatnych mieszkaniach nie może przekroczyć 12 stopni Celsjusza. Włączać można tylko jedną żarówkę w jednym pomieszczeniu jednego miesz-

kania. Maksymalna moc żarówki (też mocą dekretu) nie może przekraczać 40 W. Nie wolno posiadać elektrycznych urządzeń gospodarstwa domowego, a tym bardziej podgrzewać zwisających z sufitu sopli (zimy z 30-stopniowymi mrozami w Rumunii nie są rzadkością) elektrycznym grzejnikiem. W dzielnicach, w których przekroczona zostanie norma przydziału prądu (35 kW/h miesięcznie na rodzinę — co jest wielkością odpowiadającą mniej więcej trzykrotnemu użyciu pralki automatycznej) wyłącza się po prostu dopływ prądu bez względu na to, czy w rejonie podlegającym sankcji znajduje się szpital czy też nie. Opieka lekarska podlega bowiem normom socjalistycznym, wśród których ciekawostką jest dekret zabraniający przyjmowania do szpitali ludzi powyżej 65 lat. O godz. 21.00 kraj zamiera, pogrąża się w ciemności i zimnie — kończą działalność teatry, kina, restauracje; co 200 metrów tli się niemrawo jedna latarnia uliczna, zapewne po to, by nocne patrole milicji mogły rozróżnić, w jakiej znajdują się dzielnicy. Obrazu dopełnia nadzwyczaj sprawna policja, wyjątkowo „sprawiedliwe” i szybko działające sądy oraz dobrze zaludnione więzienia. Z demografii Ceausescu nie jest jednak zadowolony i postanowił zaludnić także inne pomieszczenia mieszkalne w Rumunii. Opracowano odpowiedni plan, według którego obywatele Rumunii powinni się tak mnożyć, by w roku 2000 osiągnąć okrągłą liczbę 30 milionów (obecnie: 22,7 milionów). Pamiętano też o opornych: bezdzietne małżeństwa obciążono dodatkowymi podatkami, a w fabrykach przeprowadzono przymusowe badania ginekologiczne kobiet po to, by „Conducator” uzyskać mógł lepszy wgląd w problem niskiego przyrostu naturalnego.



Na Zachodzie Rumunów nazywa się „narodem cierpliwym” tzn. takim, który cicho siedzi, pozwala się maltretować i nie wymaga od drugiej połowy Europy (jakimiś strajkami czy demonstracjami) zajęcia wyraźnego stanowiska wobec popełnianych nieprawości. Nota bene wygląda na to, że dla zachodnich demokracji każdy naród nie podnoszący krzyku w obliczu gwałtu jest „cierpliwym i wyrozumiałym”. „Cierpliwymi” byli Węgrzy do 1956 r., Czesi i Słowacy do 1968 r., Polacy do 1980 r. (z małymi przerwami); permanentnie „wyrozumiali” są Bułgarzy, narody ZSRS oraz własnie Rumuni. Niedawno okazało się, że społeczeństwo prowadzone do komunistycznego raju przez Ceausescu straciło chęć cierpliwości.

15 listopada ub. roku na ulice drugiego co do wielkości miasta Rumunii — Braşova wyszło 1500 robotników fabryki traktorów „Steagul Rosu” (czerwony sztandar). Bezpośrednim powodem protestu było obcięcie premii. Gdy w niedzielę rano nocna zmiana skończyła pracę, robotników nie pozwolono pójść do domów, lecz kazano im wsiadać do przygotowanych ciężarówek, mających zawieźć ich do urn rozpoczynających się właśnie wyborów komunalnych, w których naród potwierdzić miał zaufanie do władzy. Tym ciężarówką zignorował (parę nawet przewrócił) i ruszył w kierunku centrum miasta.



Conducator

Sprawną dotychczas policja rumuńska nie interweniowała. Demonstrację wzięto bowiem za jak najbardziej legalną i nikt nie dziwił się, iż w niedzielę o szóstej rano robotnicy po nocnej zmianie manifestują swoje poparcie dla polityki Ceausescu. Dopiero gdy rozpoczęła się dymić miejscowy komitet partynny oraz biuro burmistrza, policja „wsparta” czołgami zaczęła wypełniać swoje obowiązki. Tuż wzrosło do 5000 osób. Doszło do walk ulicznych, w których według nie potwierdzonych informacji zginęły dwie osoby, byli też liczni ranni (szczególnie w bitwie o miejski ratusz). Demonstranci rozbili magazyn z żywnością przeznaczoną dla „równiejszych”, znajdując tam od lat nie widziane w sklepach dla „równych” smakołyki: wędliny, sery, pomarańcze, czekolady. Dopiero po sześciu godzinach czołgom i policjantom udało się rozgnać demonstrantów. Aresztowano ok. 400 osób.

Informacje na temat zasięgu rozruchów w Rumunii do dnia dzisiejszego są niepełne. Według zachodnich dyplomatów do podobnych protestów doszło również w innych miastach Rumunii. Także w samym Bukareszcie nie było spokoju: w trakcie ulicznych zamieszek podpalono pomnik Lenina. Wiadomo także o studenckich demonstracjach w Temeswarze na początku grudnia. O zasięgu protestów świadczy też fakt, iż skąpy zwyczaj w krytyczne informacje dotyczące spraw wewnętrznych serwis rumuńskiej agencji prasowej podał (dwa tygodnie po fakcie) wiadomości o zajściach!

Zaskoczeni byli nie tylko zachodni dyplomaci, ale także rząd Rumunii, a szczególnie sam „Conducator”. Cechą charakterystyczną tych rozruchów było to, iż większość „wrogich okrzyków” zaadresowana była osobiście do I Sekretarza, a nieobecne prawie były zwyczajne wśród narodów obozu przy takich okazjach slogany antysowieckie i antykomunistyczne. Wynika to zapewne z faktu, iż wszystko, co w ostatnich latach zbudowano, zmarnowano, znówu zbudowano i ponownie wpięprzono kojarzone jest nieodmiennie w Rumunii z osobą Wielkiego Przywódcy. I nie bez racji. Ceausescu jest podręcznikowym przykładem przywódcy komunistycznego rządzącego krajem „cierpliwych”. Wszystkie jego projekty, „strategiczne pociągnięcia na polu ekonomiki”, usprawnienia gospodarcze, nowe metody rządzenia i bardzo szczególnie prawodawstwo okazały się „obiektywnymi trudnościami” na drodze do dobrobytu, czyli mówiąc po ludzku, przekroczyły

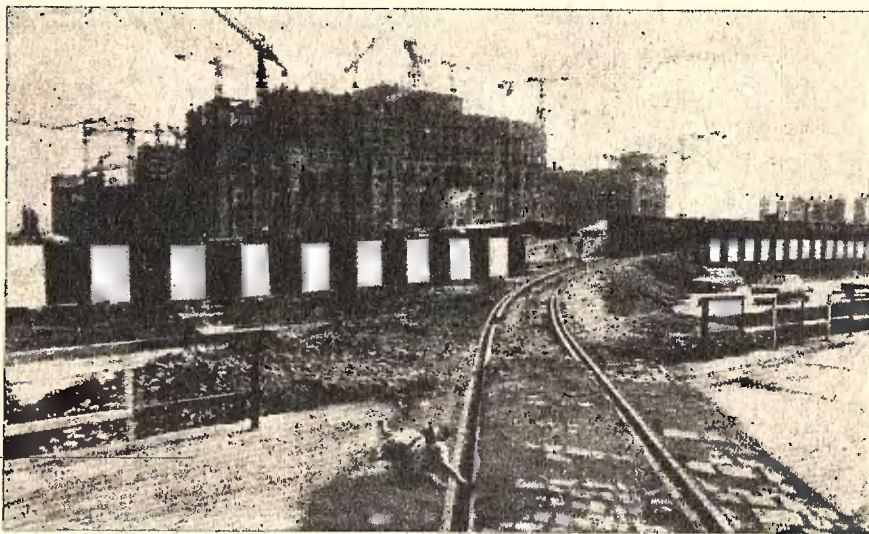
nawet poziom głupoty dopuszczalny w komunizmie.

Historia doprowadzenia jednego z krajów europejskich w drugiej połowie XX wieku do stanu państwa niedorozwiniętego jest równie prosta jak mentalność komunistycznego przywódcy o stalinowskich ciągotkach. Na początku lat sześćdziesiątych Ceausescu postanowił (tak jak reszta kolegów po fachu) zrujnować we własnym kraju rolnictwo, a dochód narodowy wyrównać inwestycjami w przemyśle ciężkim — głównie stalowym i petrochemicznym. Gigantomania Ceausescu przybrała w tym przypadku rozmiary porównywalne jedynie z szaleństwami Stalina w latach jego najpłodniejszej działalności. Ideą „Conducatora” było przerobienie kraju rolniczego w przemysłowy z perspektywą dojścia do samowystarczalności. W samym roku 1969 zbudowano w Rumunii ponad 200 obiektów przemysłowych, nie inwestując ani jednej bani w rolnictwo. Nowopowstające ośrodki przemysłowe pokrywały niesamowitą ilość pracowników, z których większość pochodziła ze wsi. W ciągu trzech lat produkcja stali wzrosła o milion ton.

Drugim hobby „Conducatora” stał się przemysł petrochemiczny. Postawiono olbrzymie zakłady przetwórcze ropy, których możliwości prze-

robowe trzykrotnie przekraczały możliwości wydobycze kraju. Wszystko zawałło się tak, jak w podręcznikach antykomunistycznych napisano. Produkty przemysłu stalowego były bardzo niskiej jakości i prawie nikt nie chciał ich kupować, a przemysł petrochemiczny uwiłdł z braku surowca. Zaczęto sprowadzać bardzo drogą ropę z zagranicy (w tym od Wielkiego Brata — za dolary bądź żywność). Nie trzeba wspominać, że większość elektrowni nastawiona była — wobec świetlanych perspektyw przemysłu petrochemicznego — na ropę, w związku z czym w państwie rumuńskim robiło się coraz ciemniej i zimniej. „Conducator” postanowił jednym pociągnięciem, zlikwidować narosłe „przejściowe trudności” i rozkazał przestawienie kraju na elektrownie węglowe i wodne. Z równym rozmachem jak poprzednio rafinerie, zaczęto budować kopalnie i zapory wodne. Niestety, węgiel okazał się bardzo podłej jakości, a niezbyt logicznie rozlokowane zbiorniki wodne wysychały w upalne lata bądź musiały być używane do nawadniania pól. Pozostał tylko jeden sposób wyjścia z kryzysu, sposób bardzo popularny w krajach na wschód od Łaby: **oszczędności**.

Jednak genialne pociągnięcie Wielkiego Przywódcy zlikwidowania kryzysu w przemyśle poprzez ograniczenie ilości jajek do 9 na miesz-



Gmach Republiki — ku chwale Wodza Ceausescu



Kolejki na ulicach Bukaresztu

Kańca miesięcznie nie przyniosło spodziewanych efektów. By utrzymać na chodzie przestarzałe i niewydajne owoce własnej gigantomanii, Ceausescu zaczął brać pieniądze zza granicy. Kredyty jak zwykle płynęły warko i bez koniecznych warunków czy ograniczeń. Jednak „Conducator” nie dał się ponieść euforii, jakiej ulegają zazwyczaj wobec miliardów dolarów z Zachodu inni przywódcy krajów socjalistycznych i nakazał jak najszybsze spłacenie krydytów, nawet za cenę jeszcze drastyczniejszych oszczędności. Powód tak niezwykłego kroku wyjaśnił sam Przywódca: długi zagraniczne osłabiają pozycję Rumunii na świecie i uzależniają ją od zachodnich kredytodawców, co w sumie może ograniczyć możliwości oddziaływania rumuńskiej polityki zagranicznej, która jest nie tylko ozdobą i chlubą naszego kraju, ale także, czy raczej przede wszystkim głównym hobby „Conducatora”. Kredyty z Zachodu spłacane są w oszałamiającym tempie: wierzyciele zaproponowali nawet Ceausescu, by przestał się tak gorączkować i spokojnie rozplanował dalsze spłaty, w ten sposób, by gospodarka mogła nieco odechnąć, ale dla „Conducatora” hobby jest ważniejsze i nadal spłaca on długi kosztem wewnętrzne-

go zaopatrzenia (wszystko idzie na eksport) i modernizacji przemysłu. Między rokiem 1981 a 1985 Rumunia zmniejszyła zadłużenie w zachodnich bankach z 10,5 mld dolarów do 7 mld. Pod koniec roku 1987 było tego już tylko ok. 5 mld.

„Conducator” wie jednak co czyni. Jego zagraniczne hobby jest jedynym polem, na którym Rumunia otrzymuje pozytywne cenzurki od świata. Zachwyty na niezależnością rumuńskiej polityki zagranicznej rozbrzmiewają nie tylko wśród demokracji parlamentarnych. Także ośrodki opozycyjne w Europie Wschodniej wypowiadały się z podziwem o hobby przywódcy Rumunii, nie bardzo zdając sobie sprawę, jakim kosztem owa niezależność jest utrzymywana oraz czemu służy ów parawanik niesubordynacji wobec Sowietów. Ceausescu nie tylko chce być widoczny na arenie międzynarodowej, ale usilnie zabiega jeszcze o miano dobroczyńcy narodów. Raz po raz słyhać z Bukaresztu i różnych międzynarodowych spotkań wezwania „Conducatora” do pojednania między zwaśnionymi krajami. Energia Przywódcy jest niewyczerpana i w równym stopniu troszczy się on o pokój na Bliskim jak i na Dalekim Wschodzie, nie zapominając też o Ameryce Środ-

kowej. Ostatnim apelem Ceausescu było wezwanie do Reagana i Gorbaczowa, by jak najszybciej spotkali się i załatwili problem zbrojeń w Europie. Niestety obydwaj mocarstwa nie doceniły wysiłków „siewcy pokoju” i nawet mu nie podziękowały za wkład w układ. Ceausescu poczuł się bardzo dotknięty i, jak plotka polityczna niesie obraził się; nie pojechał do Berlina Wschodniego na spotkanie przywódców obozu z Gorbaczowem. „Conducator” potrafi jednak być też bezinteresowny. Po rozruchach w Brasovie i Bukareszcie, po ogłoszeniu paru apeli do narodu o zwiększenie tempa oszczędności pojechał do Egiptu siać pokój i przy okazji udzielił Mubarakowi pożyczki w wysokości 200 mln dolarów — na rozwój gospodarki.



Państwo Ceausescu adoptowali 3000 sierot.

Szaleństwa Ceausescu nadal są oklaskiwane na wszystkich krajowych konferencjach i wieczornicach ku pamięci, telewizja nieustannie transmituje objawy zachwytu nad „dobroczyńcą”, jednak po rozruchach w Brasovie i innych miastach obserwatorzy życia w Rumunii coraz częściej mówią o zmianie atmosfery w tamtejszym społeczeństwie. Coraz więcej ludzi wyraża swoje niezadowolone z poziomu życia i braku widoków na wyj-

ście z głębokiego kryzysu. Coraz więcej Rumunów przełamuje strach przed kontaktem z cudzoziemcami i udziela krytycznych odpowiedzi na pytania o sytuację wewnętrzną.

Nęcza w Rumunii ma dwa oblicza polityczne: z jednej strony służy reżimowi w niedopuszczeniu do rozwoju opozycji; antagonizuje ludzi, a także ułatwia możliwości ugłaskania niezadowolonych bile czym. Z drugiej jednak strony tam, gdzie nie ma, nie ma też nic do stracenia i możliwość wybuchu ogólnego buntu przeciwko reżimowi staje się coraz bardziej prawdopodobna. Ceausescu zareagował na obie strony alternatywy: po rozruchach kazał wypłacić wszystkim pracującym Rumunom jednorazową premię oraz zapamięt na chwilę sklepy w większych miastach; posunięciem tym towarzyszyła zwiększona aktywność policji, tajnej i mundurowej.

Jednak owe manewry zapobiegawcze robią coraz mniejsze wrażenie na Rumunach. Społeczeństwo (a także niektórzy czołowi komuniści) zdają sobie sprawę z beznadziejności sytuacji wewnętrznej pod rządami rodziny Ceausescu. Odzywają się głosy żądające reform oraz ustąpienia klanu „Conducatora”.

Równie silnie zaczynają być akcentowane hasła narodowościowe (na pomniku Lenina w Bukareszcie przed podpaleniem napisano: „Oddajcie nam nasz kraj!”). Jednak głównym problemem jest nęcza! O rozpacz ludzi wobec braku jakichkolwiek perspektyw na poprawę świadczy to, iż wielu pozytywnie przyjęłoby nawet interwencję sowiecką, gdyby to mogło coś zmienić, a przede wszystkim odebrać władzę „Conducatorowi”. Ceausescu zbytnio zaniepokojony nie jest i nadal spokojnie uprawia swoje hobby, a w przerwach opracowuje nowe plany rozwoju Rumunii (na przykład zażądał, by w przyszłym roku zbiory zboż wzrosły do 35 mln ton — w roku 1985, określonym jako dobry, zebrano poniżej 20 mln ton, itd. itp.). I chociaż nadal jego przemówienia, tak jak to wyloszone na konferencji partyjnej po rozruchach w Brasovie („Dzisiaj stwierdzić możemy, że wybraliśmy właściwą drogę”), przerywane są po kilkadziesiąt razy burzliwymi oklaskami (ostatni rekord z połowy grudnia 1987: 50 razy) Rumunia powoli przestaje być „krajem cierpliwych”.

Niedaleka wydaje się przyszłość, w której przewagę zdobyć mogą „gniewni”, a wtedy „najbardziej zapalny” stac się może najbar-

# Wywiad

## Z

# Aleksandrem Dubčekiem

Po raz pierwszy od 1970 roku Aleksander Dubček udzielił bardzo obszernego wywiadu dwóm dziennikarzom włoskiego dziennika *L'Unita*, organu tamtejszej partii komunistycznej. Dubček miał możliwość w czasie bezpośredniej rozmowy z włoskimi dziennikarzami w dn. 19.12.1987 uzupełnienia i poszerzenia swojej wypowiedzi. Hamburski tygodnik *Die Zeit* (15.01.1988) opublikował ten wywiad dokonując pewnych skrótów i opierając się na tekście w języku słowackim autoryzowanym przez Dubčeka. Poniżej zamieszczamy fragmenty wywiadu. Tłumaczenia dokonano z języka niemieckiego:

★ ★ ★

(...)

— Czy patrząc z dzisiejszej perspektywy, sądzi Pan, iż wkroczenie wojsk, które raptownie pojawiło kres Praskiej Wiośnie było do uniknięcia?

— Użyli Panowie słowa „dzisiaj”. Muszę je uwzględnić w odpowiedzi. Dzisiaj wiemy, że było to niemożliwe, bowiem nie leżało w mocy Czechosłowacji. Usłyszałem i przeczytałem wiele zastrzeżeń, uwag krytycznych i rad, co powinienem był uczynić, a czego nie. Jednak nikt nie zadał sobie pytania, co uczynić mogłem. W międzyczasie wiemy, że ów „nowy kurs” w tamtejszych warunkach był w całości mimo wszystko nie do przyjęcia.

Ktoś mniej zorientowany może się nadal upierać, iż można było uniknąć interwencji wojskowej. Z pewnością — ale tylko przy założeniu, iż sami przy pomocy wojska i policji zdławimy nasz program działania i wszystkie reformy.

Dążenia takie nie istniały w Komitecie Centralnym, ani w rządzie, parlamencie, czy też były reprezentowane przez osobę prezydenta. I nawet jeśli zdecydowano by się na taki krok, natrafił by on na zdecydowany opór szerokich mas, co dowodzi, iż nie można było uniknąć interwencji wojskowej.

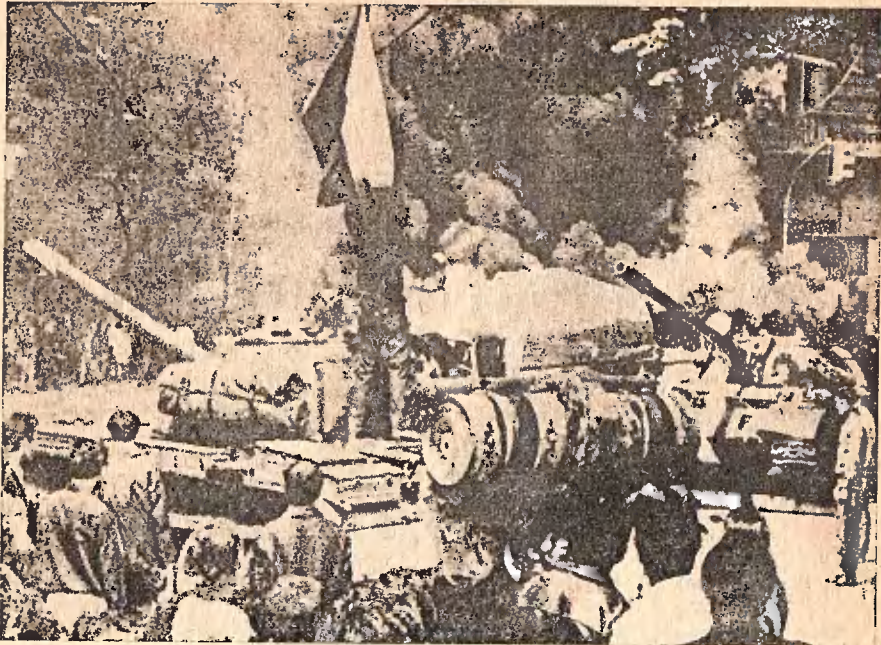
Z całą stanowczością mogę stwierdzić, iż jeśli w ZSRS w tamtym okresie byłaby u władzy ekipa polityczna podobna dzisiejszej, wówczas wkroczenie pięciu armii byłoby nie do pomyślenia.

— Czy nie popełnił Pan wówczas żadnych błędów? Inaczej formułując pytanie: czy nie czyni Pan sobie żadnych zarzutów?

— (...) To prawda, że doszło wówczas do nieznanego u nas wcześniej zjawiska. Z inicjatywy społecznej powstał „Klub 231”, w związku z paragrafem 231, dotyczącym „wrogiej działalności wobec państwa”. Celem klubu była rehabilitacja bezprawnie prześladowanych obywateli. Pewne elementy antysocjalistyczne chciały to wykorzystać.

W podobny sposób powstał „Klub zaangażowanych bezpartyjnych” (KAN). Większość członków szukała tam pola i możliwości do działań w ramach naszych reform. Jednakże prawdą jest również, iż niewielka grupa osób chciała wykorzystać KAN do akcji przeciwko naszemu programowi działania. Również kampania autorów „2000 słów” była w konsekwencji szkodliwa dla naszego procesu odnowy, gdyż była ona wodą na młyn dla sekciarzy.

Należałoby tu jeszcze dodać, iż po zniesieniu cenzury część dziennikarzy nierozważnie chciała



Sowlekkie czołgi w Pradze w 1968 roku

wy badać, czy teraz „rzeczywiście wszystko przejdzie”. W nieprzemyślanych artykułach stwarzali oni „argumenty” i odbijali między sobą piłeczkę, która jednak wciąż lądowała na naszych głowach i obciążała nasze stosunki polityczne z zagranicą.

Dlaczego powracam do tych niepożądanych negatywnych zjawisk, które stały się sprzeczności z ruchem odnowy? Gdyż właśnie te zjawiska dostarczały argumentów krytykom naszych poczynań: poprzez „niezdecydowanie” zaprzepaściliśmy szansę wykorzenienia tych zjawisk „przy pomocy środków stojących do dyspozycji władzy”. Z góry uprzedzam: środki te stały do naszej dyspozycji. Czy jednak ich użycie byłoby w duchu polityki, którą zdecydowaliśmy się prowadzić? Wprost przeciwnie, zawiodłoby nas to na manowce, czego tak bardzo życzyli sobie nasi przeciwnicy. Jest zupełną naiwnością żądanie lub zakładanie (których również dziś demagogicznie nadużywa się), iż taki ruch rewolucyjny będzie przebiegał bez zjawisk ekstremalnych. My, tj. kierownictwo partii i państwa, bardzo dobrze rozpoznawaliśmy te zjawiska, poddawaliśmy analizie, ocenialiśmy i

również je potępialiśmy, ale środkami i metodami politycznymi, a nie administracyjnymi czy przymocą. Równocześnie chciałbym dodać, że my wszyscy, łącznie z tymi, którzy pozostali u władzy i do dziś reprezentują jej struktury nie ocenialiśmy tych zjawisk w całości jako zorganizowanej wewnętrznej siły, która byłaby w stanie dokonać przewrotu. Dowodu na to dostarczyły same wojska interwencyjne, które obsadziły nie te budynki, w których działały owe grupy, lecz budynki partyjne i rządowe oraz redakcje mass mediów. Aresztowani zostali przedstawiciele kierownictwa partii i państwa, a nikt z tego „kontrewolucyjnego bloku”.

Nie mam sobie nic istotnego do zarzucenia. Z pełną odpowiedzialnością i w zgodzie z moimi możliwościami i sumieniem mogę stwierdzić, iż nasz program reform i polityka, przy pomocy której chcieliśmy je realizować znalazły uznanie Czechosłowackiego narodu.

— Wielu jest zdania, iż właśnie Pańskie poglądy o powiązaniach demokracji z socjalizmem były główną przyczyną wkroczenia Związku So-

wieckiego i bratnich państw 21 sierpnia 1968 roku. Czy zgadza się Pan z taką oceną?

— Ják Panowie sami dobrze wiedzą, nie pozostawiono nas ani w spokoju, ani nie dano nam czasu na zrealizowanie programu.

Prowadziłoby to zbyt daleko, gdybym wylizał tu ingerencje kierownictwa partii z NRD i Polski w nasze sprawy wewnętrzne. Z pewnością kiedyś historia dokona takiego bilansu. Nie można za wszystko winić Związku Sowieckiego, nawet jeśli w sprawie interwencji wojskowej do ZSRS należało ostatnie słowo.

Olbryzmia rolę odgrywały tu umyślnie fałszywe, subiektywne sprawozdania, które miejscowi informatorzy przekazywali do Moskwy. Część starszych funkcjonariuszy partyjnych straciła swoje stanowiska na różnych szczeblach w tajnych wyborach. Niektórzy z nich nie mogli się z tym pogodzić. Utożsamiali oni swoje prywatne lęki z obawami o sprawą socjalizmu w ČSRS.

W historii istnieje dość przykładów na to, iż jednostka swój osobisty los przedstawia jako los całego społeczeństwa. Takich informacji chętnie wysłuchiwało w NRD czy Polsce.

Nie chciałbym też przemiłczeć mojego przeświadczenia, iż Zachodowi wcale nie zależało na sukcesie czechosłowackiego ruchu reform. W pewnym sensie 21 sierpnia był na rękę państwom zachodnim. Nie chciałbym generalizować. Doceniam wszystkie głosy, które w naszym nowym kursie widziały możliwość poprawy stosunków pomiędzy Zachodem a Wschodem. Lecz również na Zachodzie istniały ośrodki, które przyczyniły się do tego, aby podburzać przeciwko nam naszych sprzymierzeńców i w ten sposób skrócić czas potrzebny do realizacji twórczej polityki.

Z dystansu 20 lat nasuwa się następująca odpowiedź: Nasza polityka odnowy, tak jak sformułowano ją w programie działania i nasza stanowczość co do realizacji tego programu rzeczywiście były wówczas dla naszych sprzymierzeńców nie do przyjęcia. Przemawia za tym całkowita likwidacja linii politycznej KC, czechosłowackiej partii komunistycznej i rządu.

Nadał sądzę, iż naród, masy mają prawo wyboru, kontroli i odwoływania swoich reprezentantów i przywódców. Także partia komunistyczna powinna umacniać swoją przywódczą rolę polityczną w społeczeństwie za pomocą demokratycznych środków. Wtedy może być pewna, iż naród dobrowolnie uznaje jej wiodącą rolę, bo ma do niej zaufanie i uznaje atrakcyjność jej progra-

mu. W roku 1968 partia podjęła działania o taką właśnie wiodącą rolę. A najważniejszym doświadczeniem wprowadzanej wówczas w życie rewolucyjnej odnowy jest fakt, że jej się to udało.

Demokracja i socjalizm są nierozdzielne. Osłabienie demokracji deprecjonuje socjalizm i prowadzi w krajach socjalistycznych do ustawicznych sytuacji kryzysowych. W ciągu ostatnich 20 lat zwiększyły się trudności krajów socjalistycznych. Tym bardziej doceniam stwierdzenie obecnego przywództwa KPZS z towarzyszeniem Gorbaczowem na czele, które przez „jedność komunistów” absolutnie nie rozumie uniformizmu czy hierarchii, ani też prawa do mieszania się w wewnętrzne sprawy innych bratnich partii, czy też prawa do monopolu na prawdę. „Faktyczna jedność komunistów Wschodu polega na ich walce o wspólne cele — o pokój i socjalizm.” Niestety, sentencja ta nie obowiązywała przed 20 laty. (...)

— Jak zmieniło się Pańskie życie po wykluczeniu Pana z partii komunistycznej?

— (...) Jak przebiegało dalej moje życie? Obrazowo mówiąc: jak więźnia, który jest pilnowany i porusza się w bardzo ograniczonym obszarze.

(...) Z zawodu jestem ślusarzem. Pracowałem więc jako mechanik w gospodarce leśnej, potem jako rzemieślnik w pewnym zakładzie. Ta praca jest piękna. Niektórzy mówią, że praca ta jest brudna, lecz jest to jakby czysty brud. Jedno, co mnie niepokoiło, to moi „aniołowie stróże”, którzy mnie pilnowali i wymyślali różne sposoby, by dać mi to odczuć. Dopiero od czasu wizyty towarzysza Gorbaczowa w Czechosłowacji zniknęli. (...)

— Z pewnością przez ten długi okres czasu zadawał Pan sobie pytanie, czy pewnego dnia będzie mógł Pan podjąć działalność, która została w tak brutalny sposób przerwana w sierpniu 1968 roku. Czy istnieją podstawy do żywienia takiej nadziei?

— (...) Otwarcie staram się o moją polityczną rehabilitację, żądam tego również dla moich towarzyszy. Kto traci nadzieję, traci perspektywę na przyszłość, obojętnie co w niej się zawiera. Zaufanie i nadzieję daje mi przede wszystkim przeświadczenie, iż sposób naszego rewolucyjnego działania, wyrażony w programie przed 20 laty był słuszny.

(...) Jeszcze kilka słów o tych, którzy obojętnie z jakich powodów w ubiegłych latach opuścili Czechosłowację.

Dokończenie na str. 59

KAMIL WILCZYŃSKI

# Związek po 6 latach

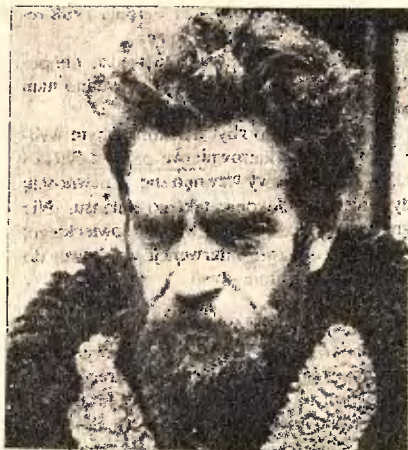
Rozmowa z Andrzejem Gwiazdą — jednym z przywódców strajku w Gdańsku w Sierpniu 1980, członkiem Komisji Krajowej „Solidarności”

**Kamil Wilczyński: Co u Ciebie? Nie wchodzisz w skład żadnych oficjalnych gremiów Związku...**

Andrzej Gwiazda: Ostatnio bywam tygodniami na budowie elektrowni w Ciechanowie. Pracuję jako malarz budowlany. Daje się na tym nieźle zarobić.

**— Czy Związek „Solidarność” Twoim zdaniem jeszcze istnieje? Inaczej mówiąc, w całym tym „krajobrazie po bitwie” — jak go nazwał Kuroń — po sześciu latach niepowodzeń i rozczarowań, jak widzisz teraźniejszość i możliwości funkcjonowania Związku?**

— Nie widzę. Z unoszącego się nad tym po-bojowskim dymem nic mi się nie układa. Rozległe obszary życia społecznego, na które ocalałe po grudniu ogniwa Związku powinny być wejść z koncepcją, z inspiracją, z pomocą — stopniały, skurczyły się. Nie ma ich, albo społeczeństwo przestało się interesować naszą na nich obecnością. „Solidarność” powstała jako związek zawodowy i tych 10 milionów ludzi, którzy wkrótce do niej napłynęli, odczuwało potrzebę nie innej organizacji, ale właśnie związku zawodowego. Po zniesieniu legalnych struktur „Solidarności” ta potrzeba stała się nie mniej, ale jeszcze bardziej żywa. Władza wykorzystwała bowiem stan wojenny nie tylko dla celów politycznych, lecz również do zwiększenia wyzysku ekonomicznego, poprzez pogorszenie warunków pracy i płacy — czego skrajnym, choć bynajmniej nie marginesowym



przejawem były zakłady zmilitaryzowane.

Niestety, warunkami pracy i płacy w okresie stanu wojennego, ani później, nie zajmowały się w dostatecznym stopniu ani tymczasowe władze „Solidarności”, ani nawet prasa podziemna. W każdym razie pisała o tych sprawach mniej niż prasa oficjalna, interesowała ją głównie polityka. A przecież ludzie oczekiwali, że Związek się tym zajmie. Jeszcze, gdy wracałem z więzienia latem 1984, załogi na to czekały. Przechodziła wówczas przez kraj fala strajków, robionych zresztą niesty-

**Rozległe obszary życia społecznego, na które ocalałe po grudniu ogniwa Związku powinny być wejść z koncepcją, z inspiracją, z pomocą — stopniały, skurczyły się.**

chanie mądrze. W drugiej połowie 1984 i pierwszych miesiącach 1985 było tych strajków paręset, w tym znane strajki kobiet — w Róży Luksenburg i w Żyrardowie. Mądrość polegała na tym, że niemal we wszystkich przypadkach nie strajkowały całe załogi, rzecz odbywała się w skali wydziałów, które miały najtrudniejsze problemy.

Zazwyczaj nie wiedzieli o tych akcjach komitety wojewódzkie partii, ani nadzrzedne władze gospodarcze. Od dyrekcji zakładów wymagano spokoju w załogach ze względów politycznych, a



za niepokoje groziły kary. Więc dyrektorzy, jeśli tylko załatwienie postulatów strajkowych nie przekraczało poziomu ich kompetencji — ulegali. W Gdańsku m.in. Prototypownia w Centrum Techniki Okrętowej zastrajkowała w związku z niesprawiedliwym podziałem premii. Kierownik tego wydziału był jednocześnie sekretarzem partii w zakładzie, więc nie ustępował. Ale gdy wiadomość o proteście rozeszła się po całym przedsiębiorstwie, dyrekcja ustąpiła. Do Prototypowni w krótkim terminie przyjechał płatnik wynagrodzeń, a kierownika odwołano. Niektóre protesty były nawet ukrywane przed Tajnymi Komisjami Zakładowymi „Solidarności”, żeby one swoim udziałem nie nadawały sprawie politycznego charakteru, co by prowadziło do nieprzejednania po stronie władz i do represji. Niestety, Tymczasowa Komisja Krajowa traktowała te strajki jako dzikie. Nie identyfikowała się z celami ich uczestników, wobec czego i z nią się nie identyfikowano.

— A gdyby traktowała te akcje inaczej? Przecież od TKK naprawdę niewiele zależało...

— Można było podpowiadać ludziom, że ich przeciwnikiem w danej sytuacji nie jest ani Kremł, ani KC, ani komuniści w ogóle — bo o tych przeciwnikach mówiono — tylko dyrektor albo kierownik w zakładzie. Jeśli da im się szansę załatwienia konkretnej sprawy, to ją załatwią, chroniąc interes przecież nie komunistów, ale własny. Ponieważ kierownicze czynniki „Solidarności” niczego takiego ludziom z poziomu zakładów nie sugerowały, zabrakło wspólnego języka i ludzie ci po prostu przestali przywiązywać do istnienia TKK czy komisji regionalnych jakąkolwiek wagę. Wpływanie przez Związek — czy raczej to, co z niego pozostało, na sytuację w zakładach spadło w okolice zera.

— A założymy, że komisje podpowiadałyby załogom formy sprzeciwu, a załogi by z tych podpowiedzi korzystały — to by z tego mogło wynikać na dłuższą metę?

— Nawet jeżeli nic, to obowiązkiem statutowym działaczy „Solidarności” jest niesienie pomocy ludziom w rozwiązywaniu ich problemów.

— Ale na dalszą metę?

— Każdy sukces integruje grupę, a to otwiera drogę do wystąpienia o zdobycze większe i ważniejsze, stwarza pozycję wyjściową dla dalszych sukcesów, czy to ekonomicznych czy politycznych. A w ogóle nie należy sądzić, że jak coś się dobrego robi, to zaraz Pan Bóg obyspie nas diamentami. Gdyby strajki tego rodzaju, o jakich

mówiłem były przez Związek zalecane, wspomniane i poszłyby szerzej, oddziaływały mobilizująco na całe pracujące społeczeństwo, miały szansę zepchnięcia władzy do defensywy, stworzenia innej atmosfery. A że zdecydowanie popłaca — mam jeszcze jeden przykład: w moim „macierzystym” Elmorze. W tamtym okresie 3 zmiany na galwanizerni — wszystko wysoko kwalifikowani fachowcy — solidarnie złożyły wymówienie z pracy. Zaoferowano im po 5 tys. podwyżki, ale oni nie przyjęli. I dostali więcej!

— Kierownictwo Związku podjęło jednak próbę wywołania masowego strajku w 1985 r., na tle podwyżek cen.

— Za późno. Hierarchiczny układ struktur podziemnych najpierw sprawił, że nie dostrzegły one, co się dzieje w terenie, w zakładach. Struktury te powinny mieć charakter usługowy, a nie miały. Ich hierarchiczność popychała je raczej do przypisywania sobie kompetencji władczych. Więc wtedy — w 1985 r. — wzywały do strajku, mimo że ich orientacja w nastrojach była nikoma. Z rezultatem wiadomym: w całym kraju na wezwanie do strajku powszechnego pozytywnie odpowiedziały może 3, a może 4 zakłady. Jednakże nie wyciągnięto z tego wniosków. Komisja Krajowa i regionalne tym bardziej chciały się wykaazać jakimś działaniem. Stąd całe mnóstwo

---

### ... obowiązkiem statutowym działaczy „Solidarności” jest niesienie pomocy ludziom w rozwiązywaniu ich problemów.

---

przedsięwzięć i akcji pozornych, które nie miały innego sensu poza wykazaniem obecności Związku, bez żadnych celów merytorycznych, konkretnych. Załogi wyczuły to nastawienie instancji i chęć udziału w widowiskowych akcjach zewnętrznych, poza zakładami — w manifestacjach — wygasła w nich szybciej niż wola walki. Stąd — poza poszczególnymi przypadkami w głównych ośrodkach „Solidarności” (Wrocław, Warszawa, Kraków) mieliśmy w ostatnich latach zamiast manifestacji same rytuały przykościelne. Najświeższym przykładem akcji pozornej, obliczonej na efekt, bez treści merytorycznych, jest tworzenie komitetów założeńskich „Solidarności” w skali zakładów. Inspirowane i wspierane przez działac

czy TKK, czy teraz KKW, ma ono niewiele wspólnego z rzeczywistymi interesami załóg.

— Można by przyjąć Twój zarzut w odniesieniu do niektórych np. świnoujskich komitetów założycielskich, których przedstawiciel Możejko twierdzi, że nie powinny podejmować żadnych konkretnych zadań, by nie kompromitować swojej legalności, powinny czekać niejako „z bronią u nogi”, aż władze zdecydują się na ich rejestrację. Owszem, jest taki nurt. Ale inne komitety...

— Wiem, masz na myśli np. Ursus, czy wrocławski Predom-Polar. Tam istotnie komitety wyszły z programami rzeczowego działania. Jednak one również postawiły się właściwie poza NSZZ „Solidarność”.

— Dlaczego?

— Bo złamały statut Związku. On przecież zakazuje przynależności do innej organizacji związkowej. Zaś występując o rejestrację na poziomie zakładu, tworzy się przecież nową organizację.

— Czy można jeszcze dziś tak rygorystycznie trzymać się statutu? W sześć lat po grudniu? Moim zdaniem komitety te są znakomitym pomysłem: w ogólnym zastoju, czy zgola cofaniu się Związku, wywołały w zakładach pewien ruch; tam, gdzie powstały, doprowadziły do pewnego ożywienia całych załóg.

— Ostatecznie, podobnie jak w stosunku do samorządów, mógłbym przyjąć, że widocznie jest już tak źle, że trzeba się ucickać do krętactwa, do

---

### Jednak związki zawodowe, w przeciwieństwie do innych organizacji powinny zaczynać działalność, zanim zostaną uznane.

---

kombinacji z władzą, do naruszania statutu, byle tylko podtrzymać jakieś gasnące reszki ruchu „Solidarność”. Ale nie umiem być aż takim pesymistą. Rozumiem, że ożywienie w zakładach, o jakim mówisz, wzniesienie niezależnej pracy-związkowej łatwiej jest osiągnąć przez wniosek o rejestrację, zapewnijający grupie założycielskiej legalny status i minimum bezpieczeństwa. Jednak związki zawodowe, w przeciwieństwie do innych organizacji, powinny zaczynać działalność zanim zostaną uznane. W tej fazie związek jest nawet skuteczniejszy, nieskrępowany układami z pracodawcą.

Zaczynając działanie staje się dla pracodawcy tak niewygodny, że on ustępuje, by nie ponieść strat; nie czekając na skutki niezadowolenia załogi. Takie są w każdym razie moje doświadczenia z gdańskich, przedsiębiorczych wzz. A nawet w czasach, gdy nikomu jeszcze nie śniło się o wzz, więc tym bardziej o „Solidarności”, dyrektor w moim zakładzie zawsze wiedział, do kogo przyjść i zapytać, co załoga zrobi, jeśli on postąpi tak a tak. I chociaż zgadzam się, że ujawnienie nazwisk

---

### ... jestem za zwołaniem KK. Niech takie spotkanie ustali kryteria i przyjmie zasady konstrukcji Związku.

---

ułatwia robotę tym nowym komitetom założycielskim, to jednak formalna anonimowość, jak widzisz, wcale nie musi być przeszkodą. W tamtych czasach wystarczyło, że w zakładzie ukazało się 20 ulotek z jakimś postulatem i podpisem „załoga”, by mieć pewność, że jedna dotrze do dyrektora, która udzieli odpowiedzi przez głośnik.

— Jednak czas są inne. Ulotka z podpisem „załoga” nikogo nie przestraszy, bo takich ulotek było już tysiące, a dyrektor i tak wie swoje; że ów podpis kryje małą grupkę działaczy.

— Statutowa droga odbudowy organizacji Związku w zakładach — droga oddolnego nacisku jest zapewne dłuższa i trudniejsza, ale w sumie skuteczniejsza i szybciej prowadziłaby do celu. Natomiast obecny kurs, zamiast utrwać w zakładach zdolność do działań niezależnych od władzy, uczy krętactwa, uczy kombinacji z władzą.

— Skoro mowa o statucie Związku: jesteś sygnatariuszem listu 22 działaczy „Solidarności”, głównie członków Komisji Krajowej, którzy — bez skutku, jak dotychczas — domagali się zwołania tej Komisji. Wymienia się Ciebie w dokumentach tzw. Grupy Roboczej KK, która wyłoniła się spośród sygnatariuszy, jako uczestnika tej Grupy...

— Na mocy statutu, KK jest najwyższym organem Związku, wniosek skierowany został — również zgodnie ze statutem — na ręce Przewodniczącego. Moim obowiązkiem było więc poparcie wniosku, zwłaszcza, że jest wiele spraw trudnych i spornych, który wymagają zabrania głosu przez KK.

— Ale minęło już 6 lat, kadencja władz miała

trwać tylko 2, a niejeden z mandatariuszy na pewno utracił kompetencji, by wypowiadać się w zasadniczych kwestiach.

— Co więcej, funkcjonują dziś inne władze, niestatutowe. To jest jakby sytuacja sporna, a § 43 statutu zastrzega, że w sprawach spornych decyduje Komisja Krajowa.

— Rzecznik prasowy obecnych władz „Solidarności”, Janusz Onyszkiewicz, twierdzi, że wchodzi w grę partykularne interesy niektórych sygnatariuszy listu i uczestników Grupy, którzy nie mając żadnej realnej bazy ani wpływów chcą podtrzymać swoją rolę społeczną przez reaktywowanie KK w dawnych kształcie...

— Pomijając nawet styl wystąpienia rzecznika i przyjmując, że mogą się zarysować interesy partykularne — jestem ze zwołaniem KK. Statut poddaje kontroli takie interesy — to jedna z głównych jego funkcji. Nie dziwię się więc, że mamy do

czynienia z oporem wobec rozwiązania statutowego. Z drugiej strony dopuszczam oczywiście, że to rozwiązanie ma zwolenników, którzy są nimi również ze względów partykularnych. Skoro jednak ci ostatni występują zgodnie ze statutem, to trzeba nad ich motywami przejść do porządku i zwołać Komisję.

Zwołajmy ją. Niech się zbierze i nawet zaakceptuje obecny układ władz „Solidarności”. Zwołajmy ją nawet z udziałem tych działaczy, którzy nie są mandatariuszami. Niech takie spotkanie ustali kryteria i przyjmie jasne zasady konstrukcji Związku. W ten sposób pogodzimy wymagania życia i sytuacji — które przecież rozumiem — z wymaganiami statutu i utrzymamy prawowitość niezbędną, by „Solidarność” pozostała „Solidarnością”, by zachowała swoją tożsamość.

— **Dziękuję za rozmowę.**

W-wa, grudzień 1987

# kontakt

Pismo członków i współpracowników Solidarności. Miesięcznik społeczno-polityczny wydawany w Paryżu od kwietnia 1982 roku.

Pismo udostępnia czytelnikowi możliwość pełnej obraz sytuacji w kraju, przedstawia miejsce Polski na tle wydarzeń międzynarodowych, informuje o przebiegu walki z totalitaryzmem w całym bloku wschodnim.

Pismo zawiera ponadto między innymi:

Analizy i propozycje; Relacje i reportaże; dział „Z obrotu”, ukazujący sytuację na obszarze imperium sowieckiego; Kocciot i polityka; Kultura; Emigracja; Ze świata i inne.

Do nabycia w Redakcji i w polskich księgarniach na Zachodzie.

Cena: F.28,00 lub \$ US 5,00.

Prenumerata roczna — F. 300,00; półroczna — F. 155,00.

Adres Redakcji:

152, rue Saint-Maur, 75011 Paris

Cena przesyłki lotniczej — F. 55,00 (poł roku) lub równowartość w innej walucie; F. 110,00 (rocznie).

# Polacy w ZSRS

*Niniejszy artykuł został ogłoszony w wychodzącym poza cenzurę sowieckim biuletynie Głusnost' (nr 8) redagowanym przez znanego dysydenta Sergieja Grigorjanca (ur. 1941 r.), który po kilkakrotnych pobytach w łagrach wyszedł na wolność w roku 1987 na podstawie amnestii. Pierwszy numer pisma Głusnost' został wydany w Moskwie w czerwcu 1987 r. Biuletyn nr 8 z września 1987 r. został w całości przedrukowany przez wychodzący w Paryżu tygodnik rosyjskiej emigracji Russkaja Mysl' w wydaniu nr 3707 z dn. 15.01.1988 r. Poniższy tekst publikujemy bez skrótów za paryskim tygodnikiem.*

W porównaniu z czasami Katynia stosunek do Polaków znacznie się poprawił... jednakże, być Polakiem w ZSRS ciągle nie jest łatwo. Milion ich rozsianych po kraju (ZSRS — przyp. red.) stopniowo zapomina języka, nie wykładanego na większej części jego terytorium, a także ojczyzną kulturę; o historii własnego narodu Polacy muszą dowiadywać się z rosyjskich podręczników — stronicznych i powierzchniowych, szczególnie zaś wrogość władz wobec religii katolickiej burzy jedną z głównych baz życia narodowego. To, że niedawna odmówiono Janowi Pawłowi II wjazdu do ZSRS, dotknęło nie tylko mieszkańców republik nadbałtyckich ale i Polaków. Pod presją zewnętrzną wielu z nich pogodziło się z rezygnacją ze swojej narodowości. Jednakże w celu asymilacji niekiedy potrzebna jest nawet taka ich dobrowolna zgoda. Przecież Polaków rejestruje się jako Rosjan lub Ukraińców i bez ich zgody — zgodnie z miejscem zamieszkania. W latach 1959-1970 ilość Polaków w ZSRS zmniejszyła się o 230 tys.

Jan Makarski, który nadesłał swoje artykuły do redakcji Głusnost' stracił również i nazwisko. Jedyne w rezultacie długich protestów udało mu się udowodnić, że nie jest Iwanem i Białorusinem. Wówczas uprzedzono go, ile będzie kosztować go ten upór.

Jest pochodzenia chłopskiego. Skończył uniwersytet i na własnej skórze doświadczył, ile warta jest oficjalna frazeologia mówiąca o równości. Dziesięcioletnie starania o otrzymanie mieszkania zgodnie z limitem w Moskwie do niczego nie doprowadziły. Podczas gdy Rosjanie otrzymywali zameldowanie na stałe w ciągu 2-3 lat, Makarskiemu udzielano odpowiedzi w rodzaju: „Niech ci Warszawa da mieszkanie”. Pięć lat temu bez sądu i śledztwa deportowano go z Moskwy. Nie przyniosły skutku petycje do sowieckich władz administracyjnych i partyjnych. Przecież musiał opuścić gospodarstwo rodziców i dopiero po długich wędrówkach udało mu się osiedlić w Połocku.

10 czerwca 1986 roku, wykorzystując nieobecność Makarskiego w mieszkaniu, bez świadków i bez zgody prokuratora przeprowadzono w jego mieszkaniu rewizję. Zginęły osobiste notatki i 500 rubli. Organa prokuratury w Połocku i Witebsku tak samo jak i prokuratura związkowa republiki nie zainteresowały się sprawą, zaś w Prokuraturze Generalnej ZSRS nie chciano go nawet wysłuchać. Możliwość wyjazdu do Polski w celu odwiedzenia krewnych lub na stałe sowieckie prawodawstwo (tym bardziej nowe) nie przewiduje. W międzynarodowym roku opieki nad bezdomnymi, bezdomny Makarski po raz kolejny oświadcza, iż życzy sobie, aby uwolniono go od tytułu sowieckiego obywatela (D.E.) — tłum. ked. ■

# Rozmowy ze Zdzisławem Najderem

Oto podtytuł książki „Czy Polaków stać na optymizm?“, która niebawem ukaże się nakładem „Poglądu”.

*Dwóch publicystów emigracyjnych – Wiktor Grotowicz i Stanisław Oleś – rozmawiało z byłym dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa Zdzisławem Najderem tuż po jego odejściu z kierowniczego stanowiska w RWE (marzec 1987). Autorzy, jak sami piszą we wstępie, chcieli w tej książce pokazać „człowieka o niezwyklej umysłowości i takiejż biografii, człowieka należącego do tych intelektualistów polskich, którzy nie zmienili własnych poglądów pod wpływem tej najbardziej w latach 40-tych i 50-tych nęcącej (i w równych stopniu okrutnej) ideologii jaką był komunizm”.*

*Tematyka „Rozmów...” jest bardzo obszerna – od najnowszej historii Wolnej Europy poprzez lata stalinowskie w Polsce, sytuację intelektualistów w zmieniającym się klimacie politycznym PRL, opozycję lat 70-tych, okres „Solidarności”, aż po emigrację. Wszystkie te wątki pokazane są poprzez osobę Zdzisława Najdera, człowieka, „który – jak piszą autorzy – w momencie, gdy wybrał los emigranta w bezwzględny sposób szykanowany był przez władze PRL: od bezprzykładnych ataków propagandowych do wyroku śmierci włącznie”.*

Oto fragmenty:

(...)

– Wróćmy do tematu *Twórczości*.

– Do pracy w piśmie ściągnęła mnie właśnie Anka Baranowska. Gdzieś mnie zauważyła i zaproponowała, żebym zaczął pisywać. Zacząłem pisać recenzje. Pamiętam, że na samym początku

przyniosłem do redakcji wydarte autorowi prawie siłą wiersze Zbyszka Herberta. Jarosław się zachwycił.

– W którym to było roku?

– To było w 56-tym, przed Październikiem jeszcze. Pamiętam, jaki był zachwycony tymi wierszami. Były to wiersze zupełnie inne od późniejszego Herberta, bardziej liryczne, mniej filozoficzno-dyskusyjne. Było to jeszcze przed „Trenem Fortynbrasa”, wiersze te weszły do „Struny światła”, pierwszego tomiku poetyckiego Herberta, ale już w nich było widać wielki talent. Ja napisałem zresztą z tego tomiku recenzję, mimo że nie byłem krytykiem poetyckim, a wzięło się to z tego, że i on i ja byliśmy ludźmi marginesu. Długo to trwało zanim uznani krytycy, krytycy z establishmentu, zaczęli – jako coś normalnego – zajmować się pisarzami z marginesu. Całe środowisko krakowskie na przykład było przez literacką Warszawę, a zwłaszcza środowisko krytyków traktowane z góry. Ktoś może to kiedyś wyświeklić, bo byłby to bardzo ciekawy temat, nawet na pracę doktorską: jak i dlaczego świadomość istnienia takiego talentu jak na przykład Jana Józefa Szczepańskiego tak późno dotarła do Warszawy. Dlaczego tacy ludzie byli obciążeni najpierw stygmatem opozycji, a potem jakiegoś duchologicznego katolicyzmu?

– Ale już w 1959 roku Szczepański dostał nagrodę Hemingwaya...

– Nagroda Hemingwaya dla Szczepańskiego była z jednej strony dziełem Bronka Zielińskiego, który nawiasem mówiąc siedział ileś tam lat w więzieniu, a potem tłumaczył Hemingwaya, bardzo zresztą się z nim zaprzyjaźnił, a z drugiej strony zaangażował się w to PEN-Club. Pamiętam jak Janionówna odkryła raptem w późnych latach sie-

demdziesiątych „Polską jesień” i napisał wręcz, że oto odkryła najlepszą polską powieść o Wrześniu. Tyle tylko, że odkryła ją dwadzieścia lat po wydaniu, a w trzydzieści lat po jej napisaniu. Była to pierwsza książka Szczepańskiego, tyle tylko, że solidnie się przeleżała. To jest rzeczywiście najlepsza książka o Wrześniu, ale świadomość tego rozdziła się z dużymi oporami. Szczepańskiego w związku z „Polską jesienią” traktowano na początku poklepywaniem po ramieniu.

— Jaką funkcję pełnił Pan w redakcji *Twórczości*?

— Przez ostatnie lata kierowałem działem eseju.

— Jesteśmy jeszcze przy roku 1956. Jak układały się Pana stosunki ze środowiskiem *Po Prostu*?

— Byłem nawet parę razy w redakcji, ale nie miałem z ludźmi tego pisma jakichś szerszych kontaktów. Jedyną osobą tam piszącą, którą znałem dosyć dobrze był Janek Lipski. To było zupełnie inne środowisko, głównie partyjno-zetempowskie, chociaż znalazły się wyjątki, jak właśnie Lipski czy Janek Olszewski, ogromnie mądry człowiek. Ja po prostu nigdy nie miałem z tym środowiskiem nic wspólnego. Nawet podobało mi się to, o czym oni pisali, ale wydawało mi się to też trochę dziwne, takie wywalanie otwartych drzwi. W ogóle biografie tych ludzi, ich rewizjonizm były sprawami dla mnie dosyć obcymi, bo nigdy nie byłem rewizjonistą, nigdy nie brałem na serio tego, co oni wówczas rewidowali. Z dużym zainteresowaniem czytałem, co pisali, ale to był inny świat.

Wtedy podniecałem się raczej zebraniem w Związku Literatów, na którym Władysław Bieńkowski zapowiadał, że znajdzie się miejsce dla pisarzy o katolickim światopoglądzie, że trzeba załatwić sprawę *Tygodnika Powszechnego*. *Tygodnik* zaczął znów wychodzić w roku 1957. Dla mnie było to o wiele bliższe duchowo środowisko. Z drugiej strony bardzo przeżyłem, i to był zresztą koniec moich złudzeń co do tego okresu, awanturę po zamknięciu *Po Prostu*, najbardziej zaś okropnie brutalne tłuczenie studentów. Pamiętam, jakie straszliwe wrażenie zrobiło na mnie, gdy na ulicy Nowowiejskiej milicjanci uganiaли się za studentami i gdy zobaczyłem milicjanta, który ciągnie za włosy nieprzytomnego młodego człowieka, a potem wrzuca do budy. Ja właśnie wróciłem z pierwszej podróży na Zachód i na Zachodzie mówiłem, że my coś w tej Polsce potrafimy zrobić, coś zmienić, że będzie to bardziej cywilizowane, że system

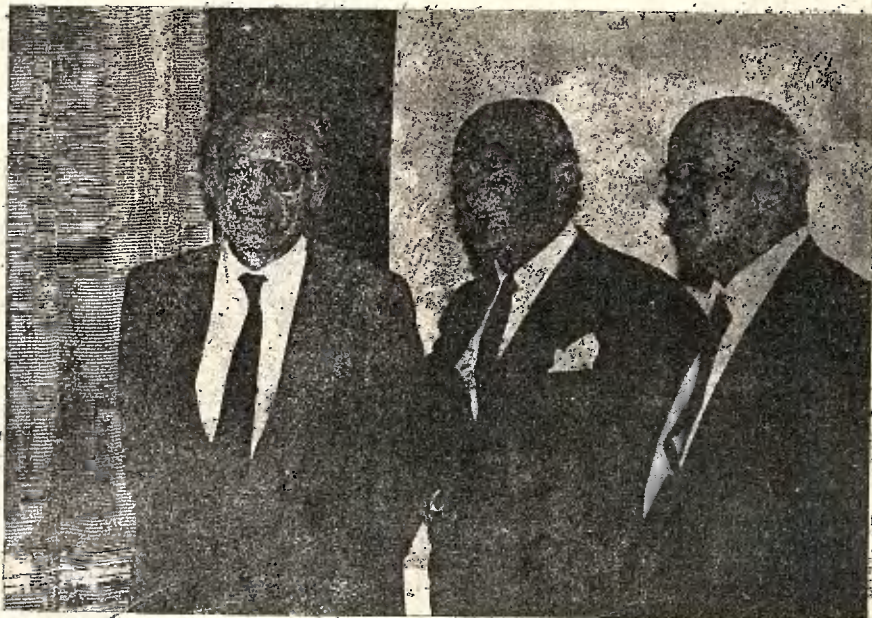
da się złagodzić. Ten szok nawet przewencyjnie wyleczył mnie z pewnych złudzeń tego okresu. Zresztą odebrałem i prywatną lekcję, że tak powiem. W grudniu 56-tego ogłosiłem w *Przeglądzie Kulturalnym* — było to wówczas bardzo śmiałe pismo — duży artykuł o faszystowaniu historii PPS-u i w ogóle polskiego socjalizmu. Pozwoliłem sobie nawet na sugestię, że należy wznowić „Bibułę” Piłsudskiego. I chociaż Marcin Czerwiński, wówczas sekretarz redakcji, najgorzej okropności mi poskreślał — zrobiła się wielka awantura. O Piłsudskiego, o Broniewskiego, bo wspominałem „Stowo o Stalinie”, i w ogóle o PPS. W *Trybunie Ludu* wsiadł na mnie sam Daniszewski, kierownik wydziału KC. Ale były i głosy przychyłne. Włączyli się w innych pismach tacy znani później ludzie jak Marek Marian Drozdowski i małżeństwo Żarnowski. Był też odzew na emigracji, pisał o tej polemice Adam Ciołkosz. A „Książka i Wiedza” na ówczesnej odwiżowej fali zaproponowała mi zebranie tego wszystkiego w osobnym tomie, z moją odpowiedzią. Przygotowałem to, ale tymczasem sezon minął i nic z tego nie wyszło. Teraz żałuję, że nie ocalałem chociaż własnej odpowiedzi.

— W 1955 roku *Twórczość* drukowała Hłaskę. Pamięta Pan Marka Hłaskę?

— Marek przychodził niekiedy do redakcji, był zawsze bardzo uroczy i prawie zawsze na białce. Potem dość szybko wyjechał. Ja miałem z tego powodu jakąś awanturę... Acha, miałem awanturę z Sandauerem o Hłaskę, awanturę na piśmie. Coś tam napisałem w *Zyciu Warszawy* na Sandauera... Teraz mi Panowie o tym przypomniaли. To nawet było zabawne.

— Ale kto był za kim?

— Ja byłem za Hłaską. Natomiast Sandauer, który zawsze wiedział, gdzie są konfitury, uważał, że pisarstwo Hłaski jest jakieś niepoważne; że jakiś chuligan coś tam skrobnie, wszyscy się zachwycają, a ja przeciwstawiłem się temu pomniejszaniu znaczenia twórczości Hłaski. Marek był strasznym snobem, bardziej był snobem niż chuliganem, nawet więcej: był snobem na chojraka. Pozował na proletariackość, a pochodził przecież z dobrej, warszawskiej kulturalnej rodziny redaktorskiej. Miał dosyć słabą głowę, ale uważał, że to jest tak po męsku goiwać sobie, chodził w kozuchu woźnicy, jeździł ciężarówką. Bywały z nim straszne kłopoty, ale nie był żadnym chuliganem. Znałem go bardzo słabo, zetknąłem się z nim tylko kilka razy towarzysko. W *Twórczości* był



Od lewej stoja: Zdzisław Najder, Zygmunt Michalowski i Jan Nowak

pupilem wszystkich i wszyscy bardzo podziwiali jego talent, łącznie z Iwaszkiewiczem. Oczywiście decyzja, żeby drukować kogoś takiego jak Hłasko, należała do niego. W ogóle decyzje drukowania tekstów, które zwracały uwagę, były decyzjami redaktora naczelnego. Ostatecznie w tym piśmie debiutowała od roku 1955 właściwie cała czołówka współczesnej literatury polskiej:

(...)

— Sierpień 1980 roku...

— W Sierpniu natomiast byłem na posterunku. Byłem nawet w stoczni podczas strajku. Pojechałem tam pierwszy raz 16-tego sierpnia. Byłem wtedy na wsi i dowiedziałem się w radio, że coś się dzieje. Wsiadliśmy z żoną w samochód i pojechaliśmy do Gdańska. Nie byliśmy pewni, czy dotrzemy, czy szosa nie jest zablokowana. Od Elbląga jechaliśmy jakimśi opłotkami. W końcu podjechaliśmy pod stocznice. Panowała tam wtedy bardzo dziwna atmosfera jakiejś próżni wokół stoczni. Na murach siedzieli ludzie; daliśmy im przywieziony chleb. Później dostawy żywności były już regularne, ale na samym początku był z tym kłopot. Następnie pojechaliśmy do Gdyni, żeby przenocować

— mieliśmy tam przyjaciół. W Gdyni, gdzie był poprzedniego dnia strajk generalny nie było nawet prądu. Miasto ogarnięte było szokiem i ludzie bali się mówić o strajku. Pamiętam, jak w jednym ze sklepów specjalnie podpytywałem ludzi, żeby się zorientować w atmosferze. Ktoś tam zaczął mówić o braku prądu, a kierowniczka sklepu powiedziała: na tematy polityczne proszę tu nie rozmawiać, ktoś zaczął się śmiać, ktoś inny zaczął go uciszać, że niby nie ma tu nic do śmiechu... i tak to wszystko się rozlało.

Wróciliśmy znowu pod stocznice i tam dostałem taką karteczkę, którą niestety, zostawiłem w Polsce, a był to wręcz dokument historyczny: mianowicie stocznicy rozdawali takie karteczki z nagryzmołonym ołówkiem napisem: „Myśmy dostali, cośmy chcieli, a teraz strajkujemy na solidarność z WPK”, tj. z Wojewódzkim Przedsiębiorstwem Komunikacyjnym. I wtedy po raz pierwszy w ogóle padło na tej karteczce słowo „solidarność” w tym konkretnie. Do Stoczni Gdańskiej można było wtedy łatwo wejść, na legitymację Związku Literatów Polskich. Gdyniska stocznia była zamknięta i wjazd na jej teren zablokowany był be-

tonowymi segmentami. W Gdańskiej było ogromne zamieszanie, bo właśnie kończył się pierwszy strajk. Tysiące ludzi wychodziło, ci zaś co zostali — co to strajkowali „na solidarność” — nie bardzo wiedzieli, co się naprawdę dzieje.

(...) Spędziłem wreszta parę godzin w wartowni czekając na przerwę w rokowaniach...

Było to fascynujące dla mnie, bo ludzie, którzy przychodzili na tę wartownię z jedzeniem, otwarci mówili o tym, czego chcą — więcej wolności. Także rozmowy z członkami straży robotniczej były jakby z innego, nowego wymiaru. Byli skupieni, rzeczowi, a zarazem bardzo powściągliwi i ostrożni w sposobie mówienia. Skupienie — to była pełna świadomość wielkiego ryzyka, bo przecież wiadomo było, że wszystko się waży, i że koncentracja wojsk rzuciła się w oczy. Rzeczowość — bardzo sumiennie pilnowali stoczni przed prowokatorami czy jakimiś nieodpowiedzialnymi głupcami. Ale żadnego szarżowania, popisywania się nie było. Uderzające było natomiast poczucie godności i odpowiedzialności tych ludzi — młodych, dwudziestoparoletnich robotników. I porządek.

Przynoszono i przywożono mnóstwo darów, głównie żywność i pieniądze. To wszystko bardzo starannie zapisywano. Te parę nocnych godzin między nimi było dla mnie wielkim przeżyciem. Traktowali mnie jak miłego i szacownego gościa, a ja czułem się jakoś swobodnie i bezpiecznie zarazem. Bardzo się cieszyli, kiedy im opowiedziałem, jak wyglądają po drodze zakłady pracy. Byli odcięci i nie bardzo wiedzieli, co się w innych zakładach dzieje. Przywoziłem im wiadomość, że stanął olsztyński Stomil, dowiedziałem się o tym po drodze.

— Czy miał Pan kontakt z gronem doradców w Stoczni? Jaki był ich rzeczywisty wpływ na wydarzenia strajkowe?

— No, kontakt oczywiście miałem, bo oni mnie tam wprowadzili, należałem do ich grona, chociaż nie jako doradca lecz konsultant. Ich wpływ był bardzo duży ale, o ile mogłem się zorientować, głównie techniczno-doradczy. Nie decydowali o zajmowaniu stanowisk w poszczególnych kwestiach, ale o sposobach negocjowania, formułowania, czego się chce. Ale od pierwszej chwili widziałem, że władze chcą te dwie strony — MKS i doradców — poróżnić przez stosowanie wobec tych grup różnych taktyk. Natknąłem się na to już na początku. Z wartowni odbierało mnie dwóch przyjaciół-doradców. Byli bardzo podnie-

teni. Jeden mówi: słuchaj, pokerowa rozgrywka, a ten Wałęsa jest fantastyczny. Okazało się, że podczas rozmowy w obecności doradców ktoś ze strony rządowej, nie jestem pewien kto — chyba Jagielski, zaproponował, że będą przywracać połączenie telefoniczne — o to się wtedy gwałtownie upominano, brak tych połączeń blokował rozmowy — stopniowo, w miarę postępu w rokowaniach. I ten facet ze strony rządowej powiedział do Wałęsy: niech panowie zapytają swoich doradców. A na to Wałęsa wstał bez słowa i nie oglądając się na nikogo poszedł do sali, w której siedzieli delegaci. I zapytał ich o zdanie, a oni odrzucili tę propozycję. I nie udało się tego odrzucenia zważyć na doradców.

(...)

— Czy w okresie, kiedy był Pan dyrektorem zdarzały się prowokacje wymierzone bezpośrednio w Rozgłośnie?

— Ach, bez liku. Przychodziło mnóstwo listów, napuszczających nas na różnych ludzi czy instytucje, albo przeważnie — denuncjujących pracowników. (...) Mówiłem natomiast, i to kilkakrotnie przez radio o innej prowokacji, najgroźniejszej podczas mojej kadencji. Jest ona nadal niewyjaśniona, można ją zbadać tylko na Rakowieckiej w Warszawie. A było to tak: kilka dni po zaginięciu księdza Popiełuszki, pamiętam dobrze, że było to w czwartek, dostałem późno wieczorem z Paryża wiadomość, przetelefonowaną właśnie z Warszawy. Wiadomość sensacyjną. Podobno drukowano już w PRL na rano dzienniki z informacją o znalezieniu zwłok księdza Popiełuszki — znalezieniu, cytuję dosłownie, „w zbiorniku wodnym koło Inowrocławia”. Według naszego warszawskiego informatora zwłoki wyłowiono, ale wiadomość wstrzymano w jakichś manipulacyjnych celach. Dostaliśmy ją do ręki na kilka przynajmniej godzin przed rzekomym oficjalnym ogłoszeniem. Ale na szczęście nie uległem pokusie i nikomu o tym nawet nie szepnąłem. Zwłoki księdza Jerzego oficjalnie znaleziono dopiero po pięciu dniach i teraz myślę, że o skierowanie wiadomości do nas postarał się ktoś ze współpracowników pułkownika Pietruszki albo kapitana Piotrowskiego. Gdyby się okazało, że RWE miała informację o tym, gdzie są zwłoki, na kilka dni przedtem, zanim je poszukujący znaleźli — można by było próbować powrotu do pierwotnej koncepcji mówiącej, że księdza porwał podziemie. A w każdym razie Wolna Europa mogła by się później do końca świata tłumaczyć z tego, że o tym wiedziała. ■



# Prywatne rozmyślania

1.

Są Niemcy w Polsce czy ich nie ma? Odpowiedź na to pytanie wydaje się trudniejsza niż rozwiązanie zagadki, czy istnieje życie na Marsie. Koła przesiedleńcze mówią o istnieniu ponad miliona Niemców w Polsce, ambasada RFN w Warszawie ma podobno zarejestrowanych ćwierć miliona, niemiecki Czerwony Krzyż około 100 tysięcy. Urban, Podkowiński i prymas Giemp twierdzą zgodnie, że Niemców nie ma. Ja znam z nazwiska 14 osób przyznających się publicznie, że są Niemcami — tyle podpisało dokumenty założycielskie organizacji kulturalnej na Śląsku. Ostatecznie ani Kędzierzyn, ani Gliwice, ani Opole nie leżą na Antarktydzie czy w puszczech dorzecza Amazonki, można by zroganizować dość bezpieczną wyprawę naukową, która ustaliłaby liczebność Niemców, mogłaby także przy okazji opisać ich obyczaje.

Piękne to zadanie dla etnografów, odkrywanie śladów narodowej mniejszości uznanej 40 lat temu oficjalnie za nieistniejącą. Kłopot byłby z ustaleniem kryterium — po czym mianowicie poznać, że ktoś jest Niemcem. Z Żydami było prościej, Żydów do 1968 roku poznawało się po nosie. Ale co robić z Niemcami? Nawet pojsście z podejrzanymi do łaźni nic nie pomoże. Jerzy Urban twierdzi, iż nie można za Niemca uznać kogoś, kto nie mówi po niemiecku. Oczywiście, dzieci Niemca, który mieszka w Warszawie mogą się w szkole uczyć niemieckiego i poznawać niemiecką literaturę. Ale już w Opolu jest to niemożliwe. W Opolu, wedle kryterium językowego — gdy mowa o drugim języku, poza polskim — mieszkają sami Rosjanie i garść Anglików. Od 1945 roku bowiem niemiecki jest w szkołach śląskich zakazany, a trudno wymagać, żeby wszyscy Niemcy z tamtych stron dla kulturyjacji tradycji narodowych przepro-

wadzali się do Warszawy, Lublina czy Krakowa. Ci, co mogli, przeprowadzili się po prostu do Kolonii i Monachium. Nieproste jest też uznanie za Niemców tych, którzy się za Niemców uważają. Prymas Giemp twierdzi bowiem, że czynią to nie z poczucia narodowej przynależności, a z chęci poprawienia sobie bytu, czyli z niskiej żądzy zysku.

Był w świetlanych czasach drugiej Polski taki dowcip o Gierku zwiedzającym nowe osiedle mieszkaniowe na Śląsku. Pierwszy sekretarz zaczął malca bawiącego się w piaskownicy i wypytał go o posiadane w domu przedmioty. Kiedy okazało się, że rodzina ma wszystko — samochód, kolorowy telewizor, pralkę, lodówkę, dywany itd. Gierek zapytał chłopca, czy wie, komu to wszystko zawdzięcza. Dziecko nie odpowiadało, więc Gierek poinformował je, że właśnie jemu, Gierkowi. Na to chłopak odwrócił się do okna i zawołał — Vati, komm schnell. Onkel Franz aus Hamburg ist gekommen! (Tato, szybko — przyjechał wujek Franz z Hamburga).

Z chęci zysku ludzie robią różne rzeczy, jedni mordują, inni wstępują do partii politycznej, ale przypisywanie niskich motywacji całej grupie, całej społeczności i to przez osobą duchowną w kraju, w którym przez prawie dwa stulecia Polacy dzielili się na Prusaków, Austriaków i Rosjan nie przestając być Polakami jest — łagodnie mówiąc — niedelikatnością. Można uważać, nawet dziś, że polityczne konstelacje, które doprowadziły do obecnego układu granic w Europie przetrwały stulecia, ale przenoszenie tej koniunktury na sprawy narodowościowe jest już grubą przesadą. Dla mnie osobiście jest obojętne, czy Niemców w Polsce jest milion czy ćwierć miliona, czy wreszcie mniejszość niemiecka liczy tylko te kilkanaście osób, które głośno domagają się swoich praw. Gdyby w Polsce był tylko jeden jedyny Niemiec, domagałbym się dla niego identycznych, jakie ja

sam, jako Polak — mam w Niemczech. Inną sprawą, że byłoby wspaniale, gdyby ci wszyscy politycy i działacze w Niemczech Zachodnich, którzy domagają się praw dla swoich Rodaków w Polsce zrozumieli, iż nie będzie to możliwe wcześniej, niż tego dnia, w którym prawo do swobodnego zrzeszania się, do działalności społecznej i kulturalnej bez żadnych ograniczeń, do nieskrępowanej wypowiedzi wywalczy sobie w Polsce polska większość. Nie będzie praw dla Niemców przed prawem dla wszystkich. Mogą być tylko przywileje za cenę nowych kredytów i gospodarczej pomocy. Czyli z niskiej chęci zysku.

## 2.

Niemcy domagający się praw w Polsce, mogliby odwołać się do tradycji komunistycznych, do których tak chętnie nawiązują dziś najbardziej nacjonalistyczne elementy w Polsce. Stanowisko II Zjazdu Komunistycznej Partii Robotniczej Polski było w tej dziedzinie następujące: „Zupełna wolność narodowa Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, ich całkowite prawo do ziemi ich ojców, do połączenia z ich braćmi po drugiej stronie słupów granicznych.”

W sprawie Niemców II Zjazd KPRP nie poszedł tak daleko — był rok 1923 — by wzywać do ich połączenia z braćmi po drugiej stronie słupów granicznych. Żądano tylko zupełnej swobody rozwoju narodowego ludności niemieckiej, więc tego, czego dziś bezskutecznie żąda się od ideowych spadkobierców KPRP. Ale przywoływanie tradycji nie jest rzeczą najbardziej bezpieczną. Komuniści, którzy jako wielcy patrioci i bojownicy o lepszą przyszłość Polski mają dziś w Polsce swoje ulice i szkoły, podjęli w 1925 roku na III Zjeździe KPP uchwałę następującą: „Posiadanie przez Polskę ziem byłego zaboru pruskiego jest źródłem stałego przeciwieństwa między burżuazyjną Polską a burżuazyjnymi Niemcami. Sprawa zjednoczenia Górnego Śląska nie może być rozwiązana pokojowo. W jeszcze większym stopniu dotyczy to przynależności Pomorza, które dla Polski jest sprawą dostępu do Bałtyku, dla Niemiec — połączenia lądowego z Prusami Wschodnimi. Gdy Niemcy dążą do rozwiązania kwestii przez odebranie korytarza z powrotem, Polska chciałaby ją rozwiązać drogą dalszych aneksji — wcielenia Gdańska i Prus Wschodnich. (...) W Polsce haniebną rolę na te walki imperialistycznych polsko-niemieckich odegrała PPS, która w okresie plebis-

cytowym na Górnym Śląsku ręka w rękę z Korfantym uprawiała wściekle szczytce nacjonalistyczne i niosła zarząd nienawiści narodowej w szeregi robotnicze. (...) KPP domaga się zupełnego równouprawnienia języka niemieckiego z polskim w szkolnictwie, administracji i sądownictwie we wszystkich okręgach o mniejszości niemieckiej.”

Jak widać z uchwały, polscy komuniści uważali, że Polska weszła w posiadane Górnego Śląska i Pomorza drogą aneksji. Gdyby dziś coś podobnego wydrukowali Ziomkowie, przez prasę PRL opatrzoną hasłem „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” przetoczyłby się jęk świętego oburzenia. IV i V Zjazd KPP zajmował się Górnym Śląskiem stwierdzając w uchwale, że „hasło samookreślenia Górnego Śląska aż do oderwania jest podstawowym hasłem mobilizacji mas do walki przeciw faszyzmowi”. W walce przeciw faszyzmowi komuniści polscy poszli tak daleko, że w uchwale VI Zjazdu w listopadzie 1932 roku, spotkali się z Adolfem Hitlerem. „Imperializm Polski ustanowił swe panowanie na Górnym Śląsku na mocy imperialistycznego traktatu wersalskiego, przez zdławienie walki rewolucyjnej proletariatu górnośląskiego, przez oszustwo plebiscytowe, przez rozpętanie nacjonalistycznej, antyniemieckiej nagonki. (...) KPP mobilizuje masy pracujące na Górnym Śląsku jak również na Pomorzu do walki z uciskiem narodowym ludności niemieckiej pod hasłem prawa do samookreślenia aż do oderwania od Polski. W stosunku do Gdańska KPP zwalcza narzucone mu jarzmo Polski i Ligi Narodów, zwalcza aneksjonistyczną politykę imperializmu polskiego i uznaje prawo ludności gdańskiej, siłą oderwanej od Niemiec, do ponownego złączenia się z Niemcami.”

No proszę, a gdyby tak dokonać na tym tekście małej manipulacji i imperialistyczny traktat wersalski zmienić na imperialistyczną umowę jałtańską? Poza tym wszystko się zgadza — za wyjątkiem Ligi Narodów — jest to wyraźnie produkt najczarniejszych kół rewizjonistycznych i odwetowych. Żeby było śmieszniej po tym wszystkim, w 1937 roku KPP ogłosiła z pełnym cynizmem, że „z pomocą Becka faszyzm niemiecki zagarnia Gdańsk” i że „walka z polityką zdrady narodowej i reżimem sanacyjnym, oddającym Polskę w pacht Hitlerowi” jest najważniejszym zadaniem komunistów. Podobno ma się wkrótce przystąpić do usuwania białych plam z historii. Proponuje, żeby w ramach tej akcji Związek Wypędzonych urz-

dził uroczystą akademię na cześć Komunistycznej Partii Polski. Z Polski można by zaprosić weteranów ruchu rewolucyjnego, dawnych członków KPP i nadać im honorowe członkostwo, poczęstować krupniczkami i piwem. Niech sobie starszokowie przypomną dziarską młodość, kiedy to polski imperializm odrywał Gdańsk od niemieckiej macierzy.

## 3.

Skoro już o dawnych partiach politycznych mowa — reaktywowano w Polsce PPS i PSL a utworzono partię liberalną. Łada dzień powstanie Narodowa Demokracja, która mieć będzie — sądząc po lekturze niektórych krajowych publikacji — solidną bazę społeczną. Dowiedziałem się z prasy podziemnej, że podobno we Wrocławiu powstała na nowo PPR. Jest to zupełnie rozsądny pomysł. Jeśli ta reaktywowana PPR powoła się na program swojej poprzedniczki z lat 1945-48, to może otrzymać masowe poparcie. Pewnie nikt już nie pamięta programu PPR, więc przypomnę, że przewidywał on demokrację, wolne wybory, swobodę stowarzyszenia, wolność słowa. Propagowano sojusz robotniczo-chłopski, którego wyrazem miała być dostępność wyrobów przemysłowych na wci i żywności w miastach. Wspaniałe były obietnice socjalne — mieszkania dla wszystkich, żłobki i przedszkola, wczasy pracownicze za 1/3 odpłatności, darmowa służba zdrowia i szkolnictwo, sport masowy i mnóstwo innych zdobyczy.

Myślę, że dziś taki program spotkałby się z entuzjastycznym przyjęciem, zwłaszcza jeśli chodzi o wolne wybory, mieszkania, żłobki i prawie darmowe wczasy pracownicze. To, że Polska wygąda dziś trochę inaczej niż przewidywał to program PPR nie znaczy jednak wcale, że nie był on wykonywany. Przeciwnie, zaczęto go, zwłaszcza od 1948 roku wykonywać z nawiązką. Skłaniano ludzi do korzystania z przywilejów, a opornych popychano nie bez użycia przemocy. Zaczęło się od wczasów pracowniczych i sportu masowego (sport to zdrowie), a potem przeniosło na inne dziedziny. Najpierw wysyłano przymusowo na wczasy do Zakopanego czy Sopotów i pilnowano starannego wykonywania przysiadów w czasie kwadransu gimnastyki rytmicznej przy warsztacie pracy. Później zaczęło się nakłanianie i napedzanie do uczestnictwa w wolnych wyborach, stowarzyszenia w PZPR, ZMP i TPPR, korzystaniu z wolności słowa przy wychwalaniu kierownictwa

partii i rządu z Josifem Stalinem na czele. Egzekwowano sojusz robotniczo-chłopski zabierając rolnikom na potrzeby robotników nie tylko plony ale i ziarno na siew, a w zamian wysyłając na wieś wprawdzie nie maszyny, ale brygady tępienia stonki, zrzucanej przez imperialistów amerykańskich. I ludzie, zachęceni w tak rozmaity sposób, zaczęli korzystać. Nie tylko 99,9% brało udział w wyborach, nie tylko prawie wszyscy chwalili prawie wszystko, ale zaczęli też chcieć mieszkać, posyłać dzieci do żłobka, jeździć na wczasy i leczyć się. I tak powstał kryzys, któremu będzie się starała zaradzić wrocławska PPR powrotem do dawnego programu. Po jakimś czasie PPR połączy się z PPS, co będzie potwierdzeniem mojej teorii, że Polska znajduje się w pętli czasu. Czas by już tę pętlę poluzować, bo ciśnię.

## 4.

Światopogląd naukowy jest to wiara, że proletariat pochodzi od robotnika jaskiniowego.

## 5.

Jajko na twardo położone na kawałku gazety, obok skorupki, szczypta soli w papierku — niezbyt to apetyczne. Ale to samo jajko na porcelanowym talerzu, przybrane kawiozem, majonezem, kaparami, podane przy świecach i dźwiękach muzyki to potrawa wykwiwna, zdolna skusić nawet kogoś, kto nie lubi jajek i programowo nie jada. Władza w Polsce przypomina mi takie jajko, które po długim leżakowaniu na *Trybunie Ludu*, kiedy już zaczęło psuć się i cuchnąć, próbuje się teraz przenieść na porcelanę i obłozyc efektywnymi dodatkami i majonezami.

Po tą są te wszystkie rady, te różne nowe cięła społeczne i nawet administracyjne z urzędem rzecznika praw obywatelskich włącznie. General Jaruzelski in statu nascendi to jest jajko twarde jajko, zielone i śmierdzące. Ale Jaruzelski obłożony mecenasem Siła-Nowickim, podlany sosem liberalizmu wyciśniętego z paru profesorów zwyczajnych, ugarnirowany osobami mającymi opinie jeśli nie-konieczne przyzwyczajonych to mało ześwinionych, serwowany przez kelnerów porozumienia narodowego może się nawet wydawać strawnym. Jest to kwestia garmazeryjnej dialektyki — jako totalitarne w treści i pluralistyczne w formie.

GRZEGORZ WIKTORCZYK

# Nekrolog dla antykomunisty

*Sowiecka doktryna militarna  
jest ofensywna jak nigdy dotąd.*

*F. J. Strauss, 1979*

*Nie trzeba się już obawiać  
ofensywnych i agresywnych  
zamiarów Związku Sowieckiego*

*F. J. Strauss, 1987*

Premier landu Bawarii był zawsze politykiem, z którego zdaniem liczono się nie tylko w RFN, ale także w całym konserwatywnie nastawionym do rzeczywistości świecie.

Strauss był politykiem, którego utożsamiano zawsze z pozycjami ultra zachowawczymi, politykiem, który jak nikt w Europie Zachodniej pielęgnował swój image fachowca od odkrywania machlojek lewicy, a przede wszystkim komunistów. Był politykiem otwarcie wyrażającym swoją wrogość, skrywaną pod polityczną nieufnością, do „obozu socjalistycznego”, jego ideologii, sposobów zubożania i maltretowania własnych obywateli. Jak nikt inny w Europie Zachodniej nastawiony był bardzo sceptycznie do sztuczek specjalistów od propagandy w Moskwie, a szczególnie tropił wszelkie brzydkie zamiary Wielkiego Brata i piętnował je na każdym kroku. Jak mało kto z elity politycznej Zachodu wrażliwy był na kłamstwa, pomówienia, przemilczania w polityce Moskwy. Jak nikt inny wreszcie nawoływał przez cały czas swojego politycznego życia do obrony i solidarności wolnego świata przeciwko „imperium zła”. Swoją postawą polityczną dawał przykład solidnego, antykomunistycznego konserwatyzmu jasno spoglądającego na przeciwnika po drugiej stronie Łaby.



Franz Josef Strauss

Franz Josef Strauss żyje i cieszy się niesłabnącym dobrym samopoczuciem. Umarł natomiast, tak jeszcze do niedawna rześki antykomunista.

Kariera polityczna Straussa usłana była pomysłami, gafami, niekiedy głupstwami, a nawet wcale nie małymi świństwami (jak na przykład jego aprobata dla stanu wojennego Jaruzelskiego). Jednak Strauss nie tracił nigdy z oczu własnej politycznej linii i trwał na posterunku pierwszego antykomunisty Europy.

O magicznych skutkach podróży do stolicy sowieckiego imperium napisano już bardzo wiele, istnieją świadectwa pozostawione przez rozczarowanych komunistów zachodnich, którym dopiero wizyta w „kraju przodującego ustroju” otworzyła oczy. Istnieją także inne dokumenty świadczące o oguszającym działaniu wschodniej metropo-

lii na zdrowy rozsądek. Zawsze były to jednak przekształcenia spowodowane albo strachem, albo przerażeniem rozmiarami bezprawia, albo czystym konformizmem. W przypadku Straussa owo „Umwandlung” ma inny charakter — przez Sowietów określone zostało mianem „realizmu”. Strauss z dnia na dzień z „rewanżysty” stał się „realistą” — i nie wiadomo co, między Bogiem a prawdą, jest lepsze, szczególnie w ustach sowieckich dygnitarzy. Pod koniec 1987 roku 72-letni Strauss wyruszył w swoją pierwszą moskiewską podróż w celu zorientowania się „w politycznej atmosferze i zamiarach Związku Sowieckiego”. Od wyniku tej penetracji — według słów Straussa — zależało jego nastawienie do „przyszłych stosunków niemiecko-sowieckich”. W wypowiedziach tych premier Bawarii naślą jak początkujący polityk. Z góry bowiem wiedział (i nie tylko on) po co Rosja go zaprasza i co jest na miejscu do załatwienia. Oficjalne zaproszenie wystosował nie kto inny jak przewodniczący rządowej komisji do spraw handlu zagranicznego — niejaki Kamiencow, którego zastępca witał Straussa w Moskwie na lotnisku i zaraz powiódł na rozmowy do szefa. Jeden z towarzyszących Straussowi polityków CSU już w trakcie powitania powiedział, iż Franz Josef przybył z „workiem pełnym gospodarczych propozycji kooperacyjnych”. O żadnym więc „badaniu terenu” nie mogło być mowy, a chodziło wyłącznie o handel.

Swego czasu Strauss bardzo sarkastycznie wyrażał się o handlu z komunistami, na którym Zachód nigdy dobrze wyjść nie mógł. Zdanie zmienił w momencie przydzielenia NRD miliardowego kredytu (z inicjatywy Straussa). Później polecały inne pożyczki dla Ostblocku (ostatnio dla Węgier): nazywało się to nową Ostpolitik. Jego umizgom do Honeckera i innych przywódców Europy Wschodniej towarzyszyły zawsze antylewicowe porzekadła formułowane w specyficznym „strausowski” humorze. W Moskwie stracił także poczucie humoru.

Przed wszystkim ten ultra-konserwatywa oficjalnie przytaknął krążącym coraz natrętniej po świecie pogłoskom, że Gorbaczow to fajny chłop. Do swojej laurki Strauss dopisał jeszcze parę innych przymiotników: „otwarty”, „inteligentny”, „wiedzący czego chce”, „dowcipny”, „nie wywyższający się”, a przede wszystkim „o niebo różniący się od Breżniewa”. Strauss powtarzał ten zestaw tak często, iż nabrał on politycznego ciężaru, a przecież jest rzeczą raczej powszechnie

znaną, iż w końcowym etapie gry politycznej mało znaczy, czy ktoś beknął po jedzeniu, czy też całował w rękę własną (o normalnej wadze i przyzwyczajeniu ubraną) żonę. Premier Bawarii dostarczył też potomnym własną definicję najukochańszego dziecka I sekretarza KC KPZS — „pieriestrojki”. Projekt unowocześnienia sytemu przez Gorbaczowa nazwał Strauss „długim historycznym procesem, w realizacji którego należy mu (Gorbaczowowi) życzyć wszystkiego dobrego”.

W prawie 3-godzinnej rozmowie między pierwszym anti- i pierwszym prokomunistą nastąpiła też wymiana obopólnych grzeczności, wśród których wymienić należy dwie: Gorbaczow stwierdził, iż przy układaniu przyszłych wzajemnych stosunków podstawą musi być „respektowanie powojennych realiów”, czemu Strauss przytaknął mówiąc o potrzebie brania pod uwagę „istniejących realiów”.

Druga wymiana grzeczności nastąpiła po uwadze Straussa, iż „istnieje tylko jeden naród niemiecki, podzielony jedynie na dwa państwa”. Ku kompletnemu zaskoczeniu Straussa Gorbaczow nie zareagował i nie sprostował tej wypowiedzi („dwa państwa, dwa narody!”), co wprowadziło Straussa w taką euforię, iż przy następnej okazji zignorował powiedzonko Gorbaczowa, iż „rzeczą najważniejszą jest respektowanie wyboru innych narodów. My trzymamy się swojego systemu, ale respektujemy wybór innych”. To znaczy, że narody Europy Wschodniej, podobnie jak narody Europy Zachodniej same wybrały sobie systemy, w których żyją. Strauss dyplomatycznie zrezygnował z polemiki. Zresztą podczas całego jego pobytu Europa Wschodnia jakby przestała istnieć: zarzucano się natomiast nawzajem optymistycznymi wizjami rozbrojonej Europy. Strauss, tak ostrożny dawniej w wypowiedziach na temat sowieckich projektów likwidowania broni atomowych w Europie, zapomniał o własnych wątpliwościach i w kółko mówił coś o „historycznej dacie”, „nowej epoce” i „prognozie nowych możliwości”. W tematyce rozbrojenia posunął się tak daleko, iż zapewnił nawet Rosjan, iż „my (Niemcy) będziemy wpływać na naszych amerykańskich przyjaciół”, by wybrali szybszą „drogę” ku rozbrojeniu. W przeciwieństwie bowiem do Reagana „Gorbaczow myśli o wszystkim, tylko nie o militarnej próbie sił z Zachodem”, a „temat eksportu rewolucji środkami przymusu przestał już być aktualny w Związku Sowieckim”.

Dokończenie na str. 59

# Pomagając Żydom ratowałem też własną duszę



„Tribüne” rozmawia z laureatem Nagrody Księgarzy Niemieckich za rok 1986  
prof. Władysławem Bartoszewskim

**Tribüne:** Panie Profesorze, jest Pan głęboko wierzącym katolikiem i jednym z tych Polaków, którzy ryzykowali własne życie, aby uratować możliwie jak najwięcej Żydów przed nazistowską machiną zagłady. Autor filmu SHOAH, Claude Lanzmann, w pewnym wywiadzie dwa lata temu powiedział, iż antysemityzm jest naturalnym dzieckiem katolicyzmu. Gdyby siedział on tutaj przed Panem, co by mu Pan odpowiedział?

Prof. Bartoszewski: Reprezentuję przekonanie, że jest lepiej, gdy ludzie żyjący w różnych wspólnotach wiary — czy to katolicy, protestanci, muzułmanie czy żydzi — sami korygują lub zwalczają nieporozumienia czy też zjawiska negatywnie występujące w obrębie własnego wyznania. Nie krytykuje błędów Synagogi, krytykuje błędy Kościoła, do którego przynależy. Czynię to dlatego, ponieważ rozwój i czystość tej tradycji kościelnej leży mi na sercu.

Z pewnością katolickie wychowanie na przestrzeni setek lat doprowadziło do różnych uprzedzeń, nie tylko wobec Żydów, ale również wobec protestantów. Pozostanę jednak przy temacie. Sam jestem absolwentem gimnazjum katolickiego. Naturalnie byliśmy wychowywani w duchu miłości bliźniego, ale czy Żydzi w życiu codziennym naszego Kościoła w Polsce przed II wojną byli w tym samym stopniu bliźnimi co nie-Żydzi?

Głęboko w to wątpię. Wśród bliskich przyjaciółek mojej matki były również Żydówki, które odwiedzały nasz dom — ja także bywałem w wizytach u tych rodzin — ale matka w szkole, jeszcze przed I-szą wojną światową słyszała: „Chrystusa zamordowali Żydzi — i wszyscy Żydzi obarczeni są za to odpowiedzialnością i tak pozostanie na zawsze”. Powinno to znaczyć: w katolickim wychowaniu, w jego codziennej praktyce, której doświadczyłem (podobnie jak ówczesna młodzież we Włoszech, Niemczech, Austrii, na Węgrzech albo na Litwie) istniał pewien stereotyp myślenia: „Tak, proszę bardzo, Żyd jest bliźnim, ale przecież dźwiga współodpowiedzialność”.

— Ale antysemityzm w Polsce przetrwał II-gą wojnę światową. Nawet w obozie w Dachau doszło tuż po wyzwoleniu do antyżydowskich akcji ze strony polskich więźniów. Nielatwo to pojąć, ponieważ chciałoby się wierzyć, iż wspólnie przeżyte ciężkie cierpienia zbliżają ludzi. — Tak, i nie. Choć cierpienia zadawali ci sami nazisci, owi ludzie cierpieli osobno. Tylko najszlachetniejsi z nich pojęli ideę więzi przez cierpienie, przez ofiarę, w systemie nieludzkim wobec Żydów, wobec Słowian, wobec „nieprawomyślnych” obywateli własnego narodu. Inni ludzie okazywali współczucie. Jestem przekonany, iż ci ludzie, którzy po wyzwoleniu zachowywali się

obrzydliwie wobec Żydów, nie uczynili im nic złego, gdy ci byli więźniami, być może szczególnie im nie pomagali. Ale kiedy Żydzi byli znowu wolni, ożyły stare resentymenty. Nie chcę zaprzeczyć, iż w Polsce mieliśmy do czynienia ze swego rodzaju ksenofobią.

Polska była wówczas krajem chłopskim. Uważam, iż jedną z właściwości ludności chłopskiej jest to, iż ta, choć nie w sposób czynny, pasywnie dystansuje się od „nieprawomyślnych”, od ludzi innych obyczajów, innej narodowości lub innej wiary. Nie jest to wyłącznie polska cecha. To samo można było zaobserwować w innych krajach.

Tak głośny obecnie Lanzmann, gdyby chciał, mógłby wiele opowiedzieć o zachowaniu się Francuzów, a więc swoich rodaków. Zbyt je jednak absolutnym milczeniem. W jego filmie, niestety, nie doszukamy się ani minuty poświęconej Francji, rządowi Vichy, deportacji dzieci żydowskich przez francuską policję — ani minuty! Bardzo pięknie, że Lanzmann jest francuskim patriotą, ale raz jeszcze muszę powiedzieć, że ja zaczynam krytykę od mego własnego kraju. A więc krytykuję Polskę, gdy jest nie dość chrześcijańska, liberalna i humanitarna, ponieważ mnie to boli. Kocham moich rodaków. Jestem polskim patriotą i wierzę, że patriotyzm, w odróżnieniu od nacjonalizmu znaczy: Chcę, aby mój naród był lepszy, stał na wyższym poziomie humanitarnym. Chcę mieć swój udział w lepszym wychowaniu mego narodu.

Oczywiście, w Polsce antysemityzm rzucił się w oczy. Z drugiej strony należy jednak powiedzieć, że nie był w Polsce permanentnym zjawiskiem historycznym, ponieważ do końca XVIII wieku uważano mój kraj za raj dla Żydów. Przecież nie przypadkiem tak wielu Żydów z szeregu sąsiednich państw właśnie tam się osiedliło. Ani Niemcy, ani Rosja nie były tak liberalne. Ale polskie państwo w latach 1772-1795 zostało podzielone i zlikwidowane, zaś wychowanie narodu w czasie żywiołowego rozwoju świadomości narodowej w XIX wieku przebiegło w sposób nieco opaczny. Naród, któremu zrabowano jego własną państwowość właśnie w okresie żywiołowego rozbudzenia uczuć narodowych w Europie ciąży ku nacjonalizmowi i wrogości wobec obcych. Jest to oczywiście szkodliwa i zła tendencja.

Z pewnością jednak myślnie umysły znajdowały wówczas kontakt z myślnymi odmiennic. W XIX w. znane są liczne postaci polsko-żydowskich naukowców, pisarzy, artystów. Równocześnie jed-

nak w „dołach” trwał proces oddalania się. Żydzi, szczególnie na polskim terytorium, żyli w bardzo tradycyjny sposób. Przede wszystkim byli to ludzie z żydowskich „shtetl”, które tak pięknie opisuje Singer. W tej grupie osobiste, ludzkie zbliżenie do chrześcijanina było zabronione. Niech Pan przeczyta opowiadania Singera! Obie grupy chciały żyć oddzielnie.

Oczywiście nie tłumaczy to pogardy albo ograniczenia swobód ludzkich, ale gdy żyje się oddzielnie, wie się o sobie nawzajem bardzo niewiele. Muszę podkreślić, że owe przejawy antysemityzmu były zauważalne i nie powinno się tego przemilczać. Ale także nie powinno się jednostronnie wyolbrzymiać tego zjawiska i porównywać je z nazistowską machiną zagłady.

Ciągle powtarzam od nowa: kiedy jakiś Amerykanin albo Niemiec twierdzi, że nie lubi Murzynów czy Turków, jeszcze długo nie oznacza to, że byłby gotów wziąć udział w mordowaniu tych ludzi. To są zupełnie różne postawy. Oczywiście ta pierwsza jest również fałszywa i zła, ponieważ zawsze jest błędem, kiedy człowiek się dystansuje, kiedy pozostaje obojętny — tak, obojętny! — nie mówiąc już o wrogości, ale też uczucia negatywne nie oznaczają jeszcze tego samego, co zaplanowana zagłada ludzi.

— Powiedział Pan, że chciałby Pan mieć swój udział w podniesieniu własnego narodu na wyższy poziom. Jednym z „instrumentów wychowawczych” jest tu na pewno *Tygodnik Powszechny*, który występował przeciwko wszelkim przejawom antysemityzmu w powojennej Polsce.

— Przeciw nietolerancji w ogóle, przeciw wrogim uczuciom wobec Żydów, także wobec Niemców na pewno. *Tygodnik Powszechny* od początku zmierzał konsekwentnie w tym kierunku, ale *Tygodnik Powszechny*, niestety, nie jest całym Kościołem rzymsko-katolickim, nie reprezentuje wszystkich wierzących. Pismo to było przede wszystkim zawsze związane z biskupem krakowskim.

Obecnie zaś można prawie stuprocentowo zidentyfikować jego ideologiczny profil z linią obecnego papieża, przez długie lata biskupa, następnie arcybiskupa Krakowa. Ale *Tygodnik Powszechny* nie jest oficjalnym piśmie kościelnym.

— Czy mógłby Pan krótko naszkicować etapy walki z antysemityzmem w Polsce powojennej?

— Według mnie odnowienie antysemickich tendencji i tradycji przyszło do Polski ze wschodu. Ci Polacy, którzy jako wygnańcy lub przemiesz-

cy przybyli ze wschodu, na podstawie złych doświadczeń z komunistami żydowskiego pochodzenia reprezentowali dość powierzchowny i bardzo jednostronny pogląd, iż „Żydzi odgrywają w Polsce rolę komunistycznych bojówek szturmowych Związku Sowieckiego”. Z pewnością udział Żydów w komunistycznej działalności w Polsce stał się pretekstem do jednostronnego wystąpienia przeciwko intelektualistom i funkcjonariuszom żydowskiego pochodzenia.

W 1946 roku byłem współzałożycielem tzw. Ligi do Walki z Rasizmem. W ruchu tym uczestniczyli liberalowie, socjaliści, katolicy, a także inni. Wszyscy byli zdania, iż rasizm zagraża także tym, którzy sami go wyznają — zagraża zarówno moralnie, jak i duchowo. Również i oprawy są ofiarami. I stanowi to zagrożenie dla procesu zdrowego wychowania całego społeczeństwa. *Tygodnik Powszechny* od początku przeciwstawiał się takim antysemitkim tendencjom. Jednak do końca okresu stalinowskiego niesłychanie trudne było podejmowanie jakiegokolwiek publicznej krytyki.

W latach 60-tych fala antysemityzmu w Polsce napędzana była przez to ugrupowanie w partii, którego sztandarową figurą był ówczesny minister spraw wewnętrznych gen. Mieczysław Moczar, człowiek cieszący się zaufaniem sowieckiej służby bezpieczeństwa. Pod płaszczykiem „antysyjonistycznej” działalności skierowanej przeciwko państwu Izrael fala ta osiągnęła apogeum pomiędzy '67 a '69 rokiem. Był to pretekst, ponieważ w gruncie rzeczy nie chodziło o antysyjonizm, a po prostu o źle skrywane antysemityzm, dyrygowany z Moskwy. Chodziło o żydowskie — czytaj: światowe sprzysiężenie syjonistów. Tendencje te były niestety, bardzo podobne do tych z czasów Juliusa Streichera i Alfreda Rosenberga\*: wszystkim winni są Żydzi i wszystkiemu winni są także syjonści.

Takie nastawienie, które być może byłoby w jakiś sposób zrozumiałe pośród Arabów, w Europie Wschodniej nie posiadało żadnego uzasadnienia. Było kierowane z góry. W Polsce przeciwko tym tendencjom zaangażowały się setki najwybitniejszych intelektualistów. Przypuszczam, iż w rezultacie tej nagonki opuściło Polskę ok. 20 tys. Żydów, w tym wielu ludzi z wyższym wykształceniem. W tym samym czasie zauważono, że „na dole” przebiegało to zupełnie inaczej. Prości ludzie

\* J. Streicher — wydawca hitlerowskiego pisma „Der Stürmer”; A. Rosenberg — główny ideolog nazizmu, wydawca gazdiniówki „Völkischer Beobachter”, organu NSDAP.

organu w ogóle nie rozumieli, dla jakich powodów mieliby nagle zwracać się przeciwko państwu izraelskiemu albo Żydom.

Motorem akcji byli przede wszystkim działacze partyjni, funkcjonariusze, mali, marni karierowicze, którzy chcieli przejąć zajęte przez Żydów stanowiska w aparacie partyjnym i ministerstwach. W rezultacie wydano z aparatu partyjnego i ministerstw prawie wszystkich Żydów. Czylni to komuniści w stosunku do swoich własnych towarzyszy. Obserwowałem to z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony nie miałem żadnych powodów, aby specjalnie współczuć funkcjonariuszom żydowskiego pochodzenia, bowiem byli mi tak samo obcy jak partyjni aktywiści o polskim pochodzeniu, z którymi nie podzielałem ani poglądu na świat, ani ich spojrzenia na politykę i człowieka. Z drugiej strony musiałem pryncypialnie przeciwstawić się prześladowaniu grupy ludzi tylko dlatego, iż była żydowskiego pochodzenia. I tak też uczyniłem. Wielu ludzi w Polsce było zdezorientowanych tą sytuacją. Sporo osób mówiło wówczas: „Przecież on wcale nie był dobrym człowiekiem”. Ale — pytałem — dlaczego wyrzucono go z pracy? Ponieważ jego matka była Żydówką, a nie dlatego, że źle postępował.

— W okresie rozkwitu SOLIDARNOŚCI, a także po wprowadzeniu stanu wojennego miały miejsce ataki o wyraźnie antysemitckim charakterze na wybitnych, wysuwających się na czoło członków i doradców wolnych związków, takich jak np. Jacek Kuroń czy Bronisław Geremek. Szczególnie aktywnie działało w tym kierunku założone w 1981 roku Patriotyczne Zjednoczenie GRUNWALD. Co to za grupa?

— Patriotyczne Zjednoczenie GRUNWALD jest komunistyczną organizacją tzw. partyjnego betonu, opierająca się na elementach ekstremalnie prawicowych i ex-faszystowskich. Bardzo łatwo znalazły one przystań pod sztandarami komunistycznymi, ale pod hasłami wyrażającymi wrogość do ludzi innej narodowości. Organizacja ta jest nieprzyjazna nie tylko wobec Żydów, także wobec Niemców, wobec Ukraińców. Opowiada się za twardymi metodami postępowania w stosunku do „nieprawomyślnych” Polaków, opozycji demokratycznej, wykładowców wyższych uczelni, niezależnych artystów — wszystkich. Jest to typowy ruch prawicowo-ekstremistyczny, maskujący się za fasadą ruchu komunistycznego.

— Jak ocenia Pan obecne wpływy tej grupy?

— Trudno mi to dokładnie oszacować, po-



nieważ aktualnie nie mieszkam w Polsce. Przepuszczam, że jest ona w pewnym sensie opozycyjnie nastawiona do oficjalnej linii partii, która teraz na przykład w stosunku do Żydów, a także w spojrzeniu na państwo Izrael jest dość umiarkowana i wydaje się tym ludziom „za miękka”. GRUNWALD może posiadać pewne wpływy w służbie bezpieczeństwa, w aparacie policyjnym, być może także w wojsku. Trudno mi to ocenić. Jakkolwiek by nie było, nie ma ona w ogóle wpływu na opinię społeczną.

— Właśnie poruszyliśmy w rozmowie stosunek Polski do Izraela. Od 1967 roku między obu krajami nie istnieją żadne stosunki dyplomatyczne.

— Należy tu jednak zastrzec, że oficjalny stosunek rządu PRL do Izraela jest zupełnie inny niż odczucie społeczne. Znaczna część społeczeństwa okazywała Izraelowi sympatię, ponieważ Polacy zawsze sympatyzowali z państwami będącymi sojusznikami Ameryki. Jest to zresztą stara polska tradycja, wywodząca się z początków istnienia USA, z XVIII wieku.

W Izraelu, w każdym rządzie, w każdej partii politycznej polscy Żydzi odgrywali bardzo ważną rolę. I Polacy, można powiedzieć, naiwnie, z rodzimiejszą solidarnością — byli trochę dumni z tych polskich Żydów. Myśleli: „No proszę, nasi Żydzi! Oni rządzą w państwie Izrael. Ich premier, minister, generał jest polskiego pochodzenia!”

To bardzo zabawne, ponieważ wielu ludzi, którzy być może w przeszłości byli tradycyjnymi antysemitami, odnosi się z jakąś sympatią do polskich Żydów w Izraelu, odgrywających w życiu tego kraju ważną rolę.

Poza tym przyjmując z zadowoleniem to, iż rząd PRL ostatnio zdecydował się nawiązać z Izraelem, jeśli nie pełne stosunki dyplomatyczne, to przynajmniej na szczeblu konsularnym.

— Panie Profesorze! Już stosunkowo długo pracuje Pan w RFN jako wykładowca na wyższych uczelniach i na tematy, które także obojętnie Pana bardzo poruszają — np. problem „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” — wygłaszał Pan odczyty, prowadził seminaria. Jakie są Pańskie doświadczenia z młodą generacją studentów w Niemczech? Jak ustosunkowują się oni do tego

kompleksu problemów? Czy można powiedzieć, że ta problematyka doczekała się w RFN należytego opracowania i zrozumienia?

— Moje doświadczenia, jeśli chodzi o RFN ograniczają się dotychczas do 6 semestrów na uniwersytetach bawarskich — w Monachium i Eichstätt. Nie jest to wiele, ale też nie mało jak na cudzoziemca. Miałem już do czynienia z setkami studentów. Moje osobiste doświadczenia są niezwykle pozytywne, ale proszę, nie zapominajmy, że w ten sposób może jednak powstać fałszywy obraz. Bo ludzie, chcący ze mną te problemy badać i pisać, na przykład w semestrze zimowym 83/84, swoje prace seminaryjne o „Endlösung“ (ostateczne rozwiązanie — przyp. red.) na ponad tysiącu stronach maszynopisu — i były to dobrze, a nawet bardzo dobrze napisane rozprawki naukowe — nie są żadnymi typowymi przedstawicielami całego pokolenia.

Uważam jednak, że młode pokolenie, przynajmniej jeśli chodzi o studentów i przyszłych młodych naukowców, w sposób zupełnie otwarty i bez przesądów staje wobec problemu żydowskiego, w przeciwieństwie do średniej i starszej generacji, która w swojej większości zachowuje absolutne milczenie, co każe mi wątpić w jej otwartość na tę problematykę.

Wciąż jeszcze na NPD (Narodowodemokratyczna Partia Niemiec, skupiająca wokół siebie prawicowych ekstremistów, neofaszystów — przyp. red.) glosuje w Niemczech 200 tysięcy osób. NPD to oczywiście nie NSDAP — nie porównuje tych dwóch partii. Ale NPD jest na pewno ugrupowaniem nastawionym wrogo do obco-krajowców, do wszystkich obcych. Mówią delikatnie, bardzo się od nich dystansuje. I na pewno ludzie ci nie wstydzą się tak bardzo nazistowskiej przeszłości, także wobec niemieckich i innych Żydów. A więc w dalszym ciągu istnieje kilkaset tysięcy osób, jeśli wziąć pod uwagę niegłoszących sympatyków, o postawach ekstremalnie negatywnych. I z pewnością istnieje dalsze kilkaset tysięcy lub więcej, które pozostaje obojętne lub nie posiada własnego zdania.

W tym kontekście muszę powiedzieć, iż ci ambitni młodzi Niemcy, w swej większości całkowicie otwarcy na tę problematykę, stanowią nadzieję tego narodu.

Ale nie można też przysmykać oczu na innych i twierdzić, że problem nie istnieje.

— W Oświęcimiu otwarto niedawno młodzieżowe centrum spotkań. Istnieje także inicja-

\* W nomenklaturze narodowo-socjalistycznej określenie planu przymusowego przesiedlenia Żydów europejskich na Madagaskar, do Polski, na Syberię i (od początku 1941 r.) wyniszczenie przez milionowe morderstwa, szczególnie w obozach zagłady.

tywa, by zorganizować coś podobnego w Dachau w celu otwarcia młodzieży dostępu do historii nie polegającego wyłącznie na czytaniu podręczników i książek, lecz również na konfrontacji z miejscami zbrodni i z ludźmi, którzy zdołali ów terror przeżyć. Jak widzi Pan wartość a też i problematykę takich placówek?

— Ta tendencja wśród młodych ludzi, by informować się u źródeł pojawiła się nieco późno, ponieważ większość świadków tego czasu zmarła. Jako historyk mam doświadczenie w zbieraniu danych od świadków i wiem, jak o to trudno w ostatnich czasach. Ale rozumiem to dążenie młodych ludzi. Jest ono godne uwagi, należy je też cenić. Ale nie powinno się na tej płaszczyźnie szukać argumentów do politycznych dyskusji na tematy aktualne. Należy, jak sądzę, silniej popierać normalne prace badawcze.

Jeśli jednak na przykład istnieją dziś klasy szkolne, które w jakimś okręgu, jakimś miasteczku, wsi usiłują lepiej zrozumieć przeszłość na podstawie autentycznych wypowiedzi świadków albo dokumentów, jest to ciekawość zdrowa. Powinno się po prostu usiłować zrozumieć, jak doszło do tego, że ludzie w czasach nazizmu ulegli demoralizacji, kolaborowali lub byli obojętni.

Winno się badać nie tylko złą przeszłość, ale także przeszłość pozytywną, a więc przykłady ucisku, ale też i oporu. Z wielkim zadowoleniem przyjąłem fakt, iż ojciec Mayer z Monachium został beatyfikowany. Powinno się w ten lub inny sposób honorować i inne podobne postaci, stawiać je za przykład, badać ich działalność. Z pewnością było wówczas za mało takich ludzi, ale przecież było ich więcej niż dziesięciu sprawiedliwych z Sodomy.

— Podrzucił mi Pan hasło do ostatniego pytania. W 1963 roku zasadził Pan drzewko w Yad Vashem, w Alei Sprawiedliwych Między Narodami i otrzymał honorowy tytuł „sprawiedliwego między narodami świafa” w uznaniu Pańskiej działalności w czasach nazistowskiej okupacji Polski. W rozważaniach na temat odwagi cywilnej opisuje Pan, przedstawiciel polskiej inteligencji, osadzony w Oświęcimiu, jak na placu apelowym, strzeżonym przez pó zęby uzbrojone oddziały SS, obserwował Pan bezczynnie wraz z 5 tysiącami towarzyszy niedoli, jak esesmani katują jednego z więźniów. Przy czytaniu tego tekstu można niejako odnieść wrażenie, że swoje zachowanie w tej sytuacji odczuwa Pan jako winę. Czy tak jest?

— Nie. To jednak, iż można doprowadzić

człowieka do stanu zezwolenia, w którym ludzie cieszą się, że w dalszym ciągu biologicznie istnieją, przy czym wszystko inne traci na znaczeniu, odczuwam jako upokorzenie. Do takiego stanu doprowadzono Żydów w gettach, Polaków w kacetach, jak i rosyjskich jeńców, wśród których w obozach, gdzie tysiące pomarły z głodu, dochodziło do kanibalizmu. Podobnie działo się w ostatnim dziesięcioleciu w Ugandzie i Etiopii. Jest to więc sytuacja i doświadczenie wspólne całej ludzkości. Sytuacje, w których ludzie przestają być w pełni ludźmi są zawsze upokarzające.

Ale gdzie przebiega ta granica, jak dalece człowiek zdolny jest zachowywać się po ludzku i po ludzku myśleć? Nikt tego nie wie. Istnieją przykłady zdecydowanie pozytywne, ale przecież dochodziło też do sytuacji, w których ludzie dostosowują się, stają się współnikami zbrodni, ponieważ chcą już od początku uniknąć jakichkolwiek trudności, lub wynieść jakieś korzyści. Ale są to przypadki skrajne — tych prawie świętych, prawie męczenników, ofiar idei miłości bliźniego z jednej strony, i ludzi w pełni konformistycznych, współników z gruntu złej sprawy, na biegunie przeciwnym. Pomiedzy tymi dwoma przeciwnościami leży szerokie spektrum milionów ludzi w Europie, którzy w różny sposób pomagali innym.

Muszę podkreślić, że gdybym nie posiadał doświadczenia Oświęcimia, przypuszczalnie nie angażowałbym się po zwolnieniu z obozu tak mocno w sprawę pomocy prześladowanym Żydom. Przypuszczam, że jako młody człowiek zostałem w straszliwy sposób pouczony, iż najważniejszym zadaniem w tych strasznych czasach było ratowanie ludzi, ratowanie w sensie fizycznym i duchowym. Współuczestniczyłem w ratowaniu siebie, ponieważ sam działałem. Jestem zdania, iż jeżeli ktoś działał w słusznej sprawie, pozostał też w pewien sposób czysty duchowo, lub w dużym stopniu tę czystość zachował.

Gdy wraz z innymi pomagałem Żydom (pomagałem także chrześcijanom w okupowanej Polsce, ale Żydzi byli najczęściej doświadczonymi), ratowałem także własną duszę. Jestem o tym przekonany. I gdy w 1963 roku uhonorowano mnie w Izraelu, przeżywając te momenty w Jeruzalem na Har-Hazikaron, na Górze Pamięci, przy krypcie Yad Vashem, czułem się reprezentantem ludzi należących do tej samej wspólnoty myśli i celów.

Nie byłem żadnym bohaterem, nie uczyniłem niczego szczególnego. Uczyniłem to, co mogłem. Nie wiem, czy mogłem uczynić więcej. Na to

pytanie nie istnieje żadna odpowiedź. Twierdząc uparcie i z naciskiem: wystarczająco dużo dla innych uczynili ci, którzy czynili to aż do końca, do śmierci i zginęli jako ofiary.

Maksymilian Kolbe nie mógł uczynić nic więcej. Uratował jednego człowieka i zapłacił za to własnym życiem, ale każdy inny, kto mógł cokolwiek zrobić — czy nie mógł uczynić więcej? Na to musi szukać odpowiedzi we własnym sumieniu, na własny użytek. Nigdy nie powiedziałem, że uczyniłem wystarczająco dużo, albo że uczyniłem wiele. Zawsze mówiłem: w ramach moich możliwości, jak potrafię to ocenić — być może błędnie — uczyniłem tyle, ile mogłem, ale nie wiem, czy nie mógłbym być zrobić więcej.

— Panie Profesorze, dziękujemy Panu za tę rozmowę.

(rozmowę przeprowadził Jürgen Zarusky).

(tłum. PK./E.K.)

Przedruk za *Tribune* (104/87), kwartalnika ukazującego się od 25 lat w RFN, poświęconego problemom „zrozumienia żydostwa” (podtytuł). Tłumaczenie autoryzowane, przypisy redakcji.

\* \* \*

Po ogłoszeniu niniejszego wywiadu prof. Bartoszewski wziął udział w pierwszej międzynarodowej konferencji poświęconej historii i kulturze Żydów polskich (Jerozolima, 31.01.-5.02. br.), na którą przybyło ponad 80 naukowców z Polski i ok. 200 polskich Żydów, zamieszkałych dziś w USA, Kanadzie, Wlk. Brytanii, RFN i Danii. Uwagi i spostrzeżenia Profesora Bartoszewskiego z tej konferencji znajdują czytelnicy w następnym numerze *Poglądu*.

Dokończenie ze str. 53

Wpadając w niezwykłe dla siebie patetyczne tony, Strauss wypowiedział przekonanie, iż „bóg wojny Mars powoli opuszcza scenę, a wchodzi na nią bóg handlu Merkury”. Rosjanie zrobili na pewno dobry interes (od czasu Gorbaczowa jest to żelazną zasadą). Strauss wypowiedział się bowiem za demontażem nieufności Zachodu, czego wyrazem ma być zniesienie barier militarnych w handlu, a także likwidacja listy COCOM, czyli zakazu sprzedaży na Wschód produktów cywil-

negu użytku, mogących znaleźć zastosowanie w przemyśle wojskowym. Franz Josef przehandlował nie tylko swój „worek gospodarczych propozycji”, ale także, niestety, własne polityczne oblicze. Jeszcze w roku 1980 gromko pokrzykiwał: „Sowietci dali mi już przed jakimś czasem do zrozumienia, że muszę zmienić moje poglądy, zanim mnie zaproszą. Mogą długo czekać!”. Podobnych cytatów można by przytoczyć mnóstwo, ale zmilczmy — jesteśmy bowiem na pogrzebie antykomunizmu F.J. Straussa i żartować nie wypada.

Dokończenie ze str. 57

Podobne jajo serwuje się teraz w Moskwie, przede wszystkim na wyнос i oczywiście większe; kwestia skali. Tamtejsza gastronomia polityczna do świeżych dodatków zaufania nie ma, woli zamrożone w syberyjskim lodzie. Jajo sowieckie obkłada się wykopywanymi na gwałt nieboszczykami, Pasternakami i Mandelsztamami. Gdyby Sółżenicyn umarł w porę, też by go dziś rzucili na półmisek. Sacharowa turlają wokół tego jaja niczym ziarno zielonego groszku. Ale to nie pomoże, bo to wciąż to samo jajo. Jak się śpiewało za czasów mojej młodości — jajco became to zbuk. I nie pomoże nawet galaretką z byłych doradców „Solidarności” choćby się bardzo trzęsta.

Dokończenie ze str. 39

Liczba rodaków, którzy żyją z dala od ojczyzny, powiększyła się i nadal rośnie. Ludzie nadal opuszczają ojczyznę, często narażając życie. W roku 1968, przed 21 sierpnia taka emigracja była nie do pomyślenia. Choć sam nie byłbym zdolny do opuszczenia ojczyzny, nie mogę potępiać tych moich rodaków, którzy to uczynili. Wprost przeciwnie — życząc sobie, by bez dyskryminacji znaleźli drogę powrotu do ojczyzny. Wszystkich, obojętnie czy chcą wrócić czy nie, powinna obowiązywać zasada, iż swoim działaniem dają świadectwo, że nie stracili wiary z ojczyzną i pielęgnują jej dobre imię na całym świecie. (...)

Tłum. A. Knuff

# LIBELLA

12, rue St-Louis-en-l'île — 75004 Paris, France  
Metro: Pont Marie Tel 49-26-51-09  
— poleca swoje wydawnictwa

## KRYSTYNA KERSTEN Narodziny systemu władzy Polska 1943-1948

... Autorka zajmuje się centralnym problemem władzy i próbuje odpowiedzieć na pytanie, w jakich okolicznościach wewnętrznych i zewnętrznych stało się możliwe, że garstka ludzi związana z ruchem komunistycznym, nie mająca początkowo prawie żadnej bazy społecznej oraz bardziej niż niepopularna w kraju ustawiła władzę, utrzymała ją i przystąpiła do budowy systemu socjalistycznego. Na tym tle pokazany jest wielki dramat narodu opuszczonego przez mocarstwa zachodnie i zdanego na łaskę „wielkiego sąsiada”.

(Recenzje. Emanuel Halicz. *Narodziny systemu władzy*.  
„Zeszyty Historyczne Nr 77. Paryż 1986.”

Stron: 393

Cena franków fr. 120.00  
plus przesyłka 10 %

**KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT**  
Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie



### KSIĘGARNIA WAWEL

D-5000 Köln 1, Stephanstr. 11

Tel. 0221/24 61 60

otwarta codziennie od 10 do 18.30

w soboty do 14

### CHCESZ SPRAWIĆ BLISKIM RADOŚĆ — PODARUJ !!!

W. Pobóg-Malinowski: **NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI**

t. I lata 1864-1914, 640 str., t. II 1914-1939, 900 str., t. III 1939-1945, 930 str.  
po DM 63,50

„**ŚMIECH ZAKAZANY**” — ponad 1000 politycznych dowcipów z 40 lat PRL.

Zebrał A. Rosenbusch. Melbourne, 225 str.

DM 26.-

„**GOMUŁKA I INNI. DOKUMENTY Z ARCHIWUM KC PZPR**”

Rewelacyjne, tajne dokumenty odsłaniające kulisy rządów PRL. 272 str.

DM 24.-

L. Kofakowski: „**JESLI BOGA NIE MA**”. Rozważania na temat powiązań między religią a życiem, erosem, śmiercią. 160 str.

DM 15.-

**KALENDARZ.SCIENNY** na 1988 rok z pięknymi kolorowymi zdjęciami z podróży papieża Jana Pawła II. Wyd. w USA

tylko DM 3.-

\*\*\*\*\*

Na składzie księgarni Wawel — kilka tysięcy tytułów książek polskich oraz płyty i kasyety  
Nowy katalog gratis na żądanie?

# „Wiele jest tematów w Polsce, o których trudno się mówi z wolną głową”

Dla „Poglądu” z Agnieszką Holland rozmawia Krzysztof Werski

— Kończysz realizację filmu o księdzu Popiełusce. Amerykańsko-francuska produkcja, z gwiazdą Christopherem Lambertem w głównej roli i zdjęciami Adama Holendra. Rok temu twój film „Gorzkie żniwa” był nominowany do Oscara, czyli uznany został za jeden z sześciu najlepszych filmów roku 1986. Dzieje się to w chwili, kiedy polskie filmy są zupełnie nicobecne na ekranach europejskich, a tylko niewielu kinomanów pamięta, że istniała kiedyś Polska Szkoła Filmowa. Czy trzeba przestać myśleć jak polski reżyser, żeby stać się reżyserem europejskim?

— Jeśli chodzi o artystyczną renomę naszego filmu, były przecież okresy w polskim kinie, nie tak dawne jak Polska Szkoła Filmowa, kiedy polskie filmy były znane — przynajmniej przez publiczność, która się interesuje nie tylko kinem amerykańskim. Filmy Wajdy, Zanussiiego czy Kieślowskiego, a także młodszych autorów, znane były w środowiskach krytyki filmowej i publiczności festiwalu.

Skończyło się to w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Potem żaden polski film, za wyjątkiem może jakichś incydentalnych nagród na niezbyt ważnych festiwalach, nie zaistniał na świecie. Wydaje mi się, że powód leży raczej w sferze psycho-socjologii sztuki, niż strictly politycznej. Za wyjątkiem pierwszych dwóch lat po wprowadzeniu stanu wojennego nadal można było robić filmy. Tymczasem cały szereg kolegów przestał kręcić. A te filmy, które powstały, nie mają na ogół ani rozmachu, ani oryginalności, ani siły.



Jeśli chodzi natomiast o duży rynek komercyjny, to prawdopodobnie trzeba przestać być reżyserem polskim, żeby stać się reżyserem światowym. Wynika to z układu nie artystycznego lecz ekonomicznego. W tej chwili na rynku światowym

liczy się tylko kino amerykańskie. We Włoszech, Anglii czy Francji filmy krajowe mogą liczyć na pewne powodzenie, ponieważ odpowiadają partykularnym zainteresowaniom. Zdarza się, że jakiś film europejski zrobi karierę na świecie, ale dość rzadko. Dystrybutorzy amerykańscy, którzy sprowadzają taki film, inwestują ogromne sumy, które przekraczają często koszty produkcji filmu. Właściwie dzisiaj film nie może zaistnieć w skali masowej, jeśli nie jest poparty dużą inwestycją. Czasami zdarza się cud i jakaś nieoczekiwana promocja. Zwykle związane jest to z nagrodą na ważnym festiwalu. Ale to są cuda, na które się nie liczy. Nie zdarzyło się to żadnemu polskiemu filmowi w ostatnich latach. Dopóki nie będzie jakiegos dowodu, że polski film da się sprzedać, dopóty nie może zaistnieć. To jest błędne koło.

— To realia ekonomiczne. Co z myśleniem?

— Wydaje mi się, że to jest tak, jak z tłumaczeniem literackim. Musisz przetłumaczyć nie tylko dialogi filmu, ale cały sytem pojęć. Musisz dokonać przetłumaczenia swojego doświadczenia na bardziej uniwersalne. Czasami zdarza się, w przypadku jakiegoś wybitnego dzieła, że to doświadczenie jest tak oryginalne, świeże i zaskakujące dla ludzi z innych krajów, że przyjmuje się je z całą otoczką czegoś nieznanego i egzotycznego. Ale to się zdarza raz na sezon.

— W Polsce napisałaś scenariusze i nakręciłaś „Aktorów prowincjonalnych”, „Gorączkę”, „Kobietę samotną”. Ostatni film, opowieść o rozpaczliwej próbie wyrwania się z vegetacji na marginesie życia, uznano za najlepszy polski film współczesny ostatnich lat. Napisałaś też scenariusz „Bez znieczulenia”, zrealizowany przez Andrzeja Wajdę. Wszystkie te filmy kończą się głęboko pesymistyczną konkluzją. W trzech wypadkach śmiercią bohaterów. Czy jesteś uczniem Klerkegaarda i egzystencjalistów? Czy kondycja ludzka jest absurdalna i tragiczna?

— Nie, nigdy nie starałam się budować żadnej ideologii do tego, co robiłam. Wynikało to z takiej potrzeby, takiego widzenia świata. Także, być może, z przeczcucia końca pewnego świata, który był moim światem. W każdym razie, kiedy dzisiaj patrzę na to, co chciałyśmy zrobić, to wołałabym, nie rezygnując ze skomplikowanego obrazu świata, zaproponować jakąś nadzieję na końcu.

Nie wiem, czy mi się to uda. Za każdym razem wydaje mi się, że to nadzieja, a wszyscy mówią, że działa depresyjnie. Generalnie światopogląd egzystencjalny jest mi bliski. Wiesz przecież,

że każdy los ludzki kończy się śmiercią. Można nią zakończyć w naturalny sposób fabułą. W tej chwili jednak sądzę, że sytuacja na świecie jest bardziej złożona i przytłaczająca niż wtedy, kiedy byłam młodsza i że w związku z tym ludzie nie mają energii moralnej, żeby konfrontować się z beznadziejną wizją świata. Wydaje mi się, że mają potrzebę szukania, nawet jeśli są to miraż jakichś rozważań, wyjść. I jeśli chce się dotrzeć do nich z filmem, to trzeba starać się odpowiedzieć na te oczekiwania.

— „Kobieta samotna” była zatrzymana przez cenzurę. To zdarza się wielu filmom w Polsce. Nie miałas jednak zakazu pracy. Tak jak na przykład Bugajski za „Przesłuchanie”. Twoja pozycja zawodowa w kraju była ustalona. Dlaczego zdecydowałaś się na emigrację, ponosząc przy tym ogromne ryzyko zawodowe?

— To wyglądało trochę inaczej. „Kobieta samotna” została zatrzymana przez cenzurę, kiedy ja już byłam na Zachodzie. Po stanie wojennym. Przedtem miałam za każdym razem problemy z cenzurą. Także z filmami telewizyjnymi, o których nie wspominales. Rozwiązywały się te problemy po różnych walkach, ustępstwach, cięciach. „Kobieta samotna” przeszła przez różne komisje kłaudacyjne i zablokowała ją dopiero zmiana sytuacji politycznej.

Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym była w tym momencie w Polsce. Nie wiem, czy bym była potraktowana jak Bugajski. Mój film politycznie nie był tak trudny jak Bugajskiego, ale moja osobista pozycja była zawsze dość radykalna i moge przypuszczać, że miałabym przez dłuższy czas kłopoty z wykonywaniem zawodu. To był jeden z powodów, dla których zdecydowałam się zostać na Zachodzie. Miałam też przeczcucie, że jeśli chodzi o polskie kino, to dla mojego rzutu generacyjnego jest to wielki dół. I to się mniej więcej sprawdziło.

Nie chciałam wrócić do takiego układu, który politycznie jest obrzydliwy, ludzko niezbyt ciekawy. Zdawało mi się, że filmowe środowisko nie ma dość siły moralnej, żeby odpowiedzieć na tę sytuację. Miałam też taką potrzebę, żeby przestać w kółko opowiadać te same historie tym samym ludziom, którzy je dobrze znają.

Robię teraz film, który opowiada historię księdza Popiełuszki. Nie jest to rekonstrukcja jego życia ani nawet film bezpośrednio o nim. Można to porównać do „Z” Costy Gavrasa. Film bardziej zainspirowany wydarzeniami, niż relacjonujący

fakty. Ale wydawało mi się, że ta historia, ważna dla Polaków, ma w sobie jakby magnetyczną, uniwersalność, że mogę poprzez nią powiedzieć o tym, czym my żyjemy i co nie będzie tylko ciekawostką polityczno-geograficzną, że będzie to miało dla ludzi gdzie indziej wymiar własnego doświadczenia. Tak to starałam się opowiedzieć.

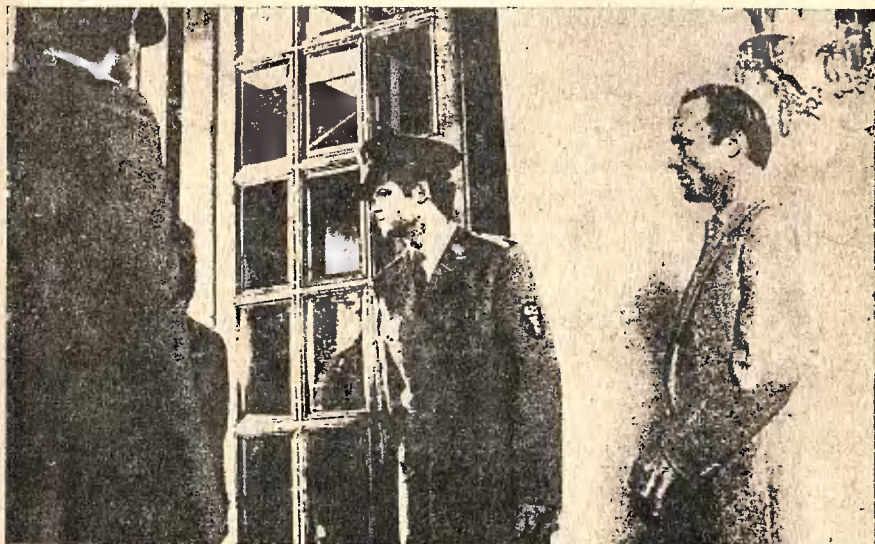
— Poczucie klęski, pesymizm to znaki rozpoznawcze polskiej literatury i kina. Kiedyś w tym polskim widzeniu było coś, co przyciągało Europejczyków. Być może szok II wojny światowej zmuszał do myślenia. Teraz Europa chce się bawić. Tak dobrze jak Ameryka. Ty proponujesz tragiczną historię księdza zamordowanego za wierność przekonaniom. Czy przesłanie o zwycięstwie moralnym wystarczy, żeby przekonać dystrybutorów i widzów?

— Mam nadzieję, że tak. We wszystkich moich poprzednich filmach bohaterami byli ludzie

nie chcą happy-endu. Myślę, że chcą właśnie światła. Chcą jakiegoś takiego poczucia, że można oddzielić dobro od zła, że można to jak gdyby skodyfikować, nazwać. I że można się tym wzruszyć. I to jest wartość uniwersalna tej historii. Wydaje mi się, że to właśnie zainteresowało producentów. Wpomniałeś o Kierkegaardzie. Na końcu filmu umieściłam jego zdanie, które brzmi w przybliżeniu tak: „Gdy tyran umiera, jego królestwo się kończy. Kiedy umiera męczennik, jego królestwo się zaczyna.”

— Film o Popiełuszce powstaje w języku angielskim, z angielskimi, amerykańskimi i francuskimi aktorami. Kręcony jest we Francji. Siłą twoich filmów było przywiązanie do realiów. Nie obawiasz się powstania efemerydy w rodzaju amerykańskich filmów dziejących się „w Związku Radzieckim”?

— To jest poważny problem. Oczywiście, że



Ed Harris w roli oficera SB

złamani, pęknięci, skazani na klęskę. Ich los okazywał się tandetnym powtórzeniem pewnych wielkich losów. Natomiast historia tego księdza, pomimo że jest straszna, nawiązuje do mitologii, która tkwi w korzeniach naszej kultury. Do losu Chrystusa. Ten ksiądz jest postacią, w której jest światło. Wydaje mi się, że to nie jest tak, że ludzie koniec-

się tego białam. Staralam się zrobić dwie rzeczy. Trochę tego już próbowałam w niemieckim filmie („Gorzkie żniwa” — przyp. K.W.), który dzieł się w Polsce, gdzieś na Śląsku. Chodziło o to, żeby uprawdopodobnić go scenograficznie i językowo. No, ale był mówiony po niemiecku. Wiem, że niektórym z moich rodaków to przeszkadzało.

Warstwę realiów staram się zastąpić ekspresyjnością. Wydaje mi się, że jeśli osiągnę pewne natężenie emocji aktorów i całego opowiadania, to ta niekonkretność języka i miejsca akcji jakoś się zatrze. Paru przyjaciół z Polski oglądało materiały mojego ostatniego filmu. Po pierwszych dwóch, trzech minutach wchodzili w tę rzeczywistość bez oporu. Myślę, że to się chyba uda. Na szczęście mam dobrych aktorów. Szczególnie aktorzy angielscy i Ed Harris — Amerykanin, mają taką prawdę, tak dużą odwagę grania, że uwiarygodniają bardzo dużo. Jeśli chodzi o scenografię, to wydaje mi się, że udało się stworzyć rodzaj imaginacyjnej Polski nie starając się rekonstruować prawdziwych miejsc, bo to niemożliwe. Produkcynie okazało się to kosztowne. Zrobiliśmy taki produkcyjny Tour de France. Byliśmy w Lionie, Lille, Louvin, Hawrze, Paryżu i nie wiem jeszcze gdzie. Powstała z tego fuzja fragmentów ulic i domów. No i zobaczysz sam. Najważniejsze wydaje mi się, czy to będzie ciekawe, czy będzie napięcie. Staram się robić film atrakcyjny, nie gubiąc przy tym doniosłości polskich problemów.

— Kurosawa stosuje klucz Szekspira, żeby zeuropelizować realia japońskie. Czy masz taki klucz do przełożenia specyficznej i piekielnie skomplikowanej polskiej problematyki?

— Nie mam klucza. Nie myślałam o tym nigdy, jako o kluczu. Myślałam głównie o sposobach, których trzeba używać. O oczyszczeniu opowiadania z pewnego balastu komplikacji natury kulturowo-histerycznej, który jest hermetyczny i który rzeczywistość może tylko zafunkcjonować, kiedy się robi polski film w Polsce. Jeśli chcesz opowiedzieć tę historię tutaj, musisz ją przetrwać na język bardziej uniwersalny. Generalnie wśród polskich symboli trzeba wybrać takie, które są przetłumaczalne.

Po stanie wojennym pojawiła się w Polsce ogromna ilość rekwizytów martyrologiczno-patriotycznych, które w życiu codziennym stanowiły szalenie istotny rodzaj sztafażu. Zorientowałam się, że gdybym zrobiła coś takiego, to normalny zachodni widz nabrałby natychmiast dystansu do postaci filmu. Stałyby się dla niego tak niezrozumiałe, jak murzyńscy czarownicy. Trzeba było wybrać kilka symboli jasnych i czytelnych, takich, które nie tworzą wrażenia magiczno-barbarzyńskiej otoczki.

Często w ten właśnie sposób odbiera się polską religijność czy patriotyzm na świecie. Pewne rzeczy z kolei grają fantastycznie. Na przykład

świecie i znicze na polskich cmentarzach. Tutaj to nie istnieje. Kiedy oglądaliśmy materiały, widzom stąd wydawało się to bardzo piękne. A jednocześnie odwoływało się do kultu backgroundu. Trzeba dokonywać tego typu zabiegu. Pokazywać w sposób mniej werystyczny, niż gdybym robiła to w Polsce. Wielu ludzi w kraju zareagowało z jakąś irytacją na wiadomość, że robię tutaj ten film. Również dlatego, iż uważają, że za długo jestem poza krajem. Wydaje mi się, że gdybym była krócej poza krajem, nie mogłaby zrobić tego filmu tak, aby dotarł do trochę szerszej widowni światowej. Inaczej widzisz siebie samego, kiedy masz do tego dystans.

— W Polsce nie można by chyba ruszyć teraz tego tematu. Nie tylko ze względu na cenzurę.

— Byłoby strasznie dużo ludzi, którzy mają coś do powiedzenia. Rodzina, znajomi, kuria biskupia. Każdy byłby konsultantem. Bardzo trudno byłoby robić ten film z wolną głową. Wiele jest tematów w Polsce, o których trudno się mówić z wolną głową. W dużym stopniu polska kultura na tym cierpi. Wytworzyły się kody pojęciowe i kody wartości. Bardzo trudno te kody odprowokować.

— Ukończyła szkołę filmową w Pradze. Przetłumaczyła znakomitą książkę Milana Kundery „Nieznosna lekkość bytu”. Co zawiądujesz czeskiemu doświadczeniu?

— Bardzo dużo, choć trudno mi powiedzieć dokładnie, na czym to polega. W sensie zawodowo-artystycznym zawiąduję bardzo dużo czeskim filmom tamtego okresu. Tworzyły, wydaje mi się, najżywszy nurt w kinie powojennym na świecie. Pokazały mi, że można patrzeć na rzeczywistość w sposób szalenie bezpośredni. Można opowiadać w sposób bardzo realistyczny i poprzez szczegóły, a jednocześnie dojść do pewnego typu magii. To jest może taka szaro-przaśna magia, ale wydaje mi się bardzo filmowa.

A jeśli chodzi o doświadczenie polityczne, to „praska wiosna” była wspaniałym przeżyciem ludycznym, którego z niczym nie mogę porównać. Pozbawiona była tego, co poznaliśmy w Polsce, tego przeżucia nieszczęścia i kryzysu. W Pradze wszyscy byli nieszczęśliwi i beztroscy jak dzieci. A potem zobaczyłam, jak łatwo to można zmiążdżyć. Niemal błyskawicznie. Konsekwencją interwencji było jakby odmóżdżenie tego społeczeństwa. Odmóżdżenie, które trwa do dzisiaj. Więc z jednej strony było to dla mnie doświadczenie radosne, z drugiej traumatyczne, nastawiające bardzo sceptycznie. Zrozumiałam, że jest coś ta-



kiego w polityce, jak naga siła. W jakimś tam wymiarze ona decyduje. Przynajmniej na przestrzeni ludzkiego życia może zdecydować, czy będzie ono miało sens czy nie.

— Peter Krall powiedział: „Trudno dorastając nie szukać w śmiechu jedynego sposobu na utrzymanie w bezpiecznej odległości wszystkich tych skarbów, grozących pograżeniem się w czeskości jak w odwiecznej ciszy bajora.” Czy nie masz wrażenia, że nasza literatura i film „pograżają się w polskości”, że brakuje nam poczucia humoru Kundery, Jerofiejewa, Bukowskiego, Havela? Czy nie za często jesteśmy Konradami, a za rzadko Piszczykami i Pankami?

— Wydaje mi się, że jest coś nieznośnie namaszczonego w dużej części polskiej kultury. O ile powiedziałam, że czeski naród jest odmóżdżony, to jednocześnie ten naród ma kilkudziesięciu pisarzy, z których co najmniej dziesięciu jest, czy może być, na najwyższym poziomie światowym.

Nie wiem, czy w Polsce jest teraz jakikolwiek pisarz, który miałby taki uniwersalny wymiar. Być może wynika to paradoksalnie z tego, że elita intelektualna Czechosłowacji jest szalenie wyizolowana. Ci odważni, wspaniali ludzie żyją w takiej niemal izolacji jak pierwsi chrześcijanie. Nie mają żadnej styczności ze społeczeństwem i żądają poparcia ze strony tego społeczeństwa. Dysydenci są tam rzeczywiście w sytuacji dramatycznej samotności. To jest ciężkie osobiście i może spowodować różne dramaty, często prowadzi do emigracji. Ale z drugiej strony daje im to poczucie wolności wewnętrznej. Nie ulegają oni, w takim stopniu jak polscy twórcy, naciskom oczekiwań społecznych. W Polsce jest bardzo silne poczucie grupowości. Wszyscy mamy myśleć podobnie, mieć takie same poglądy, takie same emocje. Te zbiorowe emocje, które wyrażają się na przykład podczas wizyty Papieża. Masz rzeczywiście fantastyczne poczucie wspólnoty z narodem, a z drugiej strony stajesz się częścią wielkiego kolektywu i masz wobec niego zobowiązania. Trzeba mieć wielką siłę, żeby się z nich wyzwolić. Tym Czechom, przez to, że są samotni, jest trudniej i łatwiej. Łatwiej jest być niezależnymi.

— Czy zgodziłabyś się, że jednym z problemów blokujących polską kulturę powojenną jest także to, że zło jest u nas tak jednoznacznie prymitywne, chamskie i nieestetyczne. W kulturze zachodnioeuropejskiej zło często jest fascynujące, niejednoznaczne, trudniejsze jako przeciwnik. Tak jak w „Jądrze ciemności” Conrada, twórczo-

ści Mann'a czy Faulknera. Czy nie za łatwo przychodzi polskiemu twórcy moralny niepokój?

— A jednocześnie polska historia jest pełna ambiwalentnych sytuacji, dramatycznych wyborów między mniejszym złem i większym złem. Sztuka i społeczna samowiedza rzadko z tego korzystają. Brzozowski, częściowo Zeromski, Kraśniński, ze współczesnych próbował Andrzejewski, który zarobił dzięki temu na opinii niemal kolaboranta. („Popiół i diament” — a nikt nie wspomina o rzadkiej odwadze moralnej w ocenie komplikacji polskich win wobec Żydów w „Wielkim tygodniu.”)

Problem polega na tym, że w Polsce zło się bardzo łatwo egzorcyzuje, wyrzuca „na zewnątrz”. Zło to Oni — Rosjanie, Niemcy, komuniści, ubecy, rząd. Oni — to nie ludzie. Ludzie — to my, Polacy — my. Sprzyja to budowaniu oczyszczającej, ale i symplifikującej mitologii, niezbędnej być może dla zdrowia psychicznego tego udrczonego narodu, ale zabójczej dla sztuki, w każdym razie jej pewnych form. Liryka jest możliwa, groteska jeszcze wychodzi, ale dramat jest już trudny.

Dramat (od czasów greckich, poprzez Szekspira, aż do egzystencjalistów) polega na walce między dobrem i złem. Potem walki jest dusza ludzka. W polskim myśleniu zło istnieje poza duszą. Jest zewnętrzne, wypręparowane, nie dotyczy nas, tylko nam zagraża. Nudne, głupie, okrutne. Możemy złożyć się mu w ofierze albo je osmieżyć.

W związku z dzisiejszą sytuacją zadałam sobie pytanie: w Polsce jest około 4 mln ludzi bezpośrednio związanych z reżimem, partyjnych funkcjonariuszy, ubeków, wojskowych, i ich rodzin. Czy oni nie mają duszy? I czy oni rzeczywiście są wszystkiemu winni? Czy to nie za proste? Czy nie ułatwiamy sobie znowu? Zaciekawilo mnie to i może dlatego postanowiłam (w tym ostatnim filmie) zaryzykować hipotetyczną podróż w duszę ubeka.

— Josif Brodski w przemówieniu podczas ceremonii wręczenia mu nagrody Nobla wyznaczył estetyce miejsce przed etyką. Człowiekowi, który czytał Dickensa trudniej jest zabić bliźniego niż temu, który nie czytał. Rosja upadła, bo ołbrzymia większość narodów Rosji nie wiedziała, co to literatura. Człowiek przywiązany do piękna potrafi odróżnić dobro od zła. Czyli forma kształtuje treść. Język, twierdzi Brodski, kształtuje poetę. Co na to twoje doświadczenia filmowe?

— To na pewno słuszne i szlachetne, tylko nie

zawsze się sprawdza. Znamy bardzo wyrafinowanych katów nazistowskich, którzy byli subtelnymi znawcami Goethego i Beethovena. Choć generalnie rzecz biorąc jest tak, że kultura humanizuje stosunki. Po to ona jest.

— A forma i treść? W *Zeszytach Literackich*, w tekście „Kilka uwag o młodym polskim kinie” skrytykowałeś polskie filmy „moralnego niepokoju”. Napisałeś: „Opis zamiast ekspresji, opis zamiast syntezy.” Czy teraz forma zajmuje Cię bardziej?

— Tak. Ale kiedy posłuchać, co Brodski mówi o kulturze, to jemu nie chodzi o to, że estetyka jest ważniejsza od ctyki, tylko że estetyka zawiera w sobie ctykę. Estetyka jest ctyką samą w sobie.



Ed Harris

W tym sensie forma jest również treścią. Wielu twórców tak uważa i często prowadzi to do kompletnej beztreściowości. To jest bardzo trudne. Mnie się wydaje, że największą siłą sztuki jest rozśądność, komplikacja, wielorakość.

To, co mnie zawsze drażni, to uniformowanie czegokolwiek w jakieś szkoły, kierunki, estetyzujące czy odwrotnie. To jest zresztą, wydaje mi się, problem kultury XX wieku. Przebiega to szalenie zewnętrznymi drogami. Podporządkowuje im się twórczość do tego stopnia, że trudno potem

odróżnić, kto jest autorem czego. Bardzo trudno znaleźć indywidualnego człowieka.

W przypadku wielkich twórców kina bardzo łatwo jest odróżnić, kto zrobił ten czy inny film. Kiedy oglądałeś filmy Felliniego czy Kurosawy lub Bergmana, wiedziałeś natychmiast, że to on. Jak oglądasz filmy reżyserów amerykańskich, to chyba tylko Jarmusch i Woody Allen są tacy osobni. Cała reszta, nie wiem. Nie wiem, co robi Spielberg, Lucas, co robi x, y, z.

Są te filmy perfekcyjne, począwszy od scenariusza, spraw rzemieślniczych, ale autora, człowieka w tym nie ma. W tym momencie nagle zdajesz sobie sprawę z podziału na formę i treść. Forma to nie tylko atrakcyjne opakowanie czegoś. To

jest coś, przez co się wyraża indywidualnie ludzka ekspresja, przez co się wyraża jakby ludzka dusza.

— Wśród intelektualistów Europy zachodniej panuje przekonanie, że w krajach bloku wschodniego ludzie są bardziej „ludcy”. W filmie Wendersa „Niebo nad Berlinem” anioł zamienia się w człowieka po przeniknięciu na wschodnią stronę muru berlińskiego. Typczasem według Zinowiewa „człowiek sowiecki” to osobnik zdemoralizowany, pozbawiony instynktu społecznego i umiejętności samodzielnego myślenia.

— znasz teraz obie Europy — co o tym myślisz?

— Coś z prawdy w tym jest, w takim poczuciu, że ludzie w Europie wschodniej, w Polsce szczególnie, są bardziej ludzcy. Spowodowane to jest niemerkantylnym społeczeństwem. Ponieważ pieniądź nie jest pieniądzem, nie jest też tym, co rządzi społeczeństwem. Właściwie dokładnie nie wiadomo, co nim rządzi, dla mnie to jest tajemnica. W każdym razie nie względy ekonomiczne. Więzy towarzyskie, przyjacielskie, życie rodzinne na pewno są na wyższym poziomie. Nie dotyczy to stosunków między obywatelem i państwem — te są zinstytucjonalizowanym chamstwem.

Zaskakuje na przykład bardzo Amerykanów, że ludzie w Polsce rozwodzą się i zachowują przyjacielskie stosunki. W Ameryce jest to nie do pomyślenia. Rozwód oznacza zerwanie wszelkich więzi. Wynika to także z bardzo kosztownego procesu. Ludzie na Zachodzie komunikują się ze sobą za pośrednictwem pieniądza. W Polsce życie ekonomiczne nie istnieje, życie społeczne jest bardziej niechlujne, przez to mniej skonwencjonalizowane, stosunki międzyludzkie są jedyną wartością, którą można posiadać. Nie wiem, jak to jest w Związku Radzieckim. Nie darzę sympatią Zinowiewa. Na pewno jest to społeczeństwo zdemoralizowane. Mówi się to samo o polskim społeczeństwie, ale kiedy przyszedł rok osiemdziesiąty, okazało się, że w tym zdemoralizowanym społeczeństwie tkwią ogromne rezerwy, których nikt się nie spodziewał. Wydaje mi się, że gdyby w Rosji poszło to dalej, to też by się podobnie okazało. Ludzie tam nie są po prostu odpowiednio motywowani.

— Herling-Grudziński w „Dzienniku pisany nocą” wielokrotnie atakuje indyferentyzm Zachodu wobec wybryków wschodniego totalitaryzmu. Kiedyś był to flirt Sartre’a i jemu podobnych z marksizmem. Teraz mamy falę popularności Gorbaczowa, jego małżonki i „pieriestrojki”. Jak oceniasz wiedzę Zachodu o krajach komunistycznych?

— Ta wiedza jest dość nikła, rzeczywiście. We Francji intelektualści zawsze patrzyli na Wschód. Tej fascynacji uległa cała elita umysłowa Francji, z Sartrem na czele. Dosłownie jednostki nie poddały się temu. Uważam, że to była jedna z największych kompromitacji intelektualistów europejskich: niedocenyenie niebezpieczeństwa totalitaryzmu.

Dzisiaj natomiast zależy to od chwili, od mody. „Solidarność” na przykład obudziła zaintereso-

wanie Polską. Teraz, paradoksalnie, Gorbaczow je zmniejsza. Zainteresowanie przenosi się znowu z krajów Europy wschodniej na Rosję. Znajdujemy się coraz bardziej w sytuacji półkolonii, którą łatwo znów przehandlować.

— Mówi się o kryzysie kultury europejskiej. Najmocniej chyba dotyka ten kryzys kina. Kurosawa, Coppola, Buñuel mają problemy ze znalezieniem budżetu. Ty przywozisz na emigrację propozycje kina trudnego, niekomercyjnego i kończysz już drugi film. Czy wierzysz, że sztuka filmowa nie ulegnie w starciu z Crocodilem Dandy i Indiana Jonesem?

— Nie wiem. Ale jest parę znaków — w dwóch ostatnich latach o tym się słyszy — że następuje znudzenie taką infantylnością. Wydaje mi



Agnieszka Holland i Adam Holander — autor zdjęć

się, że widownia, która stworzyła boom kina amerykańskiego, dojrzała i dorosła. Jest dostatecznie duża, żeby mieć apetyt na rzeczy trochę bardziej skomplikowane. Jeśli reżyserzy wytrzymają ten kryzys, to takie kino, o którym wspominałeś, powinno znowu wrócić. Świadczy o tym niespodziewany sukces w Stanach w zeszłym roku kilku filmów niezależnych i dość wyrafinowanych — ta-

kich jak filmy Jarmuscha. Wydaje mi się, że niebezpieczny jest system hollywoodzki, który powoduje sztuczne nakręcanie budżetu. Próbował go trochę zgwałcić Dawid Puttman. Studia stanowią rodzaj koncernu połączonego z wielkimi gwiazdami. W interesie tych wszystkich ludzi jest robić filmy jak najdrożej. Odbiera to szansę tym filmom, które mają budżety średnie albo małe. Są wypychane przez wielkie inwestycje. Myślę, że problem polega też na tym, że do kina idzie coraz mniej ludzi, którzy mają naprawdę dużą wiarę. Kinem coraz częściej zajmują się grzeczni ciolopcy z dobrych domów, wychowani na telewizyjnych serialach. Przestało być pasjonującą przygodą, która pociąga ludzi o skomplikowanej osobowości. Kiedy poznają młodych reżyserów na świecie, nie mam wrażenia, że mam do czynienia z jakimś ciekawym pokoleniem. Nie wiem.

— Wspomniałaś o Jarmuschu. Jest bardzo popularny wśród bardziej wybrednej publiczności. Podobnie jak Spike Lee czy Dawid Byrne. Ich filmy („She's gotta have it”, „True story”) operują niekonwencjonalnymi środkami narracji. Nieruchomy kadr, czarno-biała taśma, nieefektywny montaż, narrator albo aktorzy rozmawiający z widzem. Czy sądzisz, że jesteście świadkami narodzin nowego nurtu w kinie?

— Nie. Myślę, że w tych filmach generalnie nie ma nic nowego. Kiedy patrzę na American Modern Cinema, na kino lat sześćdziesiątych, także europejskie, wydaje mi się, że było bardzo podobne, wyszło z podobnych źródeł, z niechęci do kina-papki i braku środków finansowych. A z tych wszystkich ludzi oryginalnym jest na pewno Jarmusch. Co z nim będzie, zobaczymy — czy się skomercjalizuje, czy nie. Podobnie skomplikowany jest przypadek Wima Wendersa. Wydaje mi się, że Wenders był największym poetą kina mojego pokolenia — do filmu „Paryż -Teksas”. Zgubił się w swoich amerykańskich filmach. Nie widziałam jego „Nieba nad Berlinem”. Słyszałam tylko, że ma dużo uroku, ale jest dość pretensjonalny.

Wydaje mi się, że to, o czym mówisz, to jest pewno moda raczej, niż kierunek. W Stanach i Europie jest bardzo dużo festiwali. Te festiwale muszą się czymś karmić. Czekają na jakiegoś mesjasza, na jakiegoś młodego, szczególnie niezależnego Amerykanina, który przyjedzie z czymś nowym i niezwykłym. Łatwo jest tutaj o szulerkę. Ten Spike Lee, pomimo powodzenia w Stanach i tutaj, wydaje mi się dość głupkowaty. Jeśli ktoś jest tak zdolny jak Jarmusch, to coś z tego wynika. Je-

śli mniej, rodzi się z tego jakaś efcemerydka. Nie można chyba mówić o jakimś nurcie.

— Czy możesz powiedzieć coś o swoich planach?

— Nie wiem. Zanim skończę ten film upłynie jeszcze parę miesięcy. Zobaczę jak będzie przyjęty. Spodziewam się kłopotów z dystrybutorem amerykańskim.

— Dystrybucja w Europie nie wystarczy?

— Po to przeżyłam półtora roku w Ameryce — zabiegów, ponizeń i umizgów, żeby zapewnić temu filmowi szeroką dystrybucję. W przeciwnym razie nie robiłabym go za takie pieniądze, co byłoby może przyjemniejsze. Ale może się uda, zobaczymy. Mam dwa projekty na następne dwa filmy. Dwa scenariusze. Jeden francusko-niemiecki a drugi czysto francuski.

— Sama je napisałaś?

— Tak. Chętnie zrobiłabym mały film — ten francuski, tani, skromnymi środkami i małą ekipą, taki za parę milionów franków, z producentką, która robi filmy z Erykiem Rohmerem.

— Coś o treści?

— To się trudno opowiada. Bardzo intymna sytuacja rodzinna. Czysto francuska. To mój pierwszy scenariusz bez żadnych odniesień do spraw polskich. Z tego powodu będzie to także mój osobisty eksperyment. Mam tutaj dużo projektów. Chciałabym zrobić wreszcie scenariusz przez kogoś dla mnie napisany. Jeżeli ten film dobrze się sprzeda, moje możliwości wzrosną. Jeśli nie, trzeba będzie zacząć od początku.

— Czy gdyby polskie reformy nie okazały się tylko kolejnym chwytem propagandy, chciałabyś jeszcze kiedyś zrobić film w Polsce?

— Tak. Chociaż w tej chwili nie mam żadnego pomysłu. Kiedy przyjechał Andrzej Wajda i opowiedział, co się dzieje w Polsce, pomyślałam sobie, że kryzys jest nie tylko zewnętrzny ale i wewnętrzny. Wydaje mi się, że polskie kino jest w dołku. Polega to na tym, że film w Polsce przestał być ważny w ogóle. W związku z tym operatorzy, technicy, aktorzy stracili wiarę i energię. Żeby wejść w taki układ, trzeba mieć coś rzeczywiście mocnego w ręku. Trzeba ten stan rzeczy przebić. Nie mam na razie żadnego pomysłu na silny atut. Ale to się może zmienić wraz ze zmianą sytuacji politycznej.

— Zakończony więc rozmowę tym pobożnym życzeniem. Dziękuję i życzę powodzenia w imieniu własnym i redakcji.

Paryż, 20 grudzień 1987

„Pogład” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. — zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

#### Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartijne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

- 1 Popieranie nienależnej pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
- 2 Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
- 3 Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami (...)
- 4 Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)
- 5 Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
- 6 Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogład” („Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
- 7 Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto

„Gesellschaft Solidarność” e.V.  
„Pogład”  
Sparkasse der Stadt Berlin West  
Konto Nr. 122 001 238 2  
BLZ 100 500 00  
lub

Postcheckkonto  
586 90 - 102  
BLZ 100 100 10  
Postcheckamt  
1000 Berlin (West)  
dopisek: POGŁAD

#### PRENUMERATA

RFN:  
półroczna ..... DM 40,-  
roczna ..... DM 75,-

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak  
Postgiro, Nr. 465 0809-9  
dopisek: POGŁAD

Europa i kraje zamorskie  
(poczta zwykła):  
półroczna ..... DM 45,-  
roczna ..... DM 80,-

OFFSETDRUCKEREI  
Hans-Jürgen Wichmann  
Askanierling 155-156  
1000 Berlin 20

Kraje zamorskie  
(poczta lotnicza):  
półroczna ..... DM 55,-  
roczna ..... DM 100,-

CENA DM 6,-

Australia:  
półroczna ..... DM 65,-  
roczna ..... DM 120,-

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

#### IMPRESSUM

Verleger — Wydawnictwo  
Gesellschaft Solidarność e.V.  
Geßlerstr. 10, D—1000 Berlin 62  
Redaktor odpowiedzialny  
Edward Kimczak

Adres redakcji  
Postfach 62 02 24  
D — 1000 Berlin 62  
tel. 030/782 93 84

# Pogład

Stali współpracownicy

Ewa Darmas — PARYŻ, Paweł Gajowniczek — OSŁO, Wiktor Grotowicz — MO-NACHIUM, Jerzy Hoffmann — BERLIN ZACH., Krzysztof Kasprzyk — TORONTO, Maciej Rybiński — BONN, Roman Śmigiełski — KOPENHAGA, Krzysztof Wałgrodzki — FRANKFURT/M., Leszek Wyrwa — Polska, Andrzej Zwantecki — WASHINGTON

#### Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

AUSTRIA — „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbigasse 35/15, 10300 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;

DANIA — Roman Śmigiełski, Worasaesvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;

FRANCJA — Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Ville-franche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA — Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykowski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q. H3V 1G3, Tel. 514/7355974;

NORWEGIA — Paweł Gajowniczek, Linderberggassen 28c, 1068 Oslo — 10

RFN — Łucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 16, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długociński, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260;

Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213; Lech Jarmuła, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60; Jan Kustusz, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; Tadeusz Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Krzysztof Plećko, Neumarkt 1, 4722 Ennigerloh 2, Tel. 02587/1216; Grupa Robocza Solidarność-Eschweiler-Aachen, Z. J. Płarscy, 5190 Stolberg, Im Hirschfeld 19, Tel. 02402/84348;

Marek Półwiński, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/413734; Dariusz Ścibor, Neumarkt 1, 4722 Ennigerloh 2, 2000 Hamburg 36;

SZWECJA — Tadeusz Karolak, Sox 83, 13525 Tyreso, Tel. 08/7421457;

USA — Piotr Calka, 4855 W 118th, A1sp 60658 Ill., Tel. 312/5972096; Mirosław Marrecki, P.O. Box 2202, Holland, MI 49422, Tel. 616/3616648; Tamara Sochacka, 5026 Caniff Detroit, MI 48212, Tel. 313/8715377; Andrzej Wiśniewski, P.O. Box 1785, Benihany, OK 73008;

WIELKA BRYTANIA — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/6734456.

# Spis treści

Wiktor Grotowicz Afganistan: Koniec wojny? . . . . .	3
Piotr Kowalczyk Tybet a imperializm chiński . . . . .	17
Grzegorz Wiktorczyk Pieriestrojka na ludowo? . . . . .	32
Wywiad z Aleksandrem Dubčekiem . . . . .	37
Związek po 6 latach Rozmowa z Andrzejem Gwiazdą . . . . .	40
Polacy w ZSRR . . . . .	44
Rozmowy ze Zdzisławem Najderem . . . . .	45
Maciej Radwan Rybiński Prywatne rozmyślenia . . . . .	49
Nekrolog dla antykomunisty . . . . .	52
Pomagając Żydom... Rozmowa z prof. Władysławem Bartoszewskim . . . . .	54
Krzysztof Werski Rozmowa z Agnieszką Holland . . . . .	61



ZBIORY OŚRODKA KARTA

300 zł